



RADOŚĆ BIEGANIA



OPOWIADANIA OLIMPIJSKIE
WARSZAWA 2014

RADOŚĆ
BIEGANIA

FALL

Prace
nagrodzone
w XXIV konkursie na opowiadania olimpijskie
im. Jana Parandowskiego
zorganizowanym
przez Polski Komitet Olimpijski

RADOŚĆ BIEGANIA

opowiadania olimpijskie

pod redakcją

Magdaleny Rejf i Krzysztofa Zuchory

Warszawa 2014

Publikacja finansowana ze środków
Ministerstwa Sportu i Turystyki

Projekt graficzny okładki i ilustracja
© Aga, Iga i Ada Pietrzykowskie

Polski Komitet Olimpijski
Wybrzeże Gdyńskie 4, 01-531 Warszawa
tel. (22) 56 03 700
e-mail: pkol@pkol.pl

Przygotowanie do druku
FALL
ul. Garczyńskiego 2
31-524 Kraków
tel. (12) 413-35-00
www.fall.pl

ISBN 978-83-62275-87-8

Radość biegania

*Każdy nosi w sobie i zawilość dziejów,
i możliwą, a niespełnioną odmianę swego losu.*

Jan Parandowski

Bieganie jest sztuką użytkową. Szukamy w bieganiu radości i własnego piękna. Dobrze się przyjmuje w rodzinie, gdzie przykład dorosłych wciąga do biegania dziecko. Jest do tego sztuką prostą, którą można uprawiać w tani sposób. Wystarczą dobre chęci i zapal podtrzymywany przez media. Bieganie jest na tyle powszechną formą sportu, że łatwo odnajdują się tutaj dzieci, które w bieganiu widzą zabawę dostosowaną do ich wieku. Bieganie jest także atrakcyjnym tematem nadającym się na opowiadanie olimpijskie.

W tegorocznym konkursie literackim im. Jana Parandowskiego bieganie wyprzedziło o jedno okrążenie inne tematy, takie jak fair play, sport dla niepełnosprawnych i ujęte w formie sprawozdania pojedynki w grach sportowych, gdzie dbałość o szczegóły zastępowała artystyczne piękno opisu przyrody i psychologicznego portretu bohatera.

Konkurs wchodzi już w kolejne, trzecie dziesięciolecie. Nadarza się okazja do pokazania zmian, jakie następowały w konkursie. Na początku dominowała historia. Odnosiło się wrażenie, że dawne obrazy,

przeniesione do współczesnego sportu, czerpane bezpośrednio z lektur szkolnych, dają autorom przeświadczenie, że dobrze odczytali intencje jury konkursowego. Dominowała forma bajki, pozwalająca na swobodną grę wyobraźni, oraz marzenia sensne zapewniające panowanie nad czasem. Łatwo było przenieść się z Olimpii, znad Alfejosu na współczesne boisko czy podwórko, gdzie antyczni bohaterowie w nowym kostiumie kulturowym brali udział w igrzyskach. Obierano też kierunek odwrotny, a mianowicie współcześni bohaterowie stadionów zjawiali się w starożytnym teatrze sportowym i bez żadnych trudności dawali sobie radę w zmaganiach olimpijskich. Dzieci dowodziły tego, do czego nawoływał twórca nowożytnego ruchu olimpijskiego, głoszący, że współczesny sport nawiązuje bezpośrednio do tych wartości i symboli, które obowiązywały w starożytnym świecie greckim. Zmieniły się formy i kostium kulturowy sportu, lecz pozostał duch, który mimo upływu czasu zachował dawny charakter.

Drugie dziesięciolecie skierowało uwagę uczestników na wielki i mały sport. Wielki sport olimpijski nawiązywał do epoki romantyzmu (*mierz siły na zamiary*), boisko przypominało pole walki, gdzie ujawniały się takie cechy, jak: dzielność, śmiałość, hart ducha, niezłomność w dążeniu do celu. Bohaterami byli olimpijczycy ostatnich igrzysk, którzy pokonywali rozmaite trudności życiowe, jak antyczny Herakles, żeby przejść do historii.

Mały sport to wysiłek na miarę własnych oczekiwań, często opisywany jako pokonywanie słabości, z perspektywą znalezienia się w składzie reprezentacji klasy lub w drużynie podwórkowej. W opowiadaniach opartych na bezpośrednim doświadczeniu w nowym

świetle ukazywały się wartości, które popychały dzieci do czynów i wyczynów na miarę własnych możliwości rozwojowych. Popularną formą literacką były pamiętnik, wywiad dziennikarski lub zbeletryzowana biografia, w której fikcja i fakty mieszały się ze sobą w taki sposób, aby mógł się ujawnić „przerysowany” dramat sportowy lub niespodziewane a piękne zwycięstwo. Także zwycięstwo nad sobą odniesione na „wewnętrznym” boisku lub w grze komputerowej.

Tegoroczne prace konkursowe zapowiadają, że nadciąga nowe pokolenie artystów, którzy biorą sobie do serca fakt, że patronem konkursu jest Jan Parandowski, autor *Dysku olimpijskiego* i wrażliwy na „alchemię” słowa pisarz. Wiele prac idzie wytyczonym przez niego szlakiem, oznaczonym różnymi kolorami ze względu na skalę trudności. Jan Parandowski pisał, że sport ma wiele do ofiarowania każdemu artyście, może być opisywany na wiele sposobów i nie należy się martwić o to, że pojawi się plagiat; wystarczy odwaga i wrażliwość na piękno, jakie sport ze sobą niesie, aby powstało dzieło nowe, oryginalne, które znajdzie uznanie czytelników i zostanie nagrodzone w konkursie.

Krzysztof Zuchora

20 maja 2014

LAUREACI

Uczniowie
szkół podstawowych

KINGA ARMATA

Urodziłam się 19 czerwca 2001 roku w Gliwicach. Chodzę do VI klasy Szkoły Podstawowej nr 28 im. Witolda Budryka w Gliwicach. Od września chciałabym się uczyć w klasie dwujęzycznej realizującej Middle Years Programme (MYP) Organizacji Matury Międzynarodowej w Gimnazjum nr 14 w swoim mieście.



Uczęszczam także do Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Ludomira Różyckiego w Gliwicach. Gram na skrzypcach. Interesuję się muzyką, sportem, przyrodą, plastyką i aktorstwem. Od 4 klasy uczestniczę w zajęciach kółka polonistycznego, tworzę tam wiersze i opowiadania. Jestem laureatką kilku konkursów literackich. W przyszłości chciałabym zostać lekarzem, aby pomagać ludziom. Marzę też o dalekich podróżach, w czasie których podziwiałabym piękną przyrodę i poznawała kulturę innych narodów.

PAULINA BOGDAN

Urodziłam się i mieszkam w Łomży. Jestem uczennicą Szkoły Podstawowej nr 5 im. Stanisława Staszica. Uczęszczam na lekcje śpiewu i pływania. Wolny czas poświęcam grze na pianinie. Moja szczególna pasja to pisanie opowia-



dań inspirowanych szkolnym życiem ucznia. Kocham zwierzęta. Interesuję się też muzyką i sportem.

JAKUB CELIŃSKI

Urodziłem się 26 stycznia 2001 roku w Łukowie, gdzie mieszkam na stałe. Moja pasja to pisanie opowiadań, czytanie książek o tematyce fantastycznej oraz piłka nożna. Swoje umiejętności szlifuję obecnie w Szkole Podstawowej nr 5 im. gen. Władysława Sikorskiego w Łukowie.



Cenię sobie aktywność ruchową i chętnie biorę udział w zawodach sportowych, w których osiągam sukcesy. W ubiegłym roku, wraz z trzema kolegami, zdobyłem IV miejsce w Polsce w biegach sztafetowych. W tym roku natomiast zostałem laureatem Wojewódzkiego Konkursu Języka Polskiego organizowanego przez Lubelskiego Kuratora Oświaty.

Jako sportowiec i humanista cenię uczciwość i konsekwentne dążenie do celu.

DOMINIKA DUZDOWSKA

Urodziłam się 4 marca 2001 r. w Bydgoszczy. Chodzę do VI klasy Szkoły Podstawowej im. Hansa Christiana Andersena w Byd-



goszczy. Moimi ulubionymi przedmiotami są język polski i plastyka. Lubię też uczyć się języków obcych. Interesuję się malarstwem, pisarstwem i jeździectwem. W wolnym czasie piszę opowiadania, wiersze, a także maluję. Niektóre z moich opowiadań są poświęcone tematyce konnej. Chętnie czytam książki obyczajowe i przygodowe.

JAKUB NIEWIAROWSKI

Urodziłem się 10 września 2001 r. Jestem uczniem klasy VIb Szkoły Podstawowej w Zabierzowie, gdzie też mieszkam z rodzicami i młodszą siostrą Anią na urokliwej ulicy z bocianim gniazdem.

Lubię zgłębianie wiedzy z różnych dziedzin. Fascynują mnie wielkie odkrycia naukowe, nowinki techniczne, ciekawostki przyrodnicze i nierozwiązane zagadki historyczne.

Moją pasją są podróże. Czuję, że mam duszę odkrywcy. Chciałbym dotrzeć do najdalszych zakątków ziemi i przeżywać niezwykle przygody, jak Indiana Jones. Uwielbiam kabarety, jazdę na nartach i rowerze, sporty wodne, muzykę, surfowanie po necie i kreatywne spędzanie czasu. Najbardziej chciałbym zostać wynalazcą i swoimi wynalazkami ułatwiać ludziom życie.



MARIA PAŁGAN

Mam na imię Marysia i chodzę do V klasy Szkoły Podstawowej w Drzewicy. Nie jestem ideałem, choć bardzo bym tego chciała. Jestem za to żywiołową gadułą i urodzoną optymistką. Bywam roztrzepana. Wszystko odkładam na ostatnią chwilę. Kiedy się jednak postaram i dam z siebie wszystko, to sukces murowany!

Marzę o tym, aby zostać chirurgiem lub prawnikiem. Poza tym uwielbiam szyc na maszynie, rysować, recytować, pisać opowiadania i wiersze oraz piec ciasteczka. Moje motto życiowe to: *Lepiej próbować i potem żałować, niż żałować, że się nie spróbowało.*



KAROLINA PODOWSKA

Mam 13 lat. Mieszkam na Warmii i Mazurach w małym miasteczku Nidzica. Uczęszczam do Szkoły Podstawowej nr 1 im. Mikołaja Kopernika w Nidzicy. Uczę się gry na skrzypcach w Niepublicznej Szkole Muzycznej „Res Facta Musica” w Działdowie. Lubię śpiewać. W wolnym czasie słucham muzyki, spotykam się



ze znajomymi lub czytam książki. Jestem wielbicielką serii przygód Harry'ego Pottera.

Należę również do ZHP. Chętnie biorę udział w różnego rodzaju konkursach, najczęściej literackich.

BARTOSZ TOKARSKI

Cześć, to ja, Bartek Tokarski, przedstawiciel Szkoły Podstawowej nr 6 w Olsztynie. Urodziłem się 15 sierpnia 2001 r. W tym samym dniu i miesiącu na świat przyszedł Napoleon Bonaparte. Być może ta ciekawa zbieżność dat z wielką postacią przeszłości spowodowała, że interesuję się historią, zwłaszcza polskim renesansem.



Lubię czytać, a najchętniej sięgam po Waldemara Łysiaka i Jerzego Łojka. W wolnych chwilach, o które coraz trudniej, uprawiam sporty. Jestem zawodnikiem klubu KS Szczypiorniak Olsztyn, a moją klubową koszulkę zdobi numer „22” (nawiązanie do ulubionego zawodnika Marcina Lijewskiego). Jestem oddanym kibicem reprezentacji Polski we wszystkich sportach bez wyjątku.

Czasem lubię sobie pogłównkować. Mam czwartą kategorię w szachach, a na co dzień szkoli mnie mistrz Polski, Tadeusz Henig, którego marzeniem jest, bym pokonał swojego ojca. Cóż... czas pokaże.

Przyjemność sprawia mi też pisanie. Szczególnie lubię wymyślać zabawne historie, pełne nieoczekiwanych zwro-

LAUREACI

tów akcji. Moja polonistka twierdzi, że mam spore możliwości, tylko interpunkcję muszę poprawić. Staram się, choć to wyboista droga.

MICHALINA ZYGO

Mam dwanaście lat. Mieszkam w Stykowie. Uczęszczam do Szkoły Podstawowej im. ks. Stanisława Ujdy w Stykowie. Chodzę do klasy V. Lubię pisać, uczyć się języków obcych, poznawać różne ciekawostki o otaczającym mnie świecie. Bardzo lubię czytać, a moje ulubione książki to *Jak wytrzymać z moją siostrą* Ann M. Mar-



tin oraz *Mitologia* Jana Parandowskiego. Jestem miłośniczką zwierząt: psów, kotów, a nawet węży. Lubię też oglądać filmy o tematyce przyrodniczej. Mój wymarzony zawód to lekarz – chirurg dziecięcy. W zimowe dni uwielbiam siadać w wygodnym fotelu i projektować przeróżne kreacje. Lubię spędzać czas na świeżym powietrzu i spotykać się z przyjaciółmi. Marzę o dalekich podróżach. Mam nadzieję, że kiedyś, pomimo alergii, będę mogła mieć psa rasy cavalier king charles spaniel i kotka – zwykłego dachowca.

Kinga Armata

Różowe okulary

Jesteśmy okularami Anielki. Okularami pływackimi, warto dodać, bo nasza bohaterka pływa. Jest w tym naprawdę dobra, ba, została nawet mistrzynią regionu. Jednak nie zawsze szło z górki... Obserwowałyśmy jej przygodę z pływaniem od samego początku, bo byłyśmy jej pierwszymi okularkami. Na szczęście nie ostatnimi, ale może... najukochańszymi, jedynymi bliskimi sercu?

Cała jej przygoda z wodą i tym sportem zaczęła się, kiedy miała 5 latek. To właśnie wtedy rodzice zapisali ją na zajęcia pływackie. Chcieli bowiem, aby dziewczynka od maleńkości zajmowała się jakimś sportem, tym bardziej że lubiła wodę. Wszyscy mówili, że pływanie dobrze działa na rozwój dzieci, a rodzice chcieli, żeby rozwijała się jak należy. Kupili więc strój kąpielowy w różowe kwiatuszki i najważniejszą rzecz – nas. Byłyśmy uroczyymi, różowymi (wszystko musi być pod kolor i pięknie do siebie pasować), malutkimi okularkami, które naszej właścicielce nie od razu się spodobały. Nie chodziło może o wygląd, bo nic nam nie brakowało, ale nie lubiła naszych gumek, które jej przeszkadzały. Ciągle nas poprawiała, zdejmowała. Nawet,

musimy przyznać to z przykrością, rzucała nami. Wybaczyliśmy jej wszystko! W końcu przyzwyczaiła się do nas i coraz rzadziej zaliczyliśmy podłogę lub rzut o ścianę.

Anielka dzielnie się spisywała na basenie. Wyróżniała się w grupie. Uczyła się pływania stosunkowo krótko, może rok, kiedy trener wysłał ją na pierwsze zawody dla dzieci. Uważał, że radzi sobie najlepiej z całej grupy „maluchów” i powinna zacząć uczestniczyć w tego rodzaju imprezach, by potem wiedzieć, jak się zachować. Pływała pięknie jak na swój wiek, znała już każdy styl, mimo że uprawiała ten sport dopiero kilka miesięcy. Trener stwierdził, że jeszcze tak wybitnie uzdolnionego dziecka nie widział. Swoimi uwagami podzielił się z rodzicami dziewczynki. Nie byli pewni, czy Anielka nie jest za mała, ale jej radość, gdy pływała, przekonała ich i zgodzili się, żeby dziewczynka wystartowała.

Byliśmy jej pierwszymi okularami i wszystko widzieliśmy od samego początku. Jakie to było dla nas niezwykle przeżycie! W czasie zawodów dziewczynka bardzo się stresowała, nie wiedziała, co się dzieje, co ma robić. Czuliśmy, jak zaciska szczęki, nerwowo mruga oczami. Obserwowała każdy ruch uczestników, którzy startowali przed nią. Śledziła ich cały czas, zanim wskoczyli do wody, chciała wiedzieć, jak się zachowywać. Trener jej wszystko opowiedział, ale trzeba coś zobaczyć i przeżyć, żeby się tego nauczyć. Dla nas to też był pierwszy raz. Nadeszła kolej Anielki. Przed startem szepnęliśmy do niej: „Nie przejmuj się! Jak ci nie wyjdzie, to spróbujesz innym razem!” Usłyszała? Mamy nadzieję, bo dziewczynka od razu zrobiła się weselsza, a jej twarz przestała drgać. Chyba poczuła nasze wsparcie.

W tamtych czasach nie była już do nas wrogo nastawiona, ale nie mogliśmy jeszcze mówić o przyjaźni. Nie zależało jej na wygranej, tylko na dobrej zabawie i nagrodzie, a to przecież wszystko się łączy. Na jej twarzy pojawił się uśmiech, który bardzo lubimy, nawet teraz, gdy minęło już 8 lat! Oczywiście, obecnie jesteśmy na nią za małe, ale i tak zabiera nas na każde zawody. To miłe... Przypominamy jej pierwsze starty, te trudności, którym stawiała czoło. I przynosimy szczęście. Niestety, nie jesteśmy już takie piękne jak kiedyś.

Anielka stanęła przy słupku. Usłyszała pierwszy sygnał: „Pii”. Był to dla niej znak, by się przygotowała. Zabrzmiały dwa następne, aż w końcu ten długo oczekiwany: „Bęc”. Dziewczynka ruszyła jak torpeda. Wyprzedzała swoje przeciwniczki. Płynęła stylem grzbietowym. Inne zawodniczki nie dawały sobie rady. Anielka wiosłowała rękami i nogami szybko, ale zarazem bardzo dobrze pod względem technicznym. Nagle... stało się coś niewiarygodnego... coś jakby musnęło wodę. Wybiło to z rytmu dziewczynkę, była zdezorientowana, zachowywała się, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Anielka zatrzymała się... Na powierzchni wody unosiła się plastikowa butelka.

Okazało się, że ktoś rzucił ją w czasie, gdy dziewczynki płynęły. Marzył o tym, by Anielka przegrała? Ale kto może chcieć skrzywdzić małą dziewczynkę? Przecież w sporcie nie chodzi tylko o wygraną, przede wszystkim liczy się walka z sobą, pokonywanie swoich granic i... dobra zabawa! Widać, że nie wszyscy tak uważają. Trzeba chyba najpierw uczyć ludzi zasad fair play, a dopiero potem sportu. Byliśmy wściekłe, rozmyślając o tym postępku! Ten ktoś nie znał tych zasad i chyba żadnych innych też... Zepsuł nam całą frajdę z pierwszego startu w zawodach. Wrzucił butel-

kę. Chciał uderzyć Anielkę... Bezduśny, bezmyślny... Na szczęście nie trafił, a było tak blisko...

Na widowni zrobiła się wrzawa, wszyscy zaczęli szemrać: „Kto mógł to zrobić? Jak tak można” itp. Sędziowie się mieszała, nie wiedzieli, jak do tego doszło. Przerwano zawody „maluchów”. Kiedy zawodnicy wyszli z wody, nie mieli pojęcia o tym, co zaszło. Przez mikrofon usłyszeliśmy głośne: „Przerywamy zawody! Zostaną one wznowione za godzinę, o ile uda się wszystko wyjaśnić i zapewnić bezpieczeństwo zawodnikom”. Wezwano ochronę.

Anielka wraz z rodzicami oraz oczywiście z nami udała się do sędziów. Wisiałyśmy takie bezradne! Pamiętamy to, jakby było wczoraj. Wszyscy sprawdzali monitoring. Trzeba było przewinąć 2 godziny materiału, aż w końcu znaleźli moment startu dziewczynek. Po chwili okazało się, że butelką rzucił rodzic jednej ze startujących. „TA OSOBA” (tak nazwałyśmy tę panią, która była najlepiej widoczna na monitoringu „w towarzystwie” butelki) naszym zdaniem zasługiwała na potępienie. Nie, nie rodzic, okazało się po chwili, ale jakiś chłopak, który siedział tuż obok, może syn... Jakim trzeba być człowiekiem, żeby chcieć zrobić komuś krzywdę po to tylko, aby ktoś inny wygrał?! Takie zachowanie jest chore!!! Jak tak można?! Nie rozumiałyśmy tego! Jeszcze nigdy nie widziałyśmy takiej sytuacji, a nawet nie słyszałyśmy o czymś takim. Cóż, nie miałyśmy też doświadczenia w bywaniu na zawodach, byłyśmy przecież zupełnie nowymi, małymi okularnikami.

Sędziowie udali się na trybuny, gdzie siedziała „TA OSOBA”. „TA OSOBA” udawała, że niczego nie rozumie, nie wie, o co chodzi. „Jak można rzucać oskarżenia na uczciwych ludzi?!” – pytała, próbowała się

awanturować, ale argument w postaci monitoringu był niepodważalny. To syn „TEJ OSOBY” siedzący obok rzucił butelką. Dziewczynce – córce „TEJ OSOBY” – dano zakaz startowania w trzech najbliższych zawodach, łącznie z tymi, a sprawę zgłoszono na policji. Po załatwieniu wszystkich formalności w związku z tym, że nikt nie odniósł obrażeń, wznowiono zawody.

Anielka znów pojawiła się na słupku. My jej dzielnie towarzyszyłyśmy, chociaż ze zdenerwowania ciągle pociły nam się szybki. Musiałyśmy ochłonać! Na szczęście nic się Anielce nie stało podczas poprzedniego startu. Teraz musiałyśmy się wziąć w garść, żeby jej pomóc. Jej drugi start nie był tak dobry, jak pierwszy, powodem było pewnie to, że się bardzo stresowała. Myślała, że znowu coś się może stać. Poprawiała nas nerwowo, jak na początku naszej znajomości. Mówiłyśmy do niej cichutko, żeby się uspokoiła, ale bez rezultatu. Nie trwało to jednak długo. Nagle poprawiła nas pewnym ruchem i wtedy wiedziałyśmy, że jest dobrze. W wodzie zapomniała o wszystkim złym, co ją spotkało. W połowie basenu zaczęła pędzić niczym rakietą. Wyprzedziła przeciwniczki i wygrała. Jej i nasza radość była nie do opisanania. Na swoich pierwszych zawodach, mimo sytuacji, którą przeżyła, stanęła na najwyższym stopniu podium! „Brawo, Anielko!” – krzyczałyśmy. Ale ona zupełnie o nas nie pamiętała. Wszystkim chwaliła się swoim medalem oraz innymi nagrodami, które dostała. Byłyśmy z niej takie dumne. Gdzieś w środku czułyśmy, że mamy swój udział w jej sukcesie. Przecież dla pływaka okulary są bardzo ważne! Bez nas na pewno nie płynęłaby tak dobrze.

Jednak to nie był koniec jej przygód „sportowych”. Dziewczynka trenowała dalej. Poprzednie zawody, na których była, miały rangę miejską, ale następne, na któ-

re zaprosił ją trener, okazały się turniejem regionalnym. Anielka trenowała bardzo dużo. Kosztowało ją to wiele wysiłku, pływała bowiem codziennie, i to aż 2 godziny. Od rodziców też wymagało poświęcenia, by przed pracą i po niej wieźć córkę na basen. Rano miała godzinę treningu, a po południu kolejną. Niestety, na jednym z treningów stało się nieszczęście. Tego dnia Anielka robiła już dziesiątą długość, a basen ma 25 metrów. Zajął jej to tylko 5 minut.

Dziewczynka wyszła z wody, chciała oddać skok i znów płynąć. I właśnie wtedy to się wydarzyło. Było bardzo ślisko. Kafelki lśniły wodą niczym brylant. Anielka trzęsła się z zimna i jak najszybciej chciała dojść na słupkę, by znaleźć się z powrotem w wodzie, gdzie czuła się cudownie jak w niebie, a może bardziej jak ryba w wodzie. Niestety, z pośpiechu Anielka się poślizgnęła, upadła na posadzkę tak nieszczęśliwie, że rozbiła głowę i coś stało się z jej nogą, bo nie potrafiła wstać. Obserwowałyśmy to wszystko, z przerażeniem myśląc, jak to się skończy. Może wstanie, otrzepie się i wskoczy do wody? Niestety! Zaczęła płakać. Nasze serce przeniknął skurcz smutku, bólu i niepokoju. Dziewczynce obficie leciała krew z głowy, rana bowiem była duża. Krew rozlewała się po kafelkach, szybko mieszała się z wodą, tworząc czerwone kałuże. Wezwano pogotowie. Ratownicy przyjechali i stwierdzili, że założą opatrunek, ale muszą zawieźć dziecko do szpitala, gdyż rana głowy wymaga szycia, trzeba też zrobić rentgen nogi. Dziewczynka straciła przytomność, a saturacja spadła. W karetce zaczęli ją reanimować. Rodzice szaleli z niepokoju, a my razem z nimi (w kieszeni jednego z nich). Udało się! Anielka po kilku minutach odzyskała przytomność. W szpitalu zrobili to, co było potrzebne. Mała rozpoznała wśród perso-

nelu „TEŃ OSOBEŃ” z poprzednich zawodów i zdziwiła się, że potrafi być taka troskliwa. Myślimy, że „TA OSOBA” rozpoznała Anielkę.

Okazało się, że dziewczynka musi pożegnać się na jakiś czas z pływaniem, nie może wziąć udziału ani w tych zawodach, ani w następnych przez wiele miesięcy, bo na nogę założono gips. To sprawiło, że jej serce przeciął miecz bóleści. Bardzo chciała, żeby jej się udało zdobyć pierwsze miejsce. My też chcieliśmy! Trener także był zawiedziony, ponieważ była najlepszą zawodniczką ze wszystkich dzieci, które znał, ale nie dał jej tego odczuć. Na szczęście wszystko się skończyło dobrze: Anielka wróciła do domu, gdzie mogła pomału dochodzić do siebie i ćwiczyć z rehabilitantem. My miałyśmy wakacje, bo nic nie robiłyśmy, nie czułyśmy się potrzebne. „TA OSOBA” poleciła rodzicom Anielki najlepszemu rehabilitanta, jaki pracował w szpitalu. Nie wiedziałyśmy, co o tym myśleć, ale było to miłe. Czasami nawet żałowałyśmy, że tak surowo osądziłyśmy „TEŃ OSOBEŃ”.

Minęły trzy miesiące. Anielka już była w pełni gotowa, by znowu zacząć pływać. Co prawda czuła się raz lepiej, raz gorzej i szybko się męczyła, ale wszystko było na najlepszej drodze. Cieszyłyśmy się bardzo z końca leniuchowania. Powrót do startów zajął jej kolejne dwa miesiące, po których trener ogłosił, że są zawody i Anielka może spróbować swoich sił. Dziewczynka była szczęśliwa. To oznaczało, że znowu może dostać złoty, srebrny lub brązowy medal. Ostatnim razem otrzymała nawet od rodziców w nagrodę lalkę, o którą prosiła od dwóch miesięcy. „Może i tym razem trafi się prezent” – myślała z nadzieją.

Następnego dnia okazało się, że zawody zostaną przesunięte o tydzień. Anielce to nie przeszkadza-

ło, miała więcej czasu na przygotowania, dalej cieszyła się, że może zdobyć pierwsze, drugie lub trzecie miejsce. My byłyśmy pieszczone i polerowane, widocznie Anielka czuła, że jesteśmy ważne. Niestety, rodzice zaczęli zauważać coraz częściej, że coś niepokojącego zaczyna dziać się z ich dzieckiem. Miała być zdrowa, a nadal wyglądała blado i szybko się męczyła. Martwiłi się. Była cały czas śpiąca. Coraz częściej bez żadnego powodu dostawała gorączki, nie wiadomo dlaczego. Dopóki dochodziła do siebie po wypadku, rodzicom wydawało się to normalne, ale potem już nie. Miała siniaki, mimo że nic sobie nie zrobiła. Teraz też często krew jej leciała z nosa. Cały czas utykała. Ale co to miało znaczyć? Zmartwieni rodzice zabrali ją do lekarza. Badania, badania... bez końca. Znowu pojawiła się w klinice „TA OSOBA”, która obiecała czuwać nad wszystkim. Diagnoza była wstrząsająca. Okazało się, że dziewczynka ma białaczkę. Anielka nie wiedziała, co to znaczy. My też nie. Czekало ją teraz długotrwałe leczenie. Odtąd jej życie gwałtownie się zmieniło. Nie mieszkała w domu. Bywała w nim gościem. Całe miesiące spędzała w szpitalu. Każdy wie, że ta okropna choroba zabija. Wszyscy obawiali się o małą. Nie mogła teraz pływać i to dla niej było największe zmartwienie, bo z innych zagrożeń nie zdawała sobie sprawy. My natomiast tak. Nas wzięła ze sobą do szpitala i z tego cieszyliśmy się bardzo. Dużo tam słyszałyśmy ważnych rzeczy i dużo widziałyśmy.

Mijały tygodnie. Leczenie wyglądało cały czas tak samo. Na początku, kiedy jej rodzice zdecydowali się poddać ją tej kuracji, przeprowadzono jej transfuzję krwi. Byłyśmy wtedy radośniejsze, bo nabrała żywszych kolorów, zniknęły siniaki i nie puszczała jej się krew z nosa. Następnie zaczęto stosować chemio-

terapię i to było okropne, bo dziewczynka źle się po niej czuła. Anielce ciągle pobierali krew. Sprawdzali, czy w jej organizmie nie ma już komórek nowotworowych. Dziewczynkę w chorobie bardzo wspierał strach o to, że może już nie pływać. Dawał jej siłę do dalszej walki z białaczką. Przychodził trener, a nawet wpadali koledzy i koleżanki z basenu. Opowiadali, co się dzieje, jakie zawody ją ominęły, i cały czas przekonywali, że wszyscy na nią czekają. „TA OSOBA” pojawiała się przy różnych okazjach i zawsze była miła i pomocna. My wspierałyśmy Anielkę – spała z nami, ścisłała nas, bawiła się gumką i głaskała.

Przez kolejne dwa lata po terapii podawano dziewczynce leki podtrzymujące, ale mogła już wrócić do normalnego życia. Niestety, jeszcze nie pozwolono jej pływać z kolegami. Ćwiczyłyśmy z nią trochę w wannie. Zrobiono jej potem badania kontrolne. Okazało się, że Anielka jest już całkowicie zdrowa. Wtedy „TA OSOBA”, która pracowała w klinice jako pielęgniarka, poprosiła rodziców i trenera o rozmowę. Przeprosiła za sytuację z zawodów i nawet nie umiała wyjaśnić, jak do tego dopuściła jako matka. Było jej strasznie wstyd. Wszyscy się wyściskali, a rodzice dziękowali za pomoc w leczeniu.

Anielka nie powinna co prawda jeszcze wrócić do pływania, ale z samozaparciem przekonała wszystkich, że to jej nie zaszkodzi. Tęskniła już mocno za tym sportem. Nie dziwiłyśmy się jej, kochała z całej siły tę dyscyplinę. Powróciła do swojego ulubionego zajęcia po roku. Miała już 10 lat, a pływała jeszcze lepiej niż kiedyś. Mimo że od trzech lat ani razu nie była na basenie, to dawała sobie świetnie radę. Rodzice obserwowali ją czujnie.

– Jak się czujesz? – wołali. – Poćwicz najpierw!

– Tego się nie zapomina – odpowiadała z wody rodzicom.

– Oszczędzaj się – krzykliwi przestraszeni.

– To jak z jazdą na rowerze: wsiadasz i jedziesz – śmiała się i nie chciała wychodzić z wody.

Była szczęśliwa, szybko wracały jej siły. My także cieszyliśmy się jej radością. Ale ogromnie bałyśmy się o jej zdrowie. Chyba nie przeżyłybyśmy następnej jej choroby. Na szczęście już była zdrowa jak ryba. Kontrole co pół roku kończyły się pomyślnie. Zaczęła ponownie chodzić na zawody. Początkowo nie wyglądało to różowo! Pływanie w różowych okularach nie gwarantowało sukcesu. Już jednak po kilku miesiącach na kolejnych zawodach miejskich miała trzecie miejsce. Zaczynała od nowa, nie oglądała się za siebie. Zgadnicie, kto zawsze siedział na trybunach i jej kibicował? „TA OSOBA” z synem. Chyba już nigdy nie rzuci w nikogo butelką. Córka „TEJ OSOBY” też pływa i nawet dziewczynkom udało się znaleźć wspólny temat. Jaki? Różowe okulary.

– Jakie ty masz piękne różowe okulary – powiedziała pewnego razu córka „TEJ OSOBY” do Anielki.

– Prawda? Wiele im zawdzięczam – odpowiedziała i ścisnęła nas jak nigdy dotąd. – Dzięki nim patrzę z optymizmem w przyszłość.

– Mogę przymierzyć? – spytała tamta.

– Oczywiście, każdy powinien mieć swoje różowe okulary – odrzekła Anielka, podając nas koleżance.

– Tak, to niezwykle okulary – powiedziała tamta i dziewczynki już wiedziały, że są bratnimi duszami.

Mimo ogromnych przeszkód Anielka nie poddawała się, trenowała i startowała w różnych zawodach. Mijały kolejne lata bez chorób, wypadków... za to

z nową przyjaciółką. Teraz też Anielka pokazuje nam, na co ją stać. Ma już za sobą straszne przeżycia, ma także kolejne osiągnięcia, została mistrzynią regionu. Jesteśmy z niej bardzo dumne, bo musiała w sporcie zaczynać po chorobie od początku i nie marudziła. Zawsze zabiera nas ze sobą na zawody i dba o nas, trzymając w jakiejś ładnej torebeczce. A my? Można powiedzieć, że jesteśmy „na emeryturze”, bo w basenie zastąpiły nas kolejne nowoczesne okulary. Jednak pozostajemy nadal świadkami jej wzlotów i upadków, nie tylko sportowych, i przeżywamy wszystko. Kochamy ją. Najważniejsze jest, żeby zawsze patrzeć na świat przez różowe okulary, wtedy niezależnie od trudności czeka nas nagroda – szczęśliwe zakończenie (tylko musimy umieć je dostrzec).

Paulina Bogdan

Nasze igrzyska olimpijskie

Pewnego dnia w małym miasteczku na Podlasiu czternastoletni Bartek szedł na umówione spotkanie z kolegami. Był ciepły i słoneczny wakacyjny poniedziałek.

Chłopcy często się spotykali na łące za osadą, aby pograć w piłkę nożną. Ich poczynania sportowe poważnie obserwował tłum gapiów. W zasadzie te spotkania były jedyną atrakcją dla młodzieży. Szkoda tylko, że nie odbywały się one na prawdziwym boisku, tylko na zwykłej łące z kamieniami wyznaczającymi bramki. Z drugiej strony dobrze, że ten kawałek pola nie był nikomu potrzebny i mogli do woli grać w piłkę.

Bartek dochodził na umówione miejsce i już z daleka ujrzał czekających na niego kolegów. Ruszył biegiem w ich stronę.

– Cześć! – powiedział chłopiec do swoich znajomych.

– Cześć! – odpowiedzieli chórem koledzy.

– To co dzisiaj robimy? – zapytał smutno Krzysiek, jeden z paczki.

Wszyscy zaczęli rzucać różne propozycje gier. Nagle Rafał ponuro stwierdził:

– Kurczę! Mamy wakacje, ale jest nudno. Ciągłe tylko gramy w piłkę i to wszystko. Chłopcy, musimy wymyślić coś, żeby to lato było niezapomniane.

– Tylko co? – zasepił się Kamil.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Od czasu do czasu któryś z dziesiątki chłopców rzucał propozycję, czym mogliby się zająć. To wycieczka rowerowa, to biwak nocny, to gra w piłkę. Nic jednak nie wydawało się na tyle atrakcyjne, aby mieli ochotę na realizację. Nagle do siedzących na trawie chłopców podeszły dwie ich znajome z klasy: Ola i Agnieszka.

– Cześć, chłopaki! – zawołały dziewczyny.

– Cześć! – odpowiedzieli chłopcy.

– A co to, igrzyska olimpijskie już zakończone? – zapytała ze śmiechem Ola.

– Jakie igrzyska?! – zdziwił się Tomek. – O czym ty mówisz?

– No, jak to o czym? Przecież codziennie rozgrywaliście tu jakiś mecz albo urządzaliście zawody w biegach. Skojarzyło się to nam z igrzyskami olimpijskimi i tak między sobą nazywałyśmy te wasze spotkania na łące – kończyła odpowiedź Agnieszka.

– Dziewczyny! Jesteście genialne! – zawołał radośnie Paweł.

Wszyscy się zdziwili. Czy Paweł się źle czuje? Może zaszkodził mu pobyt na tej rozgrzanej słońcem łące? Paweł jednak oznajmił wszystkim, że to jest świetny pomysł na wakacje – organizacja miejscowych mini-igrzysk olimpijskich.

– Oczywiście – ciągnął chłopiec – będzie to wymagało dużo pracy, bo przecież tę łąkę trzeba zamienić w stadion sportowy.

– Przecież to jest niewykonalne! – zawyrokował Piotr.

– Tego się nie da zrobić! – zgodził się Dawid.

– Zaraz, zaraz. Chłopcy, ten pomysł Pawła może się udać, trzeba tylko wziąć się do niego z głową – zaprotestował Arek.

– To co zrobimy? – zapytał zaciekawiony Bartek.

Arek wytłumaczył wówczas wszystkim, że jeśli przedsięwzięcie ma się udać, należy zwerbować do jego realizacji więcej osób. Ustalono zatem, iż zaczną od napisania ogłoszenia o poszukiwaniu chętnych do organizacji miejscowych igrzysk olimpijskich.

– A co z dyscyplinami sportowymi? – zapytał Karol, który lubił wiedzieć wszystko od A do Z.

– Może ustalimy je wspólnie z tymi, którzy się zgłoszą do organizacji imprezy? – nieśmiało zaproponowała Ola.

– Świetny pomysł – pochwalił Bartek. – Czy mam rozumieć, że jesteście chętni do współpracy?

– Oczywiście – odrzekły dziewczyny.

Następnie cały sztab organizacyjny, jak nazwali siebie pomysłodawcy lokalnej idei olimpijskiej, zasiadł do redagowania ogłoszenia. Termin spotkania dla wszystkich zainteresowanych wyznaczyli na środę na godzinę 10.00 na łące, na której zawsze się spotykali. Po napisaniu ogłoszenia i powieleniu go podzielili się rejonami i wyruszyli, aby porozklejać informację o planowanych igrzyskach. Serca całej paczki przyjaciół były z emocji i napięcia. Po skończonej pracy z niecierpliwością czekali na środowy poranek.

W końcu nadszedł wyznaczony dzień. Chłopcy i dziewczyny ze sztabu organizacyjnego z niepokojem wyruszyli na spotkanie. W głowie każdego kołatała myśl: „Co będzie, jeśli nikt nie przyjdzie?” Po wyjściu za obręb miasteczka nie mogli uwierzyć własnym oczom. Na łące stał tłum młodych ludzi. Byli to ich

znajomi ze szkoły. Paczka przyjaciół weszła w środek oczekujących. Przedstawili plany przemiany łąki w ministadion oraz organizacji igrzysk. Podzielili prace na stworzone z przybyłych ekipy. Po dwóch tygodniach łąka przypominała profesjonalny ministadion z bieżnią, boiskami do gry w piłkę nożną i siatkówkę, piaskownicą do skoku w dal, polem do rzutów piłką lekarską, kamieniem oraz oszczepem, a także pojawił się slalom do akrobacji na deskorolce. Po zakończeniu tych prac ustalono dyscypliny sportowe i rozpoczęto zapisy do nich. O inicjatywnie przyjaciół dowiedział się też burmistrz miasteczka i postanowił wesprzeć ich działania, fundując nagrody dla zwycięzców. Organizatorzy imprezy bardzo się z tego ucieszyli i poprosili włodarza, aby przyjął funkcję głównego sędziego, który skompletuje skład całego jury. Burmistrz zgodził się na tę propozycję z radością.

Rozpoczęcie lokalnych igrzysk olimpijskich zaplanowano na 10 sierpnia. Miały trwać siedem dni. Do udziału w imprezie zaproszono również okoliczne miejscowości. Zgłosiło się 150 zawodników biorących udział w dziesięciu dyscyplinach sportowych. Chłopcy ze sztabu organizacyjnego zapisali się do gry w piłkę nożną, a oprócz tego Maciek i Krzysiek postanowili wziąć udział w biegach na 1000 metrów, Rafał w akrobacjach na deskorolce, a Bartek w wyścigach rowerowych. Ola i Agnieszka zgłosiły swój udział w biegach w worku oraz w biegach na 600 metrów. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali na otwarcie igrzysk olimpijskich.

Wreszcie nadszedł wymarzony 10 sierpnia. Bartek, który chyba najbardziej z całej paczki zaangażował się we wszystkie sprawy organizacyjne, teraz denerwował się, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem. Szczegól-

nym niepokojem napawał go własny udział w wyścigu rowerowym. Kolarstwo to jego ulubiona dyscyplina sportowa. Już dziesięć lat systematycznie jeździł na swojej kolarzówce, ale nawet w najśmielszych snach nie marzył, że będzie miał okazję sprawdzić się w tej dyscyplinie sportowej. Do tej pory traktował to jako przyjemność, możliwość zrelaksowania się. Teraz zaś miał dać z siebie wszystko, aby przynajmniej spróbować sięgnąć po trofeum zwycięzcy. Każdego dnia oglądał swój rower. Sprawdzał łańcuch, hamulce, przerzutki oraz koła. Wszystko było w idealnym stanie. Należało tylko poczekać do 12 sierpnia, kiedy miał się odbyć wyścig kolarski. Trasa została wyznaczona i Bartek, podobnie jak pozostałych 18 zawodników startujących w tej konkurencji, już kilkakrotnie ją przemierzył. Na dwa dni przed wyznaczonym terminem wyścigów przyszedł do jego domu Tomek i od progu, po powitaniu, przekazał przyjacielowi nowinę:

– Wiesz, że Artur z II B również zapisał się do wyścigów kolarskich?

– Coś ty! – wykrzyknął Bartek. – Mam nadzieję, że tym razem nie będzie mi dokuczał. Wiesz przecież, że on zawsze się mnie czepiał bez żadnego powodu!

– Wiem. Dlatego wołałem cię ostrzec, abyś miał się na baczności. Z nim to nigdy nic nie wiadomo.

– Masz rację, chociaż myślę, że nawet Artur słyszał o zasadzie fair play obowiązującej w czasie sportowych zmaganiań – odrzekł Bartek.

– Zobaczymy – powiedział w zamyśleniu Tomek. – To do zobaczenia za dwa dni. Trzymam za ciebie kciuki. Trzymaj się. Cześć.

– Cześć – odpowiedział Bartek.

Po wyjściu kolegi chłopiec zaczął sobie przypominać wszelkie krzywdy, których doznał od Artura. Znę-

cał się nad nim, wyśmiewał go, a jeszcze żądał przynoszenia pieniędzy. Na szczęście przyjaciele rok temu dali dręczycielowi porządną nauczkę i od tamtej pory chłopiec miał spokój. „Aż do dziś” – pomyślał z niepokojem. Teraz zaś miał stanąć obok niego do rywalizacji o puchar zwycięzcy. Troszkę obawiał się tej sytuacji, ale byłoby niehonorowo teraz wycofać się z wyścigu. „Nie dam się zastraszyć!” – pomyślał Bartek i poszedł po raz kolejny dokonać przeglądu technicznego roweru.

W nocy przed wyścigami Bartek długo nie mógł zasnąć, a kiedy w końcu mu się to udało, miał koszmary z Arturem w roli głównej. Rano chłopiec wstał wyčerpany, ale postanowił nie poddawać się i mimo narastającego w nim lęku wziąć udział w rywalizacji. Ubrał się w przygotowany kilka dni wcześniej strój sportowy, wziął rower i pojechał na zgrupowanie wszystkich kolarzy z głównym sędzią jury. Wśród współzawodników od razu dostrzegł Artura, który przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem na twarzy. Sędzia wyjaśnił w tym czasie sportowcom zasady konkurencji i życząc im zwycięstwa, nakazał ustawienie się na linii startu. Zgodnie z zaleceniem udali się na wyznaczone miejsce, zajęli pozycje i po podniesieniu chorągiewki przez sędziego wystartowali. Na początku wszyscy jechali zwartym peletonem, ale po 3 kilometrach na czoło zaczął wysuwać się Artur, a za nim z minimalnym opóźnieniem Bartek. Po przejechaniu kolejnych 400 metrów Bartek zrównał się z liderem, mając nadzieję, że za chwilę go wyprzedzi. Wtedy Artur, chcąc zdekoncentrować rywala, krzyknął:

– Powietrze uszło ci z koła!

Bartek spojrział w dół i ten moment wystarczył, aby Artur znów był pierwszy. Do mety pozostał już niecały kilometr. Wydawało się, że zwycięstwo Artura

jest przesądzone. Nagle Bartek ujrzał go wylatującego w powietrze i lądującego na ziemi. Przed chłopcem otworzyła się ogromna, wręcz pewna szansa na zwycięstwo. Młody sportowiec zmagał się sam ze sobą. Wystarczyło tylko szybko dojechać do widocznej już linii mety. „Ale co z Arturem? Może jest ranny i potrzebuje pomocy?” – pomyślał Bartek.

– Nie mogę go tak zostawić – powiedział cicho do siebie chłopiec, podejmując decyzję o rezygnacji z dalszej rywalizacji.

Zatrzymał się i zsiadł z roweru, a w tym czasie minął go kolejny z zawodników, później następny i następny, ale żaden z nich nie zatrzymał się. Bartek tymczasem podszedł do leżącego jeszcze na ziemi Artura. Zobaczył, że chłopiec jest przytomny, więc zapytał go:

– Nic ci nie jest?

– Nie, nic się mi nie stało. Pękła mi dętka i wyrzuciło mnie w powietrze, na szczęście na piasek. Ale... dlaczego się zatrzymałeś, przecież mogłeś wygrać? – w głosie Artura słychać było zdziwienie.

– Musiałem. Przecież tobie mogło się coś stać – odpowiedział Bartek.

– Ale dlaczego? Przecież ja zawsze byłem dla ciebie okropny – dalej nie rozumiał Artur.

– Tak trzeba. Jeśli chce się być prawdziwym sportowcem, trzeba umieć zachować sportową postawę, nawet rezygnując z pewnego zwycięstwa – spokojnie wyjaśnił chłopiec.

– Dziękuję i przepraszam – z ust Artura wypłynęły słowa, których Bartek nigdy nie spodziewał się od niego usłyszeć.

– No, widzisz. Mam jednak z tego jakąś nagrodę – uśmiechnął się Bartek. – To co, od dzisiaj pokój między nami?

– Jasne. Jeszcze raz za wszystko przepraszam – cicho powiedział Artur.

Bartek pomógł wstać koledze i wspólnie pieszo dotarli do linii mety. Byli ostatni, ale nie było to już dla nich ważne. Po ich przybyciu jury ogłosiło werdykt. Zwycięzcą wyścigu kolarskiego został Krystian z sąsiedniej miejscowości. Tłum publiczności skandował na cześć lidera. Nagle sędzia główny poprosił o ciszę.

– Szanowni państwo! Rzeczywiście zawodnikiem, który pierwszy przekroczył metę, jest Krystian i słusznie została mu przyznana nagroda zwycięzcy. Jury sędziowskie postanowiło jednak przyznać jeszcze jedną, honorową nagrodę zwycięzcy dla Bartka za zachowanie sportowej postawy. Zawodnik ten mógł wygrać wyścig, ale postanowił go przerwać, aby udzielić pomocy sportowcowi, który uległ wypadkowi. Z pewnością musiał z sobą walczyć, ale wygrała w nim troska o drugiego człowieka. Wiem, że nie była to łatwa decyzja. Uważamy, że należy promować takie postawy, i dlatego uroczystie ogłaszam: honorowym zwycięzcą wyścigu kolarskiego naszych igrzysk olimpijskich jest Bartek. Chłopcze, podejdź tu i odbierz nagrodę.

Bartek nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Oszołomiony podszedł do sędziego, aby odebrać puchar zwycięzcy. Podniósł trofeum w górę i szczęśliwy uśmiech rozświetlił mu twarz. Spojrzał w dal na grupkę przyjaciół w tłumie kibiców, którzy radośnie machali do niego rękami i odwzajemniali uśmiech. „To mój najszczęśliwszy dzień w życiu” – pomyślał Bartek.

Zmagania sportowe trwały jeszcze pięć dni. Radość zwycięzców mieszała się ze smutkiem i łzami przegranych. Mimo to wszyscy świetnie się bawili. W dniu zakończenia igrzysk jury ustaliło, iż ideę lokalnych igrzysk olimpijskich należy kontynuować. Po-

stanowiono, że za cztery lata odbędą się one ponownie, a głównym ich organizatorem miał być bohater i największy zwycięzca wśród sportowców tegorocznej imprezy, czyli Bartek. Chłopiec z radością przystał na te ustalenia, bo wiedział, że z pomocą przyjaciół znów wszystko się uda doskonale, a przecież od 12 sierpnia grono jego dobrych kolegów powiększyło się.

Jakub Celiński

Pamiętając o bliskich

– Tato, zanosi się na piękny dzień. Może byś wyszedł na świeże powietrze albo po prostu wyprowadził psa na spacer. Nie możesz tak całymi dniami siedzieć w domu. Bardzo się o ciebie martwię.

– Naprawdę nie masz o co się martwić, córciu. Nic złego się ze mną nie dzieje. Obiecuję, że dzisiaj wyprowadzę Sharksa

Weronika pokiwała głową, jakby mi nie wierzyła.

– Wrócę wieczorem. Kacper i Michał kończą zajęcia dopiero o 14:15, a Thiago będzie około 16 – powiedziaławszy to, ucałowała mnie w policzek i wyszła.

Źle było mi z tymi kłamstwami. Wiedziałem, że nie wyjdę z domu, tak jak to robiłem od tygodni. Dzisiaj jednak miałem wymówkę, ponieważ zapowiedział swoją wizytę jakiś dziennikarz, Polak. Kiedy do mnie zadzwonił, aby się umówić, bez zastanowienia się zgodziłem. Chciałem porozmawiać z jakimś rodakiem, bo ciągle bardzo tęsknię za swoją ojczyzną. Nie mogę obarczać własnymi sprawami córki, mojego zięcia Thiago ani wnuków. Tak dużo dla mnie zrobili...

– Już idę! – krzyknąłem, usłyszawszy dzwonek do drzwi i podjechałem wózkiem.

– Dzień dobry – powiedział gość w drzwiach i zrobił wielkie oczy, jakby zobaczył ducha. Nic dziwnego, stary człowiek i do tego na inwalidzkim wózku nie robi dobrego wrażenia.

– Witam – rzekłem trochę niepewny. – Zapraszam pana.

Wysoki mężczyzna usiadł na brzegu beżowej kanapy.

– Czy pan dobrze się czuje? – Spojrzałem na gościa, który nadal robił wielkie oczy, a na dodatek poczerwieniał jak burak.

– Oczywiście! Ja przepraszam pana, że tak dziwnie się zachowuję, ale w końcu rozmawiam z legendą polskiej piłki nożnej!

Na te słowa posmutniałem.

– No właśnie, została już tylko legenda... ale może... Dobrze i to – stwierdziłem w myślach.

– Jestem Roman – powiedział dziennikarz. – Chciałbym zrobić z panem wywiad.

– Domyśliłem się. Chyba nie muszę się przedstawiać?

– Oczywiście, że nie panie... yyy... yyy...

– Piotrze – dokończyłem.

– Z ust pan mi to wyjął. Jak można nie znać piłkarskiej legendy!?! – powiedział z zażenowaniem. – Możemy zaczynać?

– No dobrze, ale co mam mówić?

– Niech pan opowie, jak rozpoczęła się pana przygoda z piłką.

Spojrzałem jeszcze raz na gościa i rozpocząłem swą historię.

* * *

Urodziłem się w Warszawie, tam dorastałem. Byłem jedynakiem. Przygodę z piłką rozpocząłem w pierwszej klasie szkoły podstawowej – oczywiście na wf-ie. Mój nauczyciel od razu dostrzegł we mnie talent. Namówił mnie, abym zapisał się do małej akademii piłki nożnej. To było jedno z moich największych i najskrytszych marzeń. Tam właśnie stawiałem pierwsze, poważne kroki.

W trzynaste urodziny straciłem ojca. Matka nie dawała sobie rady z pracą, prowadzeniem domu i wychowywaniem mnie. Brakowało pieniędzy. Nie było jak opłacić zajęć w akademii piłkarskiej, więc musiałem zrezygnować. Przed tą decyzją uchronił mnie trener, który zgodził się, abym trenował za darmo. Byłem naprawdę dobry.

Moje życie zawaliło się w wieku szesnastu lat, kiedy to matka zginęła w wypadku samochodowym. Trafiałem do sierocińca. Przez trzy tygodnie nie pojawiałem się na treningach ani na zajęciach w szkole. Z dołka wyciągnęli mnie koledzy, którzy zabrali mnie na mecz piłkarski. Pasja wróciła z podwójną siłą. Miałem jakiś cel – chciałem grać i wygrywać... dla rodziców.

Po skończeniu liceum nie zamierzałem iść na studia. Chciałem zarabiać, grając w piłkę, ale to nie było jednak takie proste.

Na początku marca przydarzył mi się wypadek. Podczas meczu z moimi kolegami dostałem mocnego kopniaka w kolano. Nie bolało mnie, tylko trochę posiniało. Zignorowałem to, byłem pewny, że nic mi nie będzie. Jednak wieczorem ból się nasilił. Z trudem się poruszałem. Pojechałem do szpitala. Doktor postawił diagnozę, która przyprawiła mnie o szybsze bicie serca. Do dziś pamiętam to uczucie. Wyrok brzmiał – zerwanie więzadeł krzyżowych w lewym kolanie. Cze-

kała mnie operacja, a potem długa rehabilitacja. Trudno było mi się z tym pogodzić. Przecież chciałem grać w piłkę, spełniać swoje marzenia. Po pewnym czasie zrozumiałem, że muszę przez to przejść.

Zacząłem się od operacji. To bardzo dziwne uczucie, gdy cię operują. Po prostu zamykasz oczy, a gdy je otwierasz, tak jak większość ludzi w takiej sytuacji, pytasz: „Czy operacja się udała?”

Ja nie byłem wyjątkiem. Patrzyłem wtedy na pielęgniarkę i czekałem na odpowiedź. Ta jednak na mnie spojrzała, po czym odrzekła, że lekarz zaraz przyjdzie. Wiedziałem, że coś poszło nie tak. Okazało się, że doszło do komplikacji i moje kolano nigdy nie będzie tak sprawne jak kiedyś. Nie byłem zaskoczony. Zastanawiałem się tylko, czy kiedykolwiek ktoś przekaże mi jakąś szczęśliwą wiadomość. Mimo przeciwności losu nie poddałem się, walczyłem o swe marzenia. Lekarz wyraźnie odradzał mi grę w piłkę. Mówił, że nie będę tak sprawny jak kiedyś, że jakakolwiek kontuzja kolana w przyszłości może na dobre przekreślić możliwość poruszania się o własnych siłach. Ignorowałem te przestrogi, bo piłka nożna była całym moim życiem.

Po upływie dwóch lat wznowiłem treningi. Nie było zbyt dobrze, ale z każdym tygodniem coraz lepiej. Nie odpuszczałem i trenowałem. Szukałem miejsc w różnych klubach piłkarskich, lecz nikt mnie nie chciał.

Trzy miesiące czekałem na pozytywną odpowiedź. Jednak ujrzałem światło w tunelu. Propozycja gry w Legii Warszawa. Ciężko było mi uwierzyć, że klub ten o mnie zabiega. Nie odstraszała ich moja „niepełnosprawność”.

Moje życie bardzo się zmieniło. Zacząłem zarabiać na własne utrzymanie. I to nie były jakie pieniądze! Poza tym poznałem wielu ludzi, których obdarzyłem

zaufaniem. Z czasem w moim życiu pojawiła się kobieta – Marlena. Nie trzeba było dużo czasu, abyśmy wzięli ślub.

Wróćmy jednak do mojej kariery piłkarskiej. Trenerowi spodobała się moja gra. Nie bał się wystawić mnie w meczach o wysokie stawki. Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Przyszły pierwsze sukcesy: Puchar Polski, mistrzostwo ligi...

Przyszedł też epizod gry w reprezentacji kraju. Do stałem powołanie na mecz z Anglią. Wygraliśmy wtedy 2:0. Nigdy nie zapomnę mojej asysty w tamtym meczu. Polscy kibice mnie pokochali. Wszystko było dobrze.

Kilka lat później na świat przyszła Weronika – moja córka, a Marlena umarła przy porodzie... Wtedy pomyślałem, że wisi nade mną jakieś fatum. Wszyscy, których tak bardzo kochałem, odchodzili. Nie, nie zalałem się. Chciałem pokazać Weronice, że jej ojciec jest silny i da sobie radę.

Wszystko szło bardzo dobrze aż do czasu meczu Polska-Szwecja. Tego dnia moje dryblingi się nie udawały. Trener właśnie miał mnie zmienić, ale nie zdążył... 63 minuta – brutalny faul jednego ze szwedzkich zawodników. Poszkodowanym byłem oczywiście ja. Kolejna poważna kontuzja wykluczyła mnie z gry na pół roku.

Kiedy już wróciłem na boisko, nie grałem tak jak kiedyś. Moim oficjalnym powrotem miał być reprezentacyjny pojedynek z Hiszpanią na mistrzostwach świata. Nie szło dobrze. Mieliśmy wiele sytuacji podbramkowych, ale żadna nie zakończyła się golem. Swojego pola karnego broniliśmy jak lwy, a o rezultacie meczu miały zadecydować rzuty karne. Żaden z zawodników nie zmarnował swojej jedenastki. Presja rosła. Aby po-

zostać w grze, musiałem wykorzystać swój strzał. Ze spokojem ustawiłem piłkę na kropce. Skupiłem się, podbiegłem i kopnąłem... słupek. Zawiodłem kolegów w tak ważnym momencie. Postanowiłem odejść z reprezentacji. Nikt mnie nie powstrzymywał.

Wyjechałem do córki do Barcelony i jestem tu do dziś...

Podniosłem wzrok i zauważyłem, że dziennikarz wpatruje się we mnie z wielkim zaciekawieniem.

– Polscy kibice nigdy pana nie zapomnieli i nie zapomną. Jest pan legendą.

– Z mojej perspektywy wyglądało to zupełnie inaczej. Tak czy siak to już minęło.

– No cóż, dziękuję panu za rozmowę. To był dla mnie zaszczyt – zatrzymał się w drzwiach.

– To ja panu dziękuję. Dzięki tej rozmowie spojrziałem na swoje życie inaczej i stwierdzam, że stałem się strasznym mazgajem i egoistą. Skoro polscy kibice jeszcze mnie pamiętają, ja też nie powinienem „zapominać” o sobie.

Po wyjściu gościa usiadłem w fotelu, aby odpocząć. Po chwili wziąłem do ręki album leżący tuż obok na półce, a kiedy go otworzyłem, zobaczyłem na zdjęciu siebie, tylko młodszego. Obok mnie stała uśmiechnięta Marlena. Wtedy uświadomiłem sobie, że ona też na pewno by nie chciała, abym zamknął się w sobie, uciekł od świata. Tyle lat walczyłem z przeciwnościami. Czy nie potrafię tego zrobić teraz?

Zrozumiałem, że zamiast uzalać się nad sobą, powinienem wykorzystać każdą chwilę życia, jaka mi została. Trzeba się zmienić, póki mam jeszcze czas!

– Sharks, piesku, idziemy na spacer!

Dominika Duzdowska

Droga do zwycięstwa

Drogi Czytelniku! Zabieram Cię ze sobą. Weź strój kąpielowy, bo będziemy razem pływać...

ROZDZIAŁ 1 NIEPEWNOŚĆ

Był bezchmurny majowy poranek. Słońce wyszło zza chmur, a jego świetliste promienie rozjaśniły plac, na którym właśnie zaparkowały dwa autokary.

Z jednego z nich wysypała się grupa hałaśliwych nastolatek. Wśród nich wyróżniała się drobna jasnowłosa dziewczynka, która najwyraźniej czuła się zagubiona. Nie wiedziała, czy dobrze robi, startując w zawodach pływackich. Szła wolnym krokiem, taszcząc za sobą torbę z kostiumem kąpielowym, czepkiem, ręcznikiem, klapkami i okularami. Najchętniej zostawiłaby wszystko i wszystkich, wróciła do autobusu, ale nie było to możliwe, bo drogę ucieczki zamykała trenerka, która żwawym krokiem podeszła do dziewczynki i powiedziała:

– Super! Jesteśmy na miejscu. Chodźmy.

Grupa zareagowała entuzjastycznie, tylko Majka poczuła się dziwnie: serce zabiło jej szybciej i poczuła, jak robi jej się gorąco. Uświadomiła sobie, że teraz już nie ma odwrotu.

Pani Amelia pewnym krokiem poprowadziła ich do ogromnej hali. Pozwoliła zawodniczkom poczuć zapach chloru – przedsmak zwycięstwa lub porażki, nacieszyć oko pięknym basenem i skierowała się w stronę szatni. Kazała dziewczynom rozpakować torby i przyjść do małej salki gimnastycznej, gdzie miała udzielić im ostatnich wskazówek. Najbardziej martwiła się o najmłodszą i najmniej doświadczoną Majkę, której poświęcała najwięcej uwagi i trenerskiej troski.

Następna godzina upłynęła na rozmowie, która miała przypomnieć pływaczkom o tym, że pływanie to świadomość, że wyjść tak bardzo zmęczy, ale i tak żaden zawodnik nie podda się bez walki. Trenerka przez cały czas obserwowała Maję i tak naprawdę mówiła tylko do niej. Bardzo chciała, by jej podopieczna przełamała strach, bo lubiła dziewczynę i wiedziała, że ma zadatki na dobrą pływaczkę. Przypomniła jej, że na wczorajszym treningu pobiła swój rekord życiowy, że jest w dobrej formie, że na trybunie będą jej rodzice i siostra, którzy są z niej bardzo dumni i dla których już wygrała te zawody.

– Dasz radę – powiedziała trenerka zdecydowanym głosem i poprosiła, aby dziewczynka przebrała się w strój kąpielowy, tym samym dając jej czas na zebranie myśli przed startem. Miała nadzieję, że paplani-na koleżanek, wyraźnie podekscytowanych zawodami, pomoże rozładować jej stres.

ROZDZIAŁ 2

EMOCJE, WODA I RESZTA ŚWIATA

Nasza bohaterka otuliła się zielonym ręcznikiem i usiadła na basenowych kafelkach. Trybuny zaczęły się zapęłniać, ale Maja wypatrywała rodziców i Kai – siostry bliźniaczki. Na chwilę zatrzymała wzrok na młodej dziewczynie siedzącej na wózku inwalidzkim, ale nie poświęciła jej większej uwagi, bo nie mogła się doczekać, kiedy przyjdą jej najbliżsi. Nareszcie! Są! Ulga. Spokój. Zadowolenie.

Z mikrofonu rozległ się męski głos informujący, że za chwilę rozpocznie się wyścig na dystansie 100 metrów stylem motylkowym. Dziewczyna zrzuciła zielony talizman, który okrywał jej drżące ciało, podeszła do słupka startowego, niepewnie wspięła się na podest i przyjęła odpowiednią pozycję.

Widzowie na trybunach ucichli. Rodzice dziewczyny zacisnęli kciuki.

Maja starała się myśleć pozytywnie, lecz nie umiała poradzić sobie ze stresem. Wzięła głęboki oddech i po usłyszeniu sygnału wskoczyła do wody. Trybuny oszalały. Jej siostra Kaja skakała, klaskała w dłonie i krzyczała: „Maju, dasz radę!!” Mama i tata wstali ze swoich miejsc i przyłączyli się do dopingowania córki.

Mają otoczyły tysiące bąbelków. Miała wrażenie, że jest zamknięta w dźwiękoszczelnej kapsule, która ogranicza i spowalnia jej ruchy. Zachłysnęła się wodą i zaczęła się krztusić. „Weź się w garść, mała – pomyślała. – Dasz radę”. Uspokoiła i wyrównała oddech, skoordynowała ruchy ciała i zaczęła coraz szybciej płynąć, by dogonić uciekające rywalki.

Najpoważniejsza z nich – Anastazja płynęła na sąsiednim torze i systematycznie zwiększała dystans.

Majka w samą porę zorientowała się, że jeżeli teraz nie przyspieszy, to przegra złoty medal. Pomyślała: „Nie wygrasz srebra, tylko stracisz złoto”. Ta myśl dodała jej sił. Przełamała zmęczenie, wysunęła się na prowadzenie i pierwsza dotknęła ścianki. „Nie mogę uwierzyć! Jestem pierwsza! Udało się!”

Maja przypomniała sobie wierszyk, który kiedyś sama ułożyła:

*Gdy emocje wypełniają me serce,
Tylko radość ma w nim miejsce.
Nie mam żadnych kłopotów,
Więc wygrać jestem gotów!
A szczęście maluje na twarzy
Uśmiech, o którym każdy marzy!
Podskoczyła mi adrenalina,
Życie jest jak długa lina!
I nieważne, czy wygrasz, czy nie;
Duch sportu najbardziej uszczęśliwia mnie!*

ROZDZIAŁ 3 WZRUSZAJĄCE WYZNANIE

Dziewczyna spojrzała na widownię. Wszyscy wiwatowali na jej cześć. Rodzice i Kaja krzyczeli najgłośniej i skakali ze szczęścia. Maja spojrzała w stronę swojej największej rywalki, która jako jedyna do niej nie podeszła i nie pogratulowała zwycięstwa. Pomyślała, że jej konkurentka nie potrafi przegrywać. Postanowiła podejść i podziękować tamtej za walkę, tak jak uczyła ich trenerka. Anastazja stała na krawędzi basenu, a po jej twarzy spływały łzy. Odwróciła się w stronę podchodzącej Mai i powiedziała:

– Złoty medal chciałam podarować swojej starszej niepełnosprawnej siostrze, która kiedyś była świetną pływaczką, ale rak kości przekreślił jej karierę. Pływam, choć tego nie lubię, zdobywam medale nie dla siebie, lecz dla niej. Starłam się zrealizować jej marzenia, bo ją bardzo kocham. To miały być moje ostatnie zawody sportowe. Wspólnie ustaliłyśmy, że od jutra zaczynam realizować swoje marzenia – chcę trenować to, co najbardziej kocham, czyli piłkę nożną.

Maja nie wiedziała, jak się zachować. Podeszła bliżej, objęła niedawną konkurentkę i pomyślała, że dziewczyna ma charakter.

ROZDZIAŁ 4 NIEZWYKŁY CZYN

Zbliżała się ceremonia dekoracji medalistów. Majka usłyszała swoje imię i nazwisko, lecz nie potrafiła się już cieszyć ze zdobytego medalu. Wtem do głowy przyszedł jej pewien pomysł...

Medale wręczała sama Otylia Jędrzejczak! Maja ją uwielbiała. Była dla niej wzorem kobiety sportowca. Czuła się wyróżniona i zawstydzona.

– Gratuluję! – powiedziała Otylia.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho Maja. Mam do pani nietypową prośbę. Na trybunach jest ktoś, kto ucieszy się bardziej z tego medalu. To siostra mojej rywalki, która zajęła drugie miejsce. Chciałabym, aby pani wręczyła jej ten złoty krążek na znak solidarności ze wszystkimi sportowcami, których kariera została przerwana przez chorobę lub kontuzję.

Otylia zaniemówiła. Była pod ogromnym wrażeniem dojrzałości Mai. Pogratulowała jej pięknej posta-

wy i postanowiła spełnić tę prośbę. Poprosiła o mikrofon i powiedziała, zwracając się do publiczności:

– Proszę państwa! Mam zaszczyt spełnić prośbę zwyciężczyni dzisiejszych zawodów. Swój medal chce ofiarować Kamili, byłej pływaczce, która dziś walczy z największym rywalem, jakim jest rak.

Otylia, Maja i Anastazja podeszły do młodej kobiety siedzącej w pierwszym rzędzie na wózku inwalidzkim. Mistrzyni olimpijska dokonała dekoracji. Dwa medale – złoty i srebrny – pięknie błyszcząły w promieniach słonecznych, które nieproszone wdarły się przez wielkie okna i oświetlały twarze wzruszonych ludzi, będących świadkami spełnionych/niespełnionych marzeń. Wszyscy wstali i zaczęli bić brawo, a najgłośniej rodzice i siostra Mai.

... szczęśliwie dołynęliśmy do mety. Wszystkim czytającym moje opowiadanie pragnę przypomnieć, że pływamy dla śmiechu, pływamy ze łzami, pływamy dla szaleństwa, pływamy z nadzieją, pływamy dla zwycięstwa, pływamy dlatego, że jesteśmy sportowcami i tworzymy marzenia.

Jakub Niewiarowski

Sportowe zauroczenie

Mam na imię Piotrek. Jestem uczniem szóstej klasy i zawodnikiem klubu sportowego „Piaś”. Od czwartego roku życia trenuję biegi na krótkim i średnim dystansie. Mam szansę zostać wybitnym zawodnikiem w tej dyscyplinie, przynajmniej takie opinie słyszę kilka razy w tygodniu od moich rodziców.

Czy muszę zostać biegaczem tylko dlatego, że pochodzę z rodziny ze sportowymi tradycjami? Coraz częściej zadaję sobie to pytanie i dochodzę do wniosku, że to dorośli podejmują decyzję za dziecko, nie zastanawiając się nad tym, czy to jest to, czego ono samo by chciało. W takiej rodzinie jak moja sport jest tematem nadrzędnym nad wszystkimi innymi kwestiami. Tematy związane ze sportem rozpoczynają i kończą każde nasze spotkanie rodzinne.

– Sportowe tradycje tworzą chlubną historię naszej rodziny, Piotrusiu – ma zwyczaj mawiać mój dziadek.
– Tradycję, którą tworzą kolejne pokolenia, i na ciebie przyjdzie czas, aby zapisać się na kartach tej historii.

No tak, łatwo powiedzieć, ale co będzie, jak mi się nie uda, jak nie będę wybitnym sportowcem? Gdzie będzie wtedy moje miejsce w tej rodzinnej historii? Nie idzie mi przecież tak dobrze, jak chcieliby rodzi-

ce. Pracuję ciężko i bardzo dużo, ale moje osiągnięcia są przeciętne. Słyszę wciąż, że muszę więcej trenować, bo trening czyni mistrza. Ale ja czuję, że tak nie jest. Coraz częściej bieganie mnie męczy, nie fizycznie, ale psychicznie. Nie odczuwam żadnej przyjemności podczas tych treningów, tylko narastające zmęczenie i niechęć.

– We wszystko, co robisz, musisz, synku, wkładać całe swoje serce, bo tylko wtedy uda ci się osiągnąć to, co zaplanujesz. Tylko wtedy, kiedy człowiek wykonuje jakąś czynność z pasją, oddając się jej bez reszty fizycznie, psychicznie i emocjonalnie, jest w stanie dojść do doskonałości – powtarza mi mama w chwilach zwątpienia.

A ja nie czuję tej pasji w bieganiu, więc jak mam oddać temu moje serce? Wiele razy chciałem już porozmawiać z rodzicami na ten temat, ale w takiej rodzinie jak moja nie jest to łatwe. Moja prababcia była wybitną przedwojenną biegaczką, mistrzynią Polski i Europy. Jej syn, a mój dziadek, także był znakomitym zawodnikiem i srebrnym medalistą olimpijskim. Kolekcja medali mojego taty jest tak imponująca, że samo patrzenie na nie budzi we mnie jakiś lęk i niepokój. Czuję, że ta sportowa tradycja przytłacza mnie z każdym rokiem bardziej, a te wszystkie biegowe anegdoty i historie wywierają na mnie ogromną presję.

– Głowa do góry, Piotrek – mówi mi tata po każdym zawodach. – Nie załamuj się i trenuj jeszcze intensywniej, a sukcesy przyjdą z czasem. Jesteś skazany na sukces! Odziedziczyłeś po naszej rodzinie gen sportu, przeznaczenia nie da się oszukać.

Ludzie, co oni mi opowiadają?! Gen sportu. Czy coś takiego w ogóle istnieje? A nawet jeśli istnieje, to skąd pewność, że ten gen dostał mi się na pewno?

Gen sportu, a raczej jego brak, sprawia, że tracę wiarę w swoje możliwości. Chciałbym o tym porozmawiać z rodzicami, ale nie wiem, jak mam im to powiedzieć. Dlatego tak siedzę po każdym treningu na ławce w parku koło klubu i rozmawiam sam ze sobą, a raczej ze swoimi myślami.

– Cześć, Piotrek – dobrze znany głos wyrwał mnie kiedyś z tej niemej rozmowy. – Ty znowu tak medytujesz na tej ławce? – zadzwęczał mi w uszach wesoły głos Anki, mojej koleżanki ze szkoły.

Anka jest bardzo fajną dziewczyną i bardzo ją lubię. Imponuje mi nawet, bo jako jedyna dziewczyna, którą znam, uprawia łucznictwo i ma świetne wyniki. Poza tym jest bardzo miła, wesoła i koleżeńska, chociaż nie mówi bez przerwy jak niektóre moje koleżanki. Jest taka naturalna i wcale nie stara się wszystkim podobać. Chciałbym się z nią bliżej zaprzyjaźnić, ale no sam nie wiem, jak to zrobić.

– O czym ty tak myślisz, siedząc tu ciągle na tej ławce, wiersze układasz czy co? – zaśmiała się Anka głośno.

– Nie, no coś ty! – odpowiedziałem szybko. – Tak sobie czasem sam ze sobą rozmawiam, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale i tak nie chciałyś o tym słuchać.

– A właśnie, że chciałyby, więc posuń się trochę i nawijaj, a ja zamieniam się w słuch – odrzekła nie spodziewanie.

I nie wiem, jak to się stało, ale opowiedziałem jej o tym wszystkim, co mnie gryzło, o czym nie umiałem porozmawiać dotąd z nikim: o moich wątpliwościach, o sportowych tradycjach mojej rodziny i oczekiwaniach wobec mnie, i braku tej pasji, o której opowiadała mi mama. A ona tylko siedziała i słuchała. Kiedy zaś skończyłem, powiedziała coś zupełnie zwariowanego:

– Wiesz co ci, Piotrek, powiem? Wszystko jest z tobą dobrze, tylko rodzice wybrali ci złą dyscyplinę sportu do uprawiania. Myślę, a nawet jestem przekonana, że będziesz świetnym zawodnikiem w innej dyscyplinie sportu, a mianowicie w łucznictwie. I mam dla ciebie propozycję, abys jutro poszedł ze mną na trening. Nic nie mów w domu. Zobaczymy, jak ci się spodoba. Umowa stoi? – zakończyła swój wywód Anka.

– Stoi – odpowiedziałem, choć byłem niezłe zaskoczony i zaciekawiony całą sytuacją.

Następnego dnia spotkaliśmy się z Anką w klubie „Tarcza” na moim pierwszym spotkaniu z łucznictwem. I, to niezwykle, ale było fantastycznie. Już od trzeciego strzału miałem powyżej ósemki. Trener Anki był zdumiony i powiedział, że mam prawdziwy talent. Zaproponował treningi i jeśli będzie mi tak dalej szło, udział w zawodach o puchar Polski. Wyszedłem stamtąd oszołomiony. Wydawało mi się, że to jakiś sen. Pierwszy raz naprawdę poczułem się szczęśliwy. Ale zaraz potem pomyślałem: jak ukryć przed rodzicami nowe treningi, czy mi pozwolą? Anka powiedziała, że jeśli się przyłożę, to wezmę udział w zawodach i jeśli dobrze mi pójdzie, rodzice na pewno mnie zrozumieją i odpuszczą mi biegi na rzecz łucznictwa.

To był dla mnie bardzo trudny czas. Trenowałem w dwóch klubach, przy czym w jednym potajemnie, chodziłem do szkoły i trochę brakowało mi snu. Ale byłem szczęśliwy. Treningi łucznicze były dla mnie prawdziwą przyjemnością, lubiłem je i wiedziałem, że chcę to robić. Gdy przygotowywałem się do strzału, czułem, że cały mój organizm działa na najwyższych obrotach. Ręka była nieruchoma, ale pewna, umysł wyciszał się, a wzrok wyostrzał, wstrzymywałem oddech, wypuszczałem strzałę i widziałem, jak leciała ona do-

kładnie tam, gdzie chciałem. To było niezwykle doznanie.

W eliminacjach do zawodów zakwalifikowałem się do ścisłego finału, w którym w walce medalowej będę musiał zmierzyć się z Anką. Ona zaś wciąż mi powtarza, żebym nie liczył na fory. Przyszedł czas poinformować rodziców. Zawody odbywały się w naszym mieście, więc zaprosiłem rodziców do klubu „Tarcza”, obiecując im wielką niespodziankę. Rodzice chętnie się zgodzili, niczego nie podejrzewając.

Kiedy w sobotę zobaczyli mnie biorącego udział w zawodach o puchar Polski, byli po prostu zdumieni. I tu znowu mogłem liczyć na Ankę, która wzięła sprawy w swoje ręce, widząc, że ja jestem cały sparaliżowany ze strachu. Podeszła do rodziców, przedstawiła się i opowiedziała o całej sytuacji. Mówiła o wielkich sportowych tradycjach rodzinnych, o mojej niechęci do biegów i o ogromnym strachu przed szczerą rozmową z nimi, z obawą, że ich zawiodłem. Dobrze, że dzieliła nas cała długość hali, bo widziałem, że tata aż usiadł z wrażenia. Tę okropną sytuację przerwał głos spikera wzywający nas na start. Anka, przechodząc koło mnie, mrugnęła okiem i powiedziała, że rodzice byli bardzo zdziwieni, ale są ze mnie dumni i trzymają za mnie kciuki.

– A ty się dobrze postaraj i pokaż, na co cię stać. Przyłóż się i nie licz na fory – zaśmiała się.

Ja strzelałem pierwszy i mimo ogromnej presji udało mi się trafić w dziewiątkę. Anka strzelała druga. Pomału naciągnęła strzałę, popatrzyła na mnie, puściła oko i zwolniła strzałę, która pomknęła do tarczy i wbiła się dokładnie w środek siódemki. To niemożliwe – pomyślałem – przecież ona jest najlepsza. Tymczasem Anka zmierzała w moim kierunku.

– Gratuluję zwycięzcy! Jesteś prawdziwym mistrzem. Pokazałeś dzisiaj, na co cię stać. Zdobyłeś swój pierwszy złoty medal, ale przede wszystkim wygrałeś marzenia. Mnie zaś te zawody przyniosły prawdziwą przyjaźń, co nie? – Mrugnęła okiem i dodała: – A ty ćwicz wytrwale, bo następne zawody za 3 miesiące, i nie licz na taryfę ulgową.

– Natury nie da się oszukać – powiedział tata, podchodząc do mnie z gratulacjami. Odziedzyczyłeś gen sportu, to pewne, tylko niewłaściwą dyscyplinę ci wybraliśmy – dodał śmiejąc się.

– Widzę, że odnalazłeś prawdziwą pasję, której oddałeś całe serce. Rób to, co kochasz, a będziesz szczęśliwy – dodała mama.

Może jednak istnieje gen sportu i ja go także odziedziczyłem. Robię to, co lubię, spełniam się w sporcie, który jest teraz moją prawdziwą pasją. Mam szansę kontynuować sportowe tradycje mojej rodziny. A wszystko dlatego, że spotkałem niezwykłą osobę, która pokazała, jak spełniać marzenia, i podarowała mi prawdziwą, bezinteresowną przyjaźń. Dziękuję ci, Aniu.

Maria Pałgan

O tym, jak własna słabość może dać siłę

Był słoneczny dzień. Na niebie nie było widać ani jednej chmurki. Ktoś mógłby powiedzieć – dzień jak co dzień, ale dla chłopca o imieniu Staś to nie był zwykły dzień. Mało! To mógł być najważniejszy dzień w jego życiu. Czekał na niego cały rok!

Był dziesięcioletnim chłopcem ze stwierdzonym stwardnieniem rozsianym. Od kilku tygodni miał już wózek dla osób niepełnosprawnych, choć choroba nie była jeszcze na tyle rozwinięta, by musiał z niego korzystać na co dzień. Na razie wózek bardziej pomagał w unikaniu zmęczenia, aniżeli zastępował nogi.

Bywały dni, kiedy całkiem nieźle radził sobie na własnych nogach. Przed chorobą należał też do szkolnej drużyny piłkarskiej. W obecnej chwili nie był w stanie „dobiegać” jednej połowy meczu. To właśnie trener pierwszy dostrzegł początkowe oznaki choroby. Z najlepszego zawodnika Staś stał się najgorętszym kibicem drużyny „CZEMPIONÓW” ze Szkoły Podstawowej im. Polskich Olimpijczyków.

Mieszkał w małym miasteczku niedaleko Poznania. Od zawsze jego marzeniem było zdobywać górskie szczyty. Ponieważ matce samotnie wychowującej schorowanego chłopca nie zawsze wystarczało pieniędzy, fundusze na wyjazd zdobyła fundacja spełniająca marzenia niepełnosprawnych dzieci.

Wyjechali autem wcześniej rano, bo już o 4:30.

Staś nigdy nie był tak daleko od rodzinnego domu. W czasie drogi podziwiał widoki, ale doskwierała mu choroba lokomocyjna. Mama co chwilę musiała zatrzymać auto i otwierać drzwi samochodu, aby do środka wleciało trochę świeżego powietrza. Wreszcie o godzinie 13:00 byli na miejscu.

Staś cieszył się jak nigdy dotąd. Był przecież w Zakopanem – zimowej stolicy Polski! Przez chwilę myślał nawet, że to sen. Kiedy wnieśli bagaże do pensjonatu, Staś stwierdził, że jest gotów zdobyć swój największy szczyt – w końcu przez ostatnie miesiące ciężko ćwiczył pod okiem wykwalifikowanego instruktora.

Noc minęła mu niespokojnie. Prawie nie spał. Mama natomiast martwiła się, bo przed wyprawą powinien być przecież wypoczęty.

Nareszcie nastał ranek. Chłopiec obudził mamę i krzyknął, że to już dziś.

Do plecaka spakowali najpotrzebniejsze rzeczy. Staś ulokował się w aucie i wyruszyli razem do Kuźnic, gdzie czekać mieli pozostali uczestnicy nietypowej wyprawy. W drodze przez cały czas towarzyszyła mu melodia hymnu drużyny CZEMPIONÓW, pt. *Pokonaj siebie* – taki właśnie miał plan na dziś.

Tuż pod kolejką linową czekał na nich przewodnik wraz z ośmioosobową grupą innych niepełnosprawnych dzieci. Każde z dzieci miało swojego opie-

kuna i instruktora, z którym ćwiczyło, przygotowując się do podejścia na Giewont. Był też lekarz z ogromnym plecakiem medykamentów. Kiedy zatrzymali się przed ścieżką prowadzącą na szlak, Staś podniósł głowę i z dumą w głosie powiedział:

– Góry, oto przychodzę.

Mama patrzyła na niego z drżącym sercem, dyskretnie ocierając łzy.

Wybrali szlak niebieski, prowadzący przez Kalatówki, Dolinę Kondratową obok schroniska i przez Kondracką Przełęcz.

Pogoda była wprost wyśmienita na wycieczkę. Niebo bezchmurne, Staś czuł się świetnie. Nic go nie bolało. Do pewnego momentu było wprost idealnie.

Gdy grupa zbliżała się do schroniska, niestety nagle się zachmurzyło i doszło do załamania pogody. Niedaleko uszli, gdy zaczął padać deszcz. Przewodnik zarządził powrót do schroniska.

Zjedli po porcji gorącego żuru i wysuszyli się. Deszcz jednak nie ustawał.

Na domiar złego rozpętała się burza z piorunami. Na takiej wysokości burza to przerażające zjawisko. Jeden z piorunów uderzył w pobliskie skały. Rozległ się wielki huk, poprzedzony złowieszczym błyskiem. Podobne błyski i trzaski dało się słyszeć jeszcze kilka razy. Wszyscy znieruchomieli. W oddali pojawił się dym.

Ludziom chorym na stwardnienie stres niestety nie służy. Na domiar złego w schronisku brakło prądu. Przewodnik ogłosił oficjalnie, że dzisiaj nie wyjdą już w góry. Akcja zostaje przełożona na jutro, o ile pogoda na to pozwoli.

Tej nocy Staś znów nie spał, a to z kolei nie wpłynęło dobrze na jego samopoczucie. Rano w mediach podano informację o trzech osobach, które poprzed-

niego dnia na szczycie Giewontu poraził piorun. Na szczęście dzięki szybkiej pomocy goprowców cała trójka trafiła do szpitala. Wszyscy żyją!

Wiadomości wywołały panikę wśród uczestników wyprawy, ale nikt nie chciał się wycofać.

Staś czuł się coraz gorzej, ale nie okazywał tego. Chciał za wszelką cenę udowodnić samemu sobie, że mimo choroby jest równie wartościowym człowiekiem jak jego pełnosprawni rówieśnicy. Szkolna pio-senka znów atakowała jego myśli: ... *Chcę, potrafię, wzniosę się, to naprawdę dobry dzień. Mam przed sobą jasny cel...*

Tymczasem mama już przy pierwszym postoju zauważyła, że coś jest nie tak. Chłopiec miał gorączkę. Na szczęście mieli pomoc medyczną, a w plecaku potrzebne leki. Doktor stwierdził, że to nic poważnego, a jedynie emocje. Po podaniu tabletki przeciwgorączkowej Staś poczuł się lepiej. Wyprawa ruszyła dalej.

W pewnym momencie nogi odmówiły posłuszeństwa Maćkowi – innemu uczestnikowi wyprawy. Nie było jednak mowy o przerwaniu ekspedycji – Maciek na ramionach swojego instruktora wchodził dalej. Dorosli z niedowierzaniem zerkali na swoich podopiecznych. W tych małych i delikatnych ciałkach było tyle siły i samozaparcia – jak u prawdziwych, dorosłych alpinistów.

Kryzys pojawiał się stopniowo u każdego z nich, dlatego coraz częściej trzeba było zarządzać przerwę na odpoczynek. Byli już tak blisko celu! Nie! – przerwanie wyprawy nie wchodziło w grę.

Osobom zdrowym przy dobrej pogodzie wejście na Giewont zajmuje około dwóch godzin. Oni wchodzi-li już prawie sześć. A mimo to nie zniechęcał się nikt. Mało tego! To postawa dzieciaków dodawała siły ich

opiekunom. Chodziło nie tylko o realizację marzeń. Najważniejsze to pokonać siebie i własne słabości!

Następnego dnia w wiadomościach pojawiła się informacja o „Wyprawie po marzenia”. Mimo że czas antenowy kosztuje ogromne pieniądze, to w głównym wydaniu wiadomości uczestnikom poświęcono aż 6 minut! Sam Krzysztof Wielicki – polski wspinacz – nie mógł wyjść z podziwu. Wejście na antenę zakończono fragmentem znanej piosenki, tej samej, która zaprowadziła Stasia na szczyt:

*Pokonam dziś siebie, pokonam siebie,
udowodnię, że można lepiej...
Chcę, potrafię, jestem skalą,
stać jak posąg to za mało...*

Karolina Podowska

Uczciwa rywalizacja

Pewnego dnia przy niedzielnej kolacji usłyszałem:

– To dla ciebie wielka szansa, synu. Te zawody otworzą ci drzwi do sławy! Oboje z mamą wierzymy w ciebie. W końcu to wojewódzki konkurs, a zwycięzca pojedzie do stolicy, aby walczyć z najlepszymi! Mam nadzieję, że nas nie zawiedziesz, prawda?

I znowu rozmowa zesłała na temat moich zawodów lekkoatletycznych. Bieg na 1000 m miał przesądzić o moim „być albo nie być”. Zmieszany odpowiedziałem:

– Oczywiście, tato. Wiemy wszyscy, że się nie poddam.

– To wspaniale, bo tak jak obiecałem, wynająłem ci prywatnego trenera. Treningi zaczynają się jutro, więc idź odrobić lekcje, aby mieć potem wolny czas.

Wszedłem po schodach na piętro. Na górze, zamiast odrabiać lekcje, postanowiłem pooglądać telewizję. Niestety, nie było w niej nic ciekawego, więc po prostu uciałem sobie drzemkę.

* * *

Nazajutrz zastałem w kuchni mamę. Jak zwykle krzątała się. Po śniadaniu pojechałem na trening. By-

łem bardzo podekscytowany, bo miałem poznać mojego nowego trenera. Przywitałem się:

– Dzień dobry panu.

– Oj, dzień dobry, dzień dobry. Myślę, że możemy być przyjaciółmi, więc mówmy sobie „cześć”.

– Dobrze, więc... Emm... Cześć?

– No, tak już lepiej. Masz na imię Adam, prawda? Ja nazywam się Marcin Kowalski. Może na początek zrobimy rozgrzewkę i sprawdzimy twoje umiejętności, co?

– Dobrze.

Po rozgrzewce trener mnie pochwalił. Usłyszałem od niego, że jestem świetnym biegaczem. Dziwne – pomyślałem. – Wszyscy we mnie wierzą i wciąż mówią, że jestem w czymś dobry. Sam też przecież o tym wiem i nie trzeba mi tego tysiąc razy powtarzać...

Po udanym przebiegnięciu 1000 m pan Marcin przedstawił mi moich rywali. Paru z nich było naprawdę dobrych. Jednak tacy jak Piotrek Witkowski nawet nie dorastali mi do pięt. Wiedziałem dobrze, że wszystkich pokonam. Włącznie z tymi utalentowanymi. O Fajtlapę się nie bałem. To był dla mnie pikuś. Dumne przezwisko „Fajtlapa” nosił właśnie Witkowski. Naprawdę szkoda mi go było. Będzie musiał zaakceptować swoją porażkę. Ja na jego miejscu bym się nawet na tych zawodach nie pokazywał.

W końcu mogłem iść do domu. Byłem wykończony. Reszta dnia minęła spokojnie. Po południu spotkałem się ze swoim najlepszym przyjacielem, Sławkiem Nowakiem. Miał naprawdę bogatych rodziców i zawsze najnowsze ubrania oraz telefony. Budził przez to szacunek w klasie. Jak ja. Chyba to nas najbardziej łączyło.

Moi rodzice uwielbiali Sławka. Często zapraszali go do naszego domu. Mama zawsze zwracała się do

mojego przyjaciela: – Dzień dobry, Sławusiu! – i była dziwnie uradowana.

Tata też miał swoją „kwestię”:

– Ale wyrosłeś! Jesteś już prawie dorosłym mężczyzną! – mówił, uśmiechając się lekko.

Sławek starał się grzecznie odpowiadać na te pieszczotliwe sformułowania. Czasem miałem wrażenie, że rodzice lubią chłopca i państwa Nowaków tylko ze względu na ich pieniądze. Ale to przecież niemożliwe, prawda?

Spotkanie ze Sławkiem było jak zwykle udane. Razem graliśmy w piłkę nożną. Jednak zabawa stała się jeszcze lepsza, kiedy zobaczyliśmy Fajtłapę. Od razu zapomnieliśmy o piłce. Krzyknąłem do niego:

– Ej, Fajtłapo! Wiesz, że na zawody idą naprawdę dobrzy w bieganiu?! Nie rozumiem, jak taka fajtlapa może cokolwiek pokazać?! Ty umiesz jedynie biegać za tym twoim kundlem, jak ci ucieknie!

Witkowski nie odpowiedział. No jasne, udaje, że mnie nie słyszy. Na pewno zdał sobie sprawę, że z lepszymi od siebie się nie gada – próbowałem sobie wytłumaczyć. Jednak Sławek skwitował mój żart, śmiejąc się i krzycząc:

– Ale mu pokazałeś! Ale miał minę! Ha, ha, ha, ha!

Weseli wróciliśmy do gry. W końcu przyszedł czas, by wrócić do domu. Pożegnaliśmy się i rozstaliśmy. Mój dobry humor wciąż trwał.

* * *

Nazajutrz pierwszą lekcją była matematyka. Nie słuchałem zbyttnio. Byłem zajęty rozmową ze Sławkiem o ostatnim meczu piłki nożnej. Oprócz tego obgadaliśmy Fajtłapę. Przecież takie tematy są ważniejsze od jakiejś zwykłej lekcji matematyki. Niektóre, na-

prawdę ważne sprawy nie mogą poczekać. W końcu zadzwonił dzwonek. Wreszcie. Już myślałem, że umrę z nudów. A w dodatku pani Młynkówna, uciszając nas, wciąż przerywała tę pasjonującą rozmowę. Radosny wybiegłem na korytarz i usiadłem na ławce. Na moje szczęście Witkowski akurat przechodził. Nie powstrzymałem się i podstawiłem mu nogę. W dodatku Fajtłapa miał rozsznurowane swoje stare buty. Śmiesznie było oglądać ten taniec. Niezłe się uśmiełem, choć trwało to tylko chwilę! Pozostała część dnia również upłynęła mi wesoło. No, może z wyjątkiem lekcji, bo one nigdy nie będą ciekawe. Parę razy dokuczyłem Witkowskiemu swoimi komentarzami. Ten, głupi, nie odpowiadał.

– Czy ty masz problem ze słuchem, Fajtłapo? – sztychłem.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział.

– To dobrze, bo już myślałem, że jesteś chory. Gdybyś umarł, to z kogo mielibyśmy taki ubaw, co?

– Nie wiem, zawsze możecie sobie znaleźć kogoś innego – powiedział i uciekł w głąb korytarza.

To było śmieszne: patrzeć, jak wystraszony Piotrek Witkowski ucieka. Nic już za nim nie krzyknąłem i nawet go nie goniłem. W końcu musiałem mu okazać swoją litość.

* * *

Na treningu wykonałem rozgrzewkę i pobiegałem trochę na bieżni. Pan Marcin oczywiście pochwalił moją kondycję, a ja odpowiedziałem jedynie:

– Wiem o tym.

Trener wyglądał na trochę zmieszanego moją odpowiedzią. Ale to chyba dobrze, że zdaję sobie sprawę z własnych umiejętności, prawda?

Poczułem się jednak jakoś nieswojo, ale to na szczęście szybko minęło, bo wkrótce usłyszałem od trenera, że z taką formą wygram te zawody. Pewny siebie spytałem:

– Naprawdę mam szanse? Nie wierzę! – Dobrze wiedziałem, że tak. Chciałem jednak usłyszeć komplement jeszcze raz.

– Tak, na pewno. Ale uważam, że powinieneś jeszcze popracować nad szybkością – usłyszałem zamiast oczekiwanej pochwały.

Wkurzyłem się. Jak ten trener może mi mówić, że mam pracować nad szybkością? Przecież jestem świetny! Nie chciałem się z nim kłócić. Postanowiłem mądrze ustąpić. Niech sobie myśli te swoje trele-morele. Wystartuję w zawodach i wygram. Tak już sobie postanowiłem. Będą o mnie pisać w gazetach. Mogę się o to założyć.

Pan Marcin już mi nie ubliżał. Reszta treningu minęła w spokoju. Podobnie, jak pozostała część dnia, oczywiście spędzona przed komputerem. To właśnie ta maszyna potrafiła mnie zająć na długo. Przy niej byłem szczęśliwy, a grając w gry komputerowe, wkraczałem w inny świat. Świat wolny od nauki i moich strasznych obowiązków. Klikałem już trzecią godzinę. Tata był w pracy, bo miał jakiś ważny projekt. Mój ojciec jest architektem. Zawsze mówił, że praca to jego „drugie życie”. Jednak to „drugie życie” zajmowało mu naprawdę dużo czasu. Czasem chciałem, żeby tata miał tylko jedno życie. I żeby spędzał je ze mną, grając w piłkę i oglądając wspólnie telewizję wieczorami. Niejednokrotnie mu o tym mówiłem. Jednak zawsze słyszałem:

– Nie teraz, synu, proszę. W tej chwili mam dużo pracy. A poza tym nie masz nauki? Idź do swojego pokoju się uczyć!

Wtedy zazwyczaj wkurzony wbiegałem na piętro i trzaskałem drzwiami od swojego pokoju, żeby pokazać ojcu, że to właśnie on mnie zdenerwował. Później rzucałem się na łóżko i boksowałem z poduszką lub siadałem do komputera.

Znowu. Dzisiaj też chciałem coś z tatą porobić. Wszystko poszło jak zwykle, nie tak. Tym razem postanowiłem, że wybiorę komputer. Jednak i on nie dawał mi ukojenia. Zdenerwowany położyłem się na łóżku i nie chciałem robić nic, nawet do końca świata. W końcu zadzwonił Sławek i musiałem odłożyć strajk na później.

Moje życie zmieniło się w jedną wielką przeplataną. W kółko chodziłem do szkoły, na trening i znowu do szkoły. Teraz ostro trenowałem przed zawodami, do których został tylko tydzień. Czasem przerywałem tę monotonię spotkaniami ze Sławkiem.

* * *

Pewnego dnia tata nie mógł po mnie przyjechać i zabrać do domu z treningu. Sfrustrowany opuściłem halę i pomyślałem, że przejdę się, aby rozładować stres. Udałem się na nasze szkolne boisko. Kto wie, może spotkam Sławka?

Zamiast Sławka ujrzałem Fajtłapę... ćwiczącego. Witkowski okrążał boisko do piłki nożnej. Wyglądał, jakby był w transie. Zdziwiło mnie to. Postanowiłem obejrzeć tę porażkę w ciszy.

Po dziesięciu minutach Piotrek przerwał trening. Nic nie wskazywało na jego zmęczenie. Dziwne, bo Fajtłapa był bardzo chudy i drobny. Nie miał sylwetki typowego sportowca. Naprawdę niecodzienny widok. Nagle zauważyłem, że Fajtłapa z kimś jest. Piotrek prowadził rozmowę z jakimś chłopakiem, wyglądają-

cym na naszego rówieśnika. Postanowiłem posłuchać. Obszedłem boisko i zacząłem się za szatnią. Stąd idealnie słyszałem dialog.

– Dlaczego ty w ogóle biegasz? Wiem, że jesteś dobry w bieganiu, nawet bardzo, ale nie masz takiego przygotowania jak na przykład ten twój Adam ze szkoły – to był głos nieznanego chłopaka.

– Wiem o tym, ale zdajesz sobie sprawę z tego, że te pieniądze są mi naprawdę potrzebne? – to był bez wątpienia Fajtłapa.

Zdziwiłem się. Do czego mu są potrzebne pieniądze? To prawda, Fajtłapie się nie przelewa. Nigdy nie miał ubrania, które wyglądałoby na nowe. Zawsze nosił jakieś za duże spodnie, jakby po bracie, i obszerne wypłowiałe bluzki. Jednak Witkowski na pewno nie zbiera kasy na ubrania. Musi mieć jakiś inny cel. Zacząłem się zastanawiać, ale po chwili usłyszałem głos nieznanego chłopaka:

– Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, że wygrane pieniądze przeznaczysz na lekarstwa dla swojej siostry. Wspieram cię i będę, nawet wtedy, kiedy nie otrzymasz szansy na wygraną.

Te słowa naprawdę na mnie podziałały. Na co chorą jest siostra Piotra? Miałem wrażenie, że ktoś wyłał na mnie kubek zimnej wody. Poczucie winy nawiedziło mój umysł z prędkością światła. W jednej chwili zrozumiałem, jak samolubny byłem, obrażając Fajtłapę, który powiedział:

– Dzięki, ale ten konkurs to moja jedyna szansa. Kiedy choroba Ani się rozwinie, może być za późno.

– Współczuję ci, Piotrek. Mimo wszystko będę trzymał za ciebie kciuki podczas tego biegu na 1000 m. Życzę miłego treningu!

– Dzięki. Cześć, zobaczymy się jutro!

Zastygłem w miejscu. W końcu jednak po paru minutach, niepewny, czy umiem chodzić, zrobiłem krok. Wydarzenia sprzed chwili wciąż do mnie docierały. Zacząłem iść do domu. Nie powiem nikomu o tym, co usłyszałem. Poczucie winy było dla mnie wielkim ciężarem, którego nie zrzuciłem z siebie przez kolejnych kilka dni.

Dzień przed konkursem Sławek powiedział do mnie:

– Co się z tobą ostatnio dzieje, Adasiu? Już nawet nie dokuczasz Fajtłapie! Przecież tydzień temu sprawiało ci to jeszcze wielką radość. A może jesteś chory „na Fajtłapę”? Stajesz się cichy jak on!

– Nie jestem na pewno na nic chory! Nic się ze mną nie dzieje – uciałem.

Mój najlepszy przyjaciel puścił tę odpowiedź mimo uszu. Jednak zaskoczył mnie tym, co później usłyszałem:

– Dobra, nieważne. Mam wspaniały pomysł! Schowamy buty Fajtłapy, a podłożymy mu takie o parę numerów mniejsze. Zrobimy to zaraz przed startem! Będzie ubaw, a wtedy wyeliminujesz Witkowskiego, co?

– Słucham? Chyba sobie żartujesz? – nadal nie dowierzałem temu, co mówił. Jednak z każdym następnym słowem nabierałem pewności, że to nie żart.

– Jakie „słucham”? Mówię prawdę. Wiesz co? Nie poznaję cię ostatnio. Mam już tego dość! Ale na szczęście nadal cię lubię! I tak to zrobię. Jeszcze będziesz mi dziękować!

* * *

Czułem się naprawdę podle. Po południu przyszedł czas na mój ostatni trening. Pan Marcin był bardzo uradowany. Ja nie. Chyba to zauważył, bo powiedział:

– Stres przed zawodami jest normalny! Nie martw się, jestem pewny, że wygrasz.

To nie był stres, to po prostu poczucie winy. Po treningu wróciłem do domu, zjadłem kolację i usiadłem przed komputerem, w którym nie mogłem znaleźć takiego oparcia jak zwykle. Ciężar w żołądku był nie do zrzucenia. Z czarnymi myślami położyłem się do łóżka.

Nazajutrz obudziła mnie mama:

– Wstawaj! To twój szczęśliwy dzień. Wszystkim pokażesz, na co cię stać!

Nie chciałem nic mówić. Czułem się dużo lepiej. Byłem zdeterminowany. Przecież po to tyle trenowałem, prawda? Starałem się nie myśleć o tej podsłuchanej rozmowie.

Zszedłem na dół, by zjeść śniadanie. Usłyszałem słowa taty:

– Synu, wiem, że wygrasz i nas nie zawiedziesz! A poza tym znam sędziów, nie masz się czego obawiać.

– Oczywiście, tato – uspokoiłem się.

Po posiłku pojechaliśmy do hali sportowej, gdyż tam miały odbyć się zawody. Konkurs polegał na przebiegnięciu 500 m, a następna jego część, czyli bieg na kolejnych 500 m miał wyłonić zwycięzcę.

Po przyjeździe zauważyłem Sławka z dziwnym uśmiechem na twarzy. Chyba nie zamierzał zrealizować swojego pomysłu? Przestałem się zadręczać. Przebrałem się i pół godziny później stałem już na linii startowej. Po usłyszeniu wystrzału pobiegłem przed siebie. Byłem drugi, a przede mną stał... nikt inny jak Fajtłapa. To było niemożliwe. Po paru sekundach jednak Fajtłapa zaczął biec zadziwiająco szybko. W końcu przyspieszyłem i w ostatniej chwili wyprzedziłem Witkowskiego. Wykończony poczułem, jak trener klepie mnie po plecach, mówiąc:

– Dobrze się spisałeś! Byłeś pierwszy! Mamy zwycięstwo w kieszeni!

Dostałem gratulacje także od mamy i taty. Zauważyłem Fajtłapę siedzącego na ławce ze spuszczoną głową. Podeszedłem do niego i spytałem:

– Piotrek, co się stało?

– Nic – odpowiedział zmieszany.

– Przecież widzę! Nie udawaj.

– Coś z moimi butami jest nie tak.

Chyba zabiję Sławka. Jak on mógł się do tego posunąć?

– Fajtłapo, wiesz co? Daj mi te buty. Zamienimy się.

– Jak chcesz...

Dostałem buty od Piotrka i włożyłem je. Były strasznie niewygodne. To przez ten mały rozmiar. Nagle w głowie zaświtał mi pewien pomysł. Mogę pójść do Sławka i odzyskać obuwie Witkowskiego! Nie wszystko stracone!

Pobiegłem do Nowaka, a ten, po krótkiej wymianie zdań, oddał mi buty Piotrka. Ponownie wymieniłem się obuwiem z Fajtłapą i mogliśmy biec jak równy z równym.

Znów stanąłem na linii startowej. Usłyszałem strzał i pobiegłem przed siebie. Witkowski wyprzedził mnie, a ja nie byłem tym wcale zaskoczony. Okazało się, że chłopak świetnie biega. W ten właśnie sposób Fajtłapa był mocno na prowadzeniu. Nawet nie chciałem go dogonić.

Usłyszałem krzyki tłumów. Jednak nie brzmiały one: „Brawo, Adam!”

Zamiast tego słychać było:

– Brawo, Piotrek!

Stałem dumnie na drugim miejscu i wcale tego nie żałuję. Pieniądze z wygranej nie były mi tak bardzo

potrzebne jak Piotrkowi. Zwycięstwo miało usatysfakcjonować moich rodziców, którym później wszystko wytłumaczyłem. Mimo drugiego miejsca i tak byli ze mnie dumni, a mama stwierdziła, że jeszcze będę wspaniałym sportowcem. Tata natomiast, po zrozumieniu całej historii, spędza ze mną więcej czasu.

Jeśli chodzi o moje stosunki ze Sławkiem, to... już nie istnieją. On nigdy nie był moim prawdziwym przyjacielem. Chodziło mu tylko o dobrą zabawę podczas nabijania się ze słabszych.

Fajtłapa podobno zajął w ogólnopolskich zawodach drugie miejsce. Uważam, że na nie w pełni zasłużył, a nagrodę przeznaczył na słuszny cel. I tak właściwie, to nie ma już Fajtłapy. Został tylko Piotrek.

Bartosz Tokarski

Medale z Rywalizacji

Początek tej historii zdarzył się w czasach dość odległych. Synek, widząc tatę czytającego poranną prasę o zbliżającej się olimpiadzie, zapytał: – Tatku, a jak powstała Olimpiada? – Szacowny rodzic usiadł w swym fotelu, zapalił fajkę i zaczął snuć opowieść:

„Dawno, dawno temu, gdy jeszcze wszystko było zupełnie inne, była pewna wioska – nie wiadomo do końca gdzie, ale podobno, jak wieść niesie, leżała ona na granicy rozległej wyżyny, u stóp Gór Wichrowych. Wioska ta nazywała się Rywalizacja. Jej mieszkańcy odznaczeni pracowitością i uczciwością, słynęli z najlepszych kowali w całym ówczesnym świecie.

Niewiele działo się w Rywalizacji, mało co się zmieniło, wszystko toczyło się swoim powolnym, utartym rytmem, takim samym od wieków. Mieszkańcy żyli jak ich ojcowie. A ich ojcowie żyli jak ojcowie ich ojców – słowem zwyczajność i jednostajność.

Było to miejsce dziwnie piękne. Ludzie mieszkali w domczkach z czerwonej cegły na planie koła. Zdobiły je liczne okienka – zawsze lśniące czystością. Na drzwiach wejściowych do każdej chatki wisały ozdobne kołatki, wykonane przez miejscowych kowali. W wiosce niczego nie brakowało, a tutejsi ludzie byli

bardzo szczęśliwi. I w tak zwyczajnej wiosce wydarzyło się coś niezwykłego...

W Rywalizacji mieszkał pewien chłopiec – zabawny urwis o dobrym serduszk. Nazywał się Medal. Był blondynem z kosmykiem włosów niesforne opadającym na oczy. Nos brzdąca obsiadła setka piegów. Medal był bardzo energiczny i nieustannie marzył o przygodzie. Tak jak inni chłopcy w jego wieku był niezwykle ruchliwy i pełen energii, bardzo lubił wszelaką aktywność. Uwielbiał też wsłuchiwać się w pradawne mity i legendy, otwierające przed nim tajemniczy świat, w którym rozproszyły się skarby ogromne. Kilkakrotnie wyruszał na poszukiwania tych bogactw, zabierając ze sobą swojego najwierniejszego przyjaciela, psa, który wabił się Znicz. Wyprawy te nie przynosiły spektakularnych odkryć – Medalowi udało się wykopać tylko guzik od swetra babci, wdeptany w piaszczysty pagórek za domem. Rodzina chłopca przyzwyczała się do tego, że ich kochany Medal ciągle szukał zaginionych „niesamowitości” i przymykała oko na te chłopięce dziwactwa.

Pewnego zwyczajnego dnia pod drzwiami domu chłopca pojawiła się tajemnicza, brązowa paczka. Nie było na niej adresu, jedynie widniały słowa: „Szanowny Medal z Rywalizacji”. Przesyłkę znalazła Wiktorria, siostra Medal. Dziewczyna upierała się, aby razem z nim zajrzeć do środka, ale garść cukierków zdołała ją przekonać, żeby ten pomysł porzuciła.

Gdy Medal zataaszczył do swojego pokoju tajemniczą przesyłkę, natychmiast ją rozpakował. W środku ujrzał list, a pod nim książkę. W dołączonym piśmie, jak się okazało od kuzynki Dyscypliny, opisana była historia książki, która dawno temu trafiła do jej rodziny. Dyscyplina napisała, że postanowiła podarować ją chłopcu, ponieważ zbliżały się jego urodziny.

Sprawa wyglądała na wielce zagadkową. Medal nie znał kuzynki Dyscypliny, mało tego, nie słyszał o niej nigdy w żadnej opowieści. Postanowił więc zasięgnąć informacji u Babcia Staruszki, seniorki rodu, przechowującej w swojej pamięci wszystkie rodzinne historie. Medal pobiegł do niej bez zwłoki. Wypytywał o tajemniczą kuzynkę, ale Babcia Staruszka niewiele potrafiła o niej powiedzieć. Potwierdziła tylko, że ktoś taki naprawdę istnieje. Medal wrócił więc do swego pokoju i z zapalem zabrał się do studiowania książki. Była ona starannie oprawiona w bawolą skórę, z wytłoczonymi tajemniczymi pięcioma kołami na okładce. Wyglądała na ręcznie robioną. Jaką kryła w sobie tajemnicę? To pytanie nie dawało spokoju Medalowi. Chłopiec zaczął czytać książkę, która okazała się lekturą o zaginionym skarbie – skarbie żywiołów. I wtedy to w sercu chłopięcym zaczęło się rodzić pragnienie, by odnaleźć ów skarb, by stać się bohaterem, o którym będą snuły opowieści kolejne pokolenia.

Marzenia marzeniami, ale gdzie jest skarb i jak do niego dotrzeć? Medal z niecierpliwością przerzucał kolejne strony książki, szukając podpowiedzi na jej kartach. A że kto szuka, ten nie błądzi, tak i chłopiec dostrzegł tajemnicze znaki w rogu co piątej strony. Esy-floresy, spirale i tym podobne symbole zapewne skrywały tajemnicę zaginionego skarbu.

Medal postanowił opowiedzieć o tajemniczym odkryciu rodzinie podczas obiadu. Zszedł więc na dół, usiadł na krześle, życzył wszystkim smacznego i rzekł:

– Chciałbym wam coś pokazać. Od kuzynki Dyscypliny dostałem tajemniczą paczkę, a w niej była książka. Kiedy się uważnie przyjrzałem, znalazłem w niej ukryte tajemnicze znaki. Jestem pewien, że doprowadzą mnie do wielkiego skarbu, po który postanowiłem wyruszyć.

– Masz chyba nie po kolei w głowie! To tylko zwykła książka! Nie sądziłam, że mam takiego brata głup-tasa – z ożywieniem odezwała się Wiktoria.

– Medalu, nie pozwolimy ci samemu wyruszyć na poszukiwanie skarbu. Jesteś tylko małym chłopcem. Ktoś zrobił sobie żart, a ty zaraz potraktowałeś go poważnie! – głos taty dźwięczał wśród ścian.

Inni członkowie rodziny mieli podobne zdanie, będąc przekonani, że są to tylko wymysły bujnej chłopięcej wyobraźni. Mama również próbowała odwieść go od pomysłu wyprawy i poszukiwania skarbu.

Medal wrócił rozgoryczony do swojego pokoju. Pomimo to, co usłyszał od rodziny, podjął decyzję o samotnej wyprawie, i to jeszcze tej nocy (no, może nie tak do końca samotnej, bo z wiernym przyjacielem – psem Zniczem). Spakował więc najpotrzebniejsze rzeczy, które jego zdaniem mogły się przydać podczas wędrówki, przywołał psa i oczekiwał na nadejście nocy. Ponieważ do wyprawy niezbędna była mapa, powycinał rogi z co piątej strony książki i jak z puzzli ułożył z nich obrazek przedstawiający trasę wyprawy. Sam nie mógł uwierzyć, że to rzeczywiście mapa! Kawalki kartek nakleił na arkusz papieru i drobnym, dziecięcym pismem zaznaczył kolejne etapy marszruty.

Słońce powoli zachodziło za widnokrąg i wioskę zaczął otulać mrok. Medal odczekał jeszcze godzinę, aż cała rodzina pogrąży się we śnie, cichym gwizdnięciem przywołał Znicza i bezszelestnie wysunął się przez drzwi wejściowe. Poświata księżycy oświetlała ścieżkę biegnącą przez wieś, prowadzącą w stronę Wichrowych Gór. Dwaj odkrywcy, Medal i jego pies, rozpoczęli swoją *Wielką Wyprawę*. Kierując się wskazówkami z tajemniczej mapy, podążali w kierunku Góry Słońca. W jej zboczach kryła się Mroczna Jaski-

nia, o której mieszkańcy wioski opowiadali, że skrywa w swoim wnętrzu klejnot, jakiego nie zrodzi żadna inna góra.

Po dwóch godzinach intensywnego marszu odkrywcy dotarli do Mrocznej Jaskini. Chłopiec niepewnie stawiał kroki w ciemnej czeluści. Co tu dużo mówić, Medal poczuł się trochę nieswojo, ale dotyk ciepłego nosa Znicza dodał mu pewności siebie. Nagle jaskinię oświetliło księżycowe światło i wszystko stało się widoczne. Mały poszukiwacz odniósł wrażenie, że coś mignęło po drugiej stronie szczeliny, która znajdowała się na dnie jaskini. Bał się, żeby nie były to oczy jakiegoś zwierza, ale Znicz zachowywał się spokojnie, więc chyba to nie było to. Żeby się dostać w owo oświetlone miejsce, chłopiec musiał wykonać skok w dal, ale dla sprytnego dziesięciolatka i jego psa nie stanowiło to problemu. Wziął rozbieg i długim susem pokonał szczelinę. Jego śladem poszedł pies. Tajemniczy blask pochodził od brązowego, gładko oszlifowanego kamienia. Medal wziął go do ręki i poczuł przyjemny chłód. Uświadomił sobie, że mapa była prawdziwa i jego marzenia zaczynają się spełniać. To był dopiero pierwszy ze skarbów wskazanych na mapie. „Co za niespodzianki jeszcze na nas czekają? Jak nie ruszymy w dalszą drogę, to się nie przekonamy” – pomyślał. Jego wzrok padł na wejście do korytarza, widoczne w ścianie jaskini. Ku jego radości było to zgodne ze wskazówkami z mapy, więc ruszył w tamtym kierunku. Co dziwne, podziemne przejście nie tonęło w całkowitych ciemnościach, można się było dość swobodnie poruszać. Jak się okazało, to światło księżyca je oświetlało. Światło było księżycowe i wskazywało drogę do Wąwozu Księżyca, znajdującego się na końcu skalnego korytarza.

Po wyjściu z jaskini chłopiec ujrzał przed sobą stare koryto rzeki, wypełnione licznymi odłamkami skalnymi. Mapa wyraźnie pokazywała, że trzeba poruszać się wąwozem w kierunku widocznej na horyzoncie Góry Słońca. W połowie tej drogi na mapie znajdował się krzyżyk, co wskazywało na kolejny skarb. Rozpalona chłopięca wyobraźnia i niezaspokojona ciekawość spowodowały, że Medal zerwał się do biegu. Za nim ruszył zaskoczony Znicz, nie wiedząc, gdzie się tak jego panu spieszy. To właśnie on zauważył coś błyszczącego pośród rumowiska i gwałtownie się zatrzymał, obwąchując tajemniczy kamień o srebrnej poświacie. Chłopiec podbiegł do psa i podniósł znalezisko. Kamień był takiego samego kształtu jak poprzedni, różnił się tylko kolorem i był ciepły. Uradowany Medal schował odnaleziony przedmiot do kieszeni. Spojrzał na mapę i już wiedział, że skieruje swoje kroki ku szczytowi Góry Słońca.

Zaczynało świtać, gdy chłopiec i jego wierny pies dotarli na szczyt. Padający promień wschodzącego słońca odbił się od czegoś na skalnej półce. Była ona na pierwszy rzut oka niedostępna. Czyżby taka przeszkoda mogła pokrzyżować plany, zniszczyć marzenia chłopca? Nie! Od czego jest dziecięca wyobraźnia? Medal chwycił leżący opodal płaski jak dysk kamień i rzucił nim w kierunku skalnej półki, strącając przy okazji tajemniczy przedmiot. To był kolejny kamień, takiego samego kształtu jak dwa znalezione wcześniej. Mienił się złocistym blaskiem. Przyjemnie rozgrzewał rękę. Medal położył obok siebie na dłoni trzy znalezione kamienie. Przyglądał się im z ciekawością, zastanawiając się, co mogą oznaczać.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się obok niego tajemnicza staruszka. Znicz cichutko zawarczał, ale po

chwili radośnie zamerdał ogonem. Chłopiec z ciekawością przyglądał się postaci podobnej do jego babci. Nie czuł lęku, bo przecież babcie nie mogą mieć złych zamiarów. Jak się okazało, była to staruszka – Olimpiada, czekająca tu od wieków na śmiałka, który znajdzie trzy kamienie. Miała mu przekazać wskazówki, co z nimi dalej czynić. Poradziła więc, aby oddać je do obróbki najlepszemu kowalowi w wiosce Rywalizacja. Pokazała Medalowi drogę powrotną i równie tajemniczo jak się pojawiła, zniknęła. „Rywalizacja to przecież wioska, w której mieszkam. Tam jest rozwiązanie zagadki. Musimy wracać, zwłaszcza że słońce coraz wyżej i mama będzie zaniepokojona, jak zobaczy puste łóżko” – pomyślał Medal, głaszcząc kudłaty łeb Znicza.

Odkrywcy wrócili do domu w ostatniej chwili. Udało im się niepostrzeżenie przedostać do jadalni i oczekiwali jak gdyby nigdy nic na śniadanie. Zaraz po posiłku Medal pobiegł do najlepszego kowala w wiosce. Rzemieślnik zdziwił się bardzo, widząc chłopca, a jeszcze bardziej zdumiała go prośba, by obrobić trzy dziwne kamienie. Nie chciał zrobić przykrości Medalowi, lubił tego dzieciaka, zabrał się więc do pracy. Po każdym uderzeniu młota kamienie przybierały postać coraz bardziej podobną do płaskich kółek. W efekcie pracy kowala powstały trzy metaliczne krążki – złoty, srebrny i brązowy. Zdziwił się Medal na ich widok, ale pomyślał, że każdy z nich to jakby nagroda za trud wyprawy oraz pokonywanie słabości i strachu. „Pewnie staruszka Olimpiada umiałaby mi wyjaśnić, co one oznaczają”.

W tym samym momencie pojawiła się przed nim postać wiekowej kobiety. Olimpiada ujęła w dłonie trzy krążki. Zabrała chłopca na targowisko, stanęła na podwyższeniu i wypowiedziała miękkim głosem

do wszystkich ludzi tam się znajdujących następujące słowa:

*Trzy medale do sportu pasują doskonale,
W żywiołach zrodzone,
Przez los sportowcom zrządzone.
Złoty w Słońcu skąpany –
Najlepszemu oddany.
Srebrny – dziecię Księżycy –
Niech drugiego zachwycy.
Brązu Ziemia użyczyła
I trzeciego nagrodziła.*

Opowiedziała wszystkim o nocnych przygodach chłopca. Dodała, że Medal udowodnił swoją odwagę, podejmując tak trudną wyprawę. Podkreśliła, że chłopiec był uparty i nie poddawał się, dążył do wytyczonego celu i spełnił swoje marzenia. To cechy, które powinien mieć każdy sportowiec, niech więc od tego momentu piękne sportowe współzawodnictwo ma swoją symboliczną oprawę w postaci tych trzech krążków zrodzonych z ziemi, nocy i dnia.

Po tych słowach staruszki wszyscy zgromadzeni z niedowierzaniem pokręcili głowami i nagrodzili chłopca gromkimi brawami. Trochę mniej wyrozumiali byli rodzice, gdy dowiedzieli się o samotnej wyprawie syna. Rada wioski postanowiła zorganizować festyn, na którym Medal opowiedział wszystkim mieszkańcom o swojej wędrówce, o tym, jakie przeszkody musiał pokonać, żeby zdobyć kamienie. Od tego czasu co roku na pamiątkę wydarzenia w Rywalizacji odbywały się zawody w skoku przez szczylinę, biegu do wyznaczonego punktu i w rzucie płaskim dyskiem, a zwycięzcy dostawali w nagrodę krążki: złoty za pierwsze miejsce, srebrny za drugie, a brązowy za trzecie”.

W tym miejscu tata zakończył opowieść.

– Co było dalej, proszę, powiedz! – z wypiekami na twarzy dopytywał się malec.

– Od tego czasu najważniejsze zawody sportowe, odbywające się co cztery lata, nazwano na cześć staruszki – Olimpiadą. Krążki zwą się medalami od imienia chłopca, a próby, które musiał on przejść, by zdobyć trzy kamienie, stały się dyscyplinami olimpijskimi – skokiem w dal, biegami i rzutem dyskiem. Kolory medali symbolizują: brązowy – ziemię, na której sportowiec trenuje, srebrny – noce, podczas których marzy o sukcesie, a złoty – dni pełne ciężkich treningów. Współzawodnictwo sportowców zaczęto też nazywać rywalizacją, od nazwy wioski, gdzie mieszkał chłopiec i gdzie odbyły się pierwsze zawody sportowe. Nie zapomniano również o psie – na jego cześć, za wierność i oddanie Medalowi, przed olimpiadą zapalany jest znicz – symbol światłości i braterstwa.

Michalina Zygo

Olimpijska zabawa

Nasza paczka zebrała się na moim podwórku. Zawsze się u mnie spotykamy, bo mam najwięcej miejsca do zabawy. Nie ma jeszcze ogrodzenia i chociaż mama czasami narzeka, że robimy za dużo hałasu i gniciemy trawę, to ostatecznie zawsze pozwala nam się bawić.

Moja paczka to Kaśka, Weronika, Kamil, Julka, Dominik, Jaś i oczywiście ja. Janek od dawna ma problemy z chodzeniem, potrafi się jednak poruszać o kulach albo na wózku inwalidzkim, a my wiemy, jak mu pomagać, jeśli trzeba. Wszyscy chodzimy do tej samej szkoły, ale w czasie roku szkolnego, na przerwach, my, dziewczyny, nie rozmawiamy z chłopakami. A jednak w każde wakacje zawsze się razem bawimy i jest naprawdę super. Teraz też jest fajnie. Bawiliśmy się już od rana w chowanego, ale już nam się to znudziło.

– Zróbmy sobie igrzyska olimpijskie – powiedziała Weronika.

– Jak to sobie zrobimy? – zapytał Kamil.

– No normalnie, każdy z nas będzie zawodnikiem z innego kraju i będzie musiał startować we wszystkich konkurencjach, które wymyślimy – odpowiedziała moja koleżanka.

Pomysł bardzo się spodobał. Przekrzykiwaliśmy się, proponując zrobienie flagi, znicza i numerów startowych. Pobiegłam do mamy zapytać, czy możemy zrobić prawdziwy znicz, ale odpowiedziała, że będzie nam musiała wystarczyć latarka. Obawiała się, że ktoś może zostać poparzony. To się nam wcale nie podobało, dlatego owinęliśmy kij starą szmatą, którą mieliśmy na rozpoczęcie zawodów podpalić jak pochodnię. Ostatecznie jednak zrezygnowaliśmy z tego pomysłu, bo Julka powiedziała, że przecież wszystko wokół jest suche, dawno nie padało i możemy spowodować pożar, a poza tym mamy blisko las. Potem zaczęliśmy wyliczać, jakie konkurencje muszą być rozgrywane. Chciałam slalom i biegi, bo jestem szybka, Weronika zgłosiła skoki w dal, a Kamil z Dominikiem rzucanie kulą, wyścigi rowerowe i zapasy. Od razu się pokłóciliśmy o te zapasy, bo my nie chcieliśmy się bić. Dominik pobiegł do domu po długi metr. Jego tata pracuje na budowie i liczyliśmy, że nam pożyczycy. Nie tylko dostaliśmy metr, ale ojciec Dominika pomógł nam przygotować piaskownicę do skoków. Odmierzaliśmy także 60 metrów do biegania na czas i ze starych pniaczków po ściętej brzozie zrobiliśmy słupki do slalomu, który miał zastąpić bieg przez płotki. Tak byliśmy przejęci planowaniem i przygotowaniem, że nie zauważyliśmy, kiedy odszedł sobie Jaś. W pewnym momencie Weronika zauważyła, że go nie ma, i zapytała, czy wiemy, gdzie się podział. Nikt jednak nie wiedział.

– Pewnie poszedł do domu – powiedziałam. – Chodźmy po niego, bo zaraz zaczynamy. Niech sobie wybierze kraj, w którego barwach chciałby wystąpić.

– Może lepiej niech on zostanie w domu – powiedział Kamil. – Przecież on i tak nie może biegać ani skakać, ani jeździć na rowerze.

– To co z tego – wrzasnęła Weronika. – Może za to rzucać kulą.

– To za mało – poparł Kamila Dominik. – Nie może być zawodnikiem, bo się nie nadaje.

Długo się jeszcze kłóciliśmy, ale ostatecznie znowu musieliśmy ustąpić, bo się chłopcy obrazili i zagrozili, że sobie pójdą. Zaczęliśmy igrzyska bez Jaśka. Kiedy na taras wyszła moja mama zaalarmowana naszym krzykiem, zapytała zdziwiona, gdzie jest Janek. Głupio nam się zrobiło. Kamil zaczął mamie tłumaczyć, że to olimpiada i że Jasiak z tymi kulami się nie nadawał, i że zresztą sam sobie poszedł.

Mama popatrzyła na nas dziwnie.

– A wy go nie zatrzymywaliście, prawda? – zapytała, patrząc na nas wymownie.

– On sam poszedł – odpowiedziałam.

– Bo mu na to pozwoliliście. To było łatwiejsze niż wymyślenie czegoś, co Jasiak mógłby zrobić.

– Ale on nic nie potrafi – powiedział Kamil.

– Naprawdę? – zapytała mama i odeszła.

Wróciliśmy do zabawy, ale już nam się nie podobała. Usiedliśmy w cieniu pod orzechem. W końcu powiedziałam, że Jasiak przecież super gra w szachy, no i kulą też mógłby rzucać, jakby siedział na wózku i nie musiał stać.

– A wózkiem może przecież jechać na czas – dodała Weronika. – A my wszyscy też możemy potem na tym wózku wystartować, żeby było sprawiedliwie.

Potem chłopcy poszerzyli odległości między pniami, tak żeby Jasiak mógł wózkiem pokonać slalom. Zawołaliśmy moją mamę. Widziałam, że była zadowolona.

– No, teraz to ruszyliście trochę głowami. Idźcie po Jaśka, na pewno się ucieszy.

Kolega mieszkał w dużym domu. Okna jego pokoju wychodziły na nasz ogród. Zaczęliśmy wrzeszczeć pod jego oknem:

– Jasiek, Jasiek...

W końcu okno się uchyliło, wyjrzała przez nie mama Jaśka i zaprosiła nas do środka.

– Wchodźcie, Janek jest u siebie w pokoju.

Nie trzeba było nas zapraszać dwa razy. Biegiem ruszyliśmy ścieżką między domami i już wkrótce siedzieliśmy u Jaśka w pokoju. Wszyscy naraz próbowaliśmy mu powiedzieć, jaki mamy pomysł i co już przygotowaliśmy. Na początku Janek aż poczerwieniał z wrażeń, ale potem trochę się przestraszył, bo stwierdził, że on nie da rady i że nie potrafi. Wytłumaczyliśmy mu, że nie będzie rywalizował z nami, a jedynie będzie próbował pokonać własne słabości, bo to one będą przede wszystkim jego przeciwnikiem. Będzie miał własną paraolimpiadę. Dał się w końcu namówić.

Zabraliśmy wózek, Jasiek zaś poruszał się o kulach. Wystartował najpierw w rzucie dyskiem. Naszym dyskiem była zwykła piłka do siatkówki, ale i tak daleko leciała. Wszyscy mieliśmy kilka rzutów próbnych. Śmiałyśmy się przy tym, bo wcale nie było łatwo rzucać tą piłką z wózka. Jasiek najwyraźniej bawił się tak samo dobrze jak my. Potem była jazda na czas na wózku, a Janek miał okazję się przekonać, że jest naprawdę bardzo szybki, a każda następna próba kończyła się lepszym rezultatem.

W pozostałych konkurencjach, które dla niego były za trudne, Jasiek był naszym sędzią i okazało się, że wie najwięcej z nas o zasadach obowiązujących w różnych dyscyplinach.

Bawiliśmy się do późna. W końcu mama Jaśka zaczęła wołać go do domu.

– Jeszcze minutkę – zawołał rozpromieniony. – Robimy olimpiadę i paraolimpiadę, jeszcze tylko odbiorę swój medal.

Kiedy wieczorem leżałam w łóżku, myślałam sobie o tym, jak wspaniale spędziliśmy ten letni dzień. Zabawa w olimpiadę pokazała nam, że rywalizacja może być czymś bardzo pięknym. Każdy z nas chciał skoczyć dalej, biec szybciej, rzucić mocniej, pokonać swoje słabości. Uświadomiła nam także, jak ważne są dla nas przyjaźń i wzajemny szacunek. Cieszyłam się, że Janek przyłączył się do zabawy, bo chociaż pod względem fizycznym było to dla niego nie lada wyzwanie, byliśmy wszyscy ogromnie dumni z jego wiedzy i chęci, by próbować i nie poddawać się bez walki. Zasnęłam, mając przed oczami uśmiechniętą twarz niepełnosprawnego kolegi.

LAUREACI

Uczniowie
gimnazjów

**NATALIA KAROLINA
BOCIUK**

Nazywam się Natalia Karolina Bociuk. Urodziłam się 26 czerwca 2000 roku w Warszawie. Mam młodszego brata Danieła i starszą siostrę Ewelinę. Wraz z rodziną mieszkam w Ogrodnikach – niewielkiej miejscowości położonej w województwie podlaskim. Chodzę do klasy Ia Gimnazjum Gminnego w Siemiatyczach. Moje zainteresowania wiążą się z malarstwem i piłką siatkową. Niejednokrotnie brałam udział w międzyszkolnych zawodach sportowych. Do udziału w tym konkursie przekonała mnie moja polonistka, pani Katarzyna Terebun. Gdyby nie ona i jej wsparcie, pewnie nie uwierzyłabym we własne możliwości.



OLGA DANELSKA

Mam 14 lat, uczęszczam do drugiej klasy gimnazjum. Mam dość szeroką gamę zainteresowań. Lubię różne techniki plastyczne, np. decoupage, rękodzieło, szycie ręczne, uczę się też grać na gitarze. Opowiadania i różne inne formy literackie piszę w wolnym czasie i sprawia mi to dużą przyjemność. Ponadto uwielbiam pływać i pły-



wam już od dziewięciu lat, pewnie to stąd przyszedł mi do głowy pomysł na opowiadanie konkursowe. Interesuje mnie świat zwierząt i roślin, jak również przedmioty przyrodnicze, zwłaszcza chemia i biologia. W przyszłości chciałabym wydać choć jedną książkę, to byłby już dla mnie ogromny sukces. Chciałabym studiować medycynę. Moim wielkim marzeniem jest podróż do Australii. Chciałabym mieć też własnego psa, ale na razie mam w domu tylko dwie świnki morskie.

OLIWIA JAROSZ

Mam na imię Oliwia. Jestem szesnastoletnią to-
runianką, uczennicą trze-
ciej klasy Gimnazjum nr 8.
Nie mam rodzeństwa, ale
bywa, że potrafię dostrzec
dobrą stronę tego stanu rze-
czy. Uwielbiam pływać, grać
w siatkówkę, rysować, grać
na gitarze i czytać. Jestem
pracowita i nie boję się nowych wyzwań. Wkrótce kolejne
przede mną, bo od następnego roku szkolnego będę już lice-
alistką. Na co dzień rozpiera mnie chęć do działania, a zna-
jomi mówią, że kreatywność to moje drugie imię. Mam gło-
wę pełną marzeń i pomysłów. Z natury jestem optymistką
i nie lubię się zamartwiać. Uważam, że nie istnieją sytuacje
bez wyjścia. Mam wielu przyjaciół, których, mam nadzieję
z wzajemnością, uwielbiam. W przyszłości chciałabym zo-
stać lekarzem. Wiem, że czeka mnie dużo pracy, ale jestem
na to przygotowana.



EWELINA NOWICKA

Urodziłam się 10 lutego 1998 r. Jestem uczennicą klasy IIIb Gimnazjum im. Polskich Olimpijczyków w Kraśzewicach. W wolnych chwilach czytam książki oraz piszę krótkie rymowanki, które najczęściej są życzeniami dla najbliższych i znajomych. Uwielbiam podróże, chętnie uczestniczę w projektach organizowanych przez moją szkołę, takich jak „Comenius” i polsko-niemiecka wymiana młodzieży. Bardzo lubię matematykę. W szkole podstawowej dwukrotnie otrzymałam statuetkę KANGURA za bardzo dobry wynik w Międzynarodowym Konkursie „Kangur Matematyczny”. Interesuję się także sportem, w szczególności koszykówką. Swoich sił spróbowałam w konkursie na opowiadanie olimpijskie, ponieważ w życiu kieruję się zasadami: *Citius, altius, fortius*, które sprawdzają się nie tylko w sporcie. W życiowych i szkolnych zmaganiach stosuję zasadę fair play.



MONIKA PAWLAK

Nazywam się Monika Pawlak. Mam piętnaście lat i jestem uczennicą drugiej klasy gimnazjum w Bystrzycy Starej na Lubelszczyźnie. Interesuję się sportem, a szczególnie biegami narciarskimi. Jestem wielką fanką Justyny



Kowalczyk. Marzę, aby kiedyś biegać na nartach i spróbować swoich sił w Biegu Piastów. W przyszłości chciałabym zostać lekarzem i pomagać ludziom. W wolnych chwilach słucham muzyki, spotykam się z przyjaciółmi i oczywiście biegam na nartach.

JOANNA PIOTROWSKA

Urodziłam się 7 maja 2000 roku. Mieszkam w Słupach Małych, w małej miejscowości w woj. kujawsko-pomorskim. Uczęszczam do Publicznego Gimnazjum im. Władysława Stanisława Reymonta w Bądkowie do klasy Ia. Brałam udział w wielu konkursach, osiągając mniej-



sze i większe sukcesy na szczeblu gminnym, wojewódzkim i ogólnopolskim. Interesuję się sportem. W wolnym czasie lubię śpiewać. Uczę grać się na keyboardzie i saksofonie, co sprawia mi ogromną przyjemność. Plany na przyszłość? Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

BARBARA SZOPA

Urodziłam się 21 września 1998 roku w Krośnie w województwie podkarpackim. Uczęszczam do klasy III c w Gimnazjum nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Krośnie.

Interesuję się muzyką, kocham zwierzęta, uwielbiam malować i właściwie nigdy nie rozstaję się ze swoimi ulubionymi pędzlami i farbami. Występuję też w teatrze. Moim

ukochanym sportem jest bieganie, to taki mój „zastrzyk szczęścia” każdego dnia. Jeżdżę też czasem konno. Uwielbiam pisać, swoimi pracami chcę przywrócić ludziom wiarę w siebie i pokazać, że każdy może osiągnąć wyznaczone sobie cele. Staram się z dnia na dzień być coraz lepszym człowiekiem, a za zadanie postawiłam sobie wywoływanie uśmiechu na twarzach bliskich osób.



STANISŁAW ŚMIETANA

Mam 15 lat i jestem uczniem gimnazjum w Zespole Szkół nr 2 im. Wandy Rutkiewicz w Warszawie. Tak zwane „lekkie pióro” mam chyba we krwi, ale to sport jest moją prawdziwą pasją. Od dzieciństwa coś trenuję. Najpierw była to piłka nożna i pływanie, potem przez dwa lata siatkówka. Wreszcie przyszła kolej na koszykówkę w ursynowskim klubie MAK, i to jest sport, który wciąga mnie najmocniej. W wolnych chwilach jeżdżę na deskorolce i rekreacyjnie biegam. Dużo czytam, ostatnio książki w wersji elektronicznej. Kiedyś był to Niziurski, teraz interesuje mnie literatura fantasy, ale także klasyka kryminału. Lubię też kino akcji, horrory oraz filmy historycz-



ne. Jestem wielbicielem kotów brytyjskich i właścicielem futrzanego rudzielca o imieniu Pixel.

DARIA TROJANOWSKA

Nazywam się Daria Trojanowska i mam 16 lat. Obecnie jestem uczennicą III klasy Gimnazjum w Gomulinie. Od zawsze moim ulubionym przedmiotem był język polski. Szczególnie interesowała mnie literatura. Uwielbiam czytać książki, a w szczególności poezję. Wyjątkowo bliskie są mi wiersze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Tuwima oraz twórczość Edwarda Stachury. Miłością do literatury zaraziła mnie moja mama, która czytała mi książki już od pierwszych miesięcy mojego życia.



Jestem osobą towarzyską i uwielbiam spędzać czas z przyjaciółmi, ale również bardzo cenię sobie chwile samotności spędzane sam na sam z dobrą książką i muzyką.

GABRIELA ZARAJCZYK

Nazywam się Gabriela Zarajczyk, mam 15 lat. Urodziłam się 5 marca 1999 roku w Lublinie. Od urodzenia mieszkam nad malowniczym Zalewem Zemborzyckim. Tu uczęszczałam do Szkoły Podstawowej nr 39 im. Aleksandra Kamińskiego, a obecnie jestem uczennicą II klasy Gimnazjum nr 25 im. „Szarych Szeregów” w Lublinie. Po jego ukończeniu pragnę kontynuować naukę w liceum ogólno-

kształcącym w klasie o profilu humanistycznym.

Moje zainteresowania wiążą się z przedmiotami humanistycznymi. Ogromną radość sprawia mi czytanie książek, które wymaga uruchomienia wyobraźni i stworzenia w głowie rzeczywistości zbudowanej tylko słowami. Z moją pasją wiąże się udział w konkursach literackich, które dają mi możliwość współtworzenia fikcyjnego świata.



Jestem pilna, systematyczna i wiele od siebie wymagam. Staram się stawiać sobie poprzeczkę dość wysoko. Nie zrażają mnie niepowodzenia, uparcie pokonuję przeszkody i konsekwentnie zmierzam do wyznaczonego celu. Myśląc o przyszłości, widzę siebie w zawodzie związanym z prawem. Mam nadzieję, że to marzenie uda mi się zrealizować.

Natalia Karolina Bociuk

Uwierzyć w siebie

Publiczność szaleje, z moich oczu płyną słone łzy, jestem szczęśliwa. Udało mi się zrealizować jedno z moich marzeń, których jest całkiem sporo, i wierzę w to, że kiedyś wszystkie się spełnią. Zdobyłam srebrny medal na olimpiadzie sportowej! Co prawda nie jest to pierwsze miejsce, jednak i tak się cieszę i mam nadzieję, że następnym razem stanę na najwyższym podium. Właśnie miało się zacząć wręczanie medali i wiązanek, gdy nagle, wśród wiwatów na trybunach, zdołałam usłyszeć dźwięk budzika...

W jednej chwili znalazłam się z powrotem w moim wiecznie uporządkowanym pokoju. Potrzebowałam kilku sekund na uświadomienie sobie, że to był sen, a ja wracam do ponurej rzeczywistości. Wstałam i wciąż myśląc o moim pięknym śnie, zaczęłam przygotowania do wyjścia do szkoły.

W drodze do budynku szkolnego spotkałam Kaję, jedyną osobę, która się do mnie w ogóle odzywała. Nie byłam popularna w szkole, ponieważ lubiłam się uczyć, byłam wiecznie przygotowana do zajęć, a poza tym miałam krótko ścięte włosy i aparat na zębach. Do czytania miałam duże okulary, które były powodem jesz-

cze większych kpin i żartów z mojej osoby. Nienawidziłam tej szkoły. Jedyne, co mnie cieszyło, gdy do niej szłam, to fakt, że po lekcjach miałam codziennie treningi z moją ulubioną trenerką.

Bieganie było dla mnie czymś niesamowitym. Kiedy biegłam, nie zwracałam uwagi na innych, którzy wiecznie wytykali mnie palcami. Gdy biegłam, świat stawał się piękniejszy. Czułam się, jakbym na moment traciła kontakt z szarą rzeczywistością.

– Cześć, Kasiu – Kaja oderwała mnie od smutnych przemyśleń. Byłam jej za to wdzięczna.

– Hej – po chwili odpowiedziałam na przywitanie.

Po wejściu na teren szkoły czym prędzej pospieszyłam na pierwszą lekcję, matematykę. W klasie pani (jak zwykle zresztą) poprosiła mnie do odpowiedzi. Usłyszałam za sobą szepty rówieśników, na które próbowałam nie zwracać uwagi, jednak było to niemożliwe.

Po zajęciach miałam trening z panią Goblińską. Byłam szczęśliwa, bo dziś biegałyśmy na czas, a dwie najlepsze dziewczyny miały pojechać na zawody, które zaplanowano na przyszły tydzień. Postanowiłam wygrać ten wyścig, biegłam jednak w parze z najlepszą lekkoatletką z naszej szkoły, Weroniką. Nie lubiłam jej wyniosłej postawy i sposobu zwracania się do innych, jej zdaniem gorszych od niej. Chociaż, trzeba przyznać, była naprawdę ładna. Jej długie blond włosy upięte w warkocz dobrze się komponowały z niebieskimi oczami.

Po krótkiej rozgrzewce zaczęłyśmy nasze wyścigi. Ja z Weroniką biegłyśmy czwarte, więc miałyśmy jeszcze trochę czasu.

– Myślisz, że wygrasz ten wyścig, okularnico? – usłyszałam piskliwy głos Weroniki, po czym jej dwie przyjaciółki, Agata i Monika, zaczęły się głośno śmiać... Nietrudno było się domyślić, że śmieją się ze mnie.

– Droga Weroniko, nie twierdzę, że wygram, jednak będę się starać i dążyć do tego, aby tak się stało – odparłam spokojnie, w środku jednak wszystko się we mnie gotowało.

– Jesteś żałosna! Ja nigdy nie przegrywam, udowodnię ci to... – powiedziała, po czym odeszła przygotować się do startu.

Nadszedł czas na nasz bieg.

– Gotowe?! Do biegu! Start!

Ruszyłam jak strzała, od razu zostawiając Weronikę nieco w tyle. Jednak dla mnie liczyło się najbardziej to, że biegłam. Niczego więcej tak naprawdę nie potrzebowałam. Uwielbiam, jak wiatr odbija mi się o twarz, czuję się wtedy wspaniale.

Po chwili Weronika była już tuż za mną. Zdołałam usłyszeć tylko to:

– Pożałujesz...

Nie myśląc o tym, próbowałam przyspieszyć. Udało mi się, dobiegłam na metę o kilka sekund wcześniej niż Weronika. Byłam z siebie dumna.

– I co, myślisz, że tak po prostu to zostawię po tym, jak mnie upokorzyłaś? – usłyszałam za sobą głos mojej rywalki. – Jeszcze się zobaczymy i wtedy zrozumiesz, kto jest najlepszy!

– Ale... – nie wiedziałam, co mam jej na to odpowiedzieć. Wygrałam, powinna to przyjąć do wiadomości.

Pod koniec treningu pani Goblińska ogłosiła, kto pojedzie na zawody. Miałam pewność, że trenerka przeczyta moje nazwisko, i tak też się stało. Byłam bardzo szczęśliwa i zadowolona z siebie. Kątem oka zauważyłam, jak pani Goblińska puszcza do mnie oczko, tak jakby chciała mi powiedzieć: „Dobra robota, Kasiu”. Czułam się w siódmym niebie, od zawsze marzy-

łam, aby jeździć na zawody i odnosić sukcesy, bo dzięki temu będę mogła zrealizować jedno z moich największych marzeń: pojechać na prawdziwą olimpiadę i stanąć na podium. Miałam nadzieję, że w przyszłości się to spełni...

W drodze do domu jak co dzień szłam z Kają. Była ona mała i chuda. Rude loczki okalające jej głowę spadały na ramiona i podskakiwały przy każdym ruchu.

– Jak ci minął dzień, Kaśka? – spytała po pięciu minutach wspólnego marszu.

– Znakomicie – odparłam i zaczęłam jej opowiadać, co mi się dziś przytrafiło.

Po powrocie do domu i po przebraniu się z mundurka szkolnego wyszłam na podwórko trochę pobiegać. Przez kolejny tydzień codziennie solidnie trenowałam, aby porządnie przygotować się do zawodów.

W dniu zawodów byłam porządnie wyspana i gotowa do startu. Rano przyjechałam pod szkołę, gdzie już czekały na mnie pani Goblińska i Małgosia, druga dziewczyna, która zakwalifikowała się do zawodów. Po krótkim postoju ruszyliśmy do Warszawy, gdzie miał się odbyć turniej. Po dwóch godzinach jazdy byliśmy na miejscu.

Weszliśmy na stadion. Pani Goblińska z Małgosią od razu poszły się zameldować, a ja stanęłam przy drzwiach i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Po raz pierwszy w życiu byłam na tak dużych zawodach, z tak liczną publicznością. Po chwili dołączyłam do reszty.

Nasz bieg miał się odbyć dopiero o 12.30, więc miałyśmy ponad dwie godziny wolnego czasu. W szatni usłyszałam dźwięk przychodzącej wiadomości, była to Weronika: „Jestem na zawodach, jednak przez cie-

bie TYLKO na widowni! Nie masz szans z konkurencją, okularnico!”

Od bezmyślnego gapienia się w wyświetlacz telefonu oderwał mnie głos trenerki:

– Kasiu, wyjdź, dziecko, z tej szatni i rozgrzej się przed biegiem!

– Przepraszam, już się przebieram i idę – odparłam, po czym zaczęłam wyjmować z torby strój.

Wyszłam na stadion i rozejrzałam się po widowni, szukając wzrokiem Weroniki. Po chwili zobaczyłam ją, siedziała obok Moniki i Agaty. Ona też mnie zauważyła, wskazała na mnie palcem i zaczęła się głośno śmiać. Miałam ochotę podejść do nich i wyjaśnić sytuację, jednak szybko odsunęłam od siebie tę myśl, ponieważ musiałam się skoncentrować na rozgrzewce i na tym, aby jak najlepiej wypaść podczas biegu. Dlatego też próbowałam nie zwracać na nie uwagi. Tylko żeby to było takie proste...

Nadszedł czas na mój bieg. Tuż przed startem nogi zaczęły mi się trząść. Nie wiedziałam, co się dzieje, bo nigdy tak nie miałam. Mimo to wstałam i zaczęłam iść w stronę pięciu linii dla biegaczy, gdzie stał mężczyzna w starszym wieku. Miał na sobie sportową kurtkę i dresowe spodnie. W prawej dłoni trzymał mały pistolecik do sygnalizowania startu, a drugą ręką wskazał mi pusty tor. Domyśliłam się, że jest przeznaczony dla mnie. Po chwili byłam już gotowa do biegu.

– Gotowe?! Do biegu! Start! – krzyknął mężczyzna, po czym wystrzelił z pistoleciku.

Ruszyłam... Biegłam szybko, naprawdę szybko. Miałam do przebiegnięcia sześćset metrów, czyli dystans, który na treningach przebiegałam z łatwością. I tym razem nie sprawiało mi to trudności. Jednak

gdzieś w połowie dystansu zdołałam usłyszeć dobiegającą z widowni wrzaski:

– Nie masz szans!

Bez wątpienia był to głos Weroniki. Te krzyki, zamiast spowolnić, dały mi jeszcze większego kopa. Po kilku sekundach wyszłam na prowadzenie. Czułam się wspaniale, jakby moje nogi były lekkie jak piórka i same mnie niosły.

W końcu dotarłam na metę. Nie spodziewałam się tego wcześniej, ale przybiegłam pierwsza! Byłam przezszcęśliwa, nie mogłam w to uwierzyć. Przez chwilę nawet pomyślałam, że to jeden z moich pięknych snów, a ja zaraz się obudzę. Jednak to zdecydowanie nie był sen.

Po chwili podbiegła pani Goblińska, przytuliła mnie i powiedziała, że dokonałam niemożliwego! Ja, zwykła siedemnastolatka z małego miasteczka, pobiłam rekord Polski aż o pięć sekund! Nie mogłam w to uwierzyć! Po moim policzku zaczęły lecieć łzy, słone łzy szczęścia!

Przy wręczaniu medalu nadal nie wierzyłam w swój sukces. Serce kołatało mi jak oszalałe, kątem oka zdołałam ujrzeć Weronikę. Siedziała z otwartą buzią i z niedowierzaniem patrzyła w moją stronę.

Już po wszystkim...

W szatni zauważyłam, że mam nieodebranych kilkanaście połączeń. Wszystkie od mojej mamy. Odzwońiłam do niej szybko i nie dając jej dojść do słowa, zaczęłam opowiadać o swoim sukcesie. Cieszyła się, jednak wyczułam w jej głosie smutek, dlatego też zapytałam, co się stało.

– Przykro mi, Kasiu, ale już nie będziemy mieszkać w naszym domu – odparła po chwili.

–Nie rozumiem... Jak to?

– Ojciec sprzedał ten dom i kupił działkę pod Poznaniem.

Mama opowiedziała mi o wszystkim, po czym się rozłączyła.

Dziwne, nie czułam smutku. Może dlatego, że wcale się tu nie zaaklimatyzowałam? Mniejsza z tym, nie chciałam teraz o tym rozmyślać...

Po kilku minutach do mojej szatni weszła Weronika. Kogo jak kogo, ale jej się tu nie spodziewałam.

– Przepraszam cię, Kaśka, za moje zachowanie i gratuluję sukcesu – powiedziała, po czym prędko odwróciła się i wyszła.

Nie miałam czasu zastanowić się nad jej zachowaniem, gdyż weszła trenerka.

– Kasiu, mam dla ciebie dobre wieści. Właściciel najlepszego klubu lekkoatletycznego zaprasza cię do współpracy – powiedziała.

– Naprawdę? – byłam zaskoczona. – Proszę pani, ale ja muszę pani powiedzieć...

– Że się przeprowadzasz? – dokończyła za mnie trenerka.

– Tak, ale skąd ... – urwałam zaskoczona. Nie wiedziałam, o co tutaj chodzi.

– Kasiu, powiem ci jedno – zaczęła pani Goblińska. – Nieważne, gdzie zamieszkasz. Dla mnie zawsze będziesz osobą, dla której sport jest całym życiem, która daje z siebie wszystko i dąży do tego, aby zrealizować swoje marzenia. Marzenia, które przy odrobinie wysiłku w końcu się spełnią. Dziecko, jestem z ciebie taka dumna...

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam się tak, jakby ktoś mi w końcu uświadomił, że moje życie ma sens.

– Obiecuję pani, że będę dążyć do celu, i zobaczy pani, że stanę kiedyś na prawdziwym podium olimpijskim. Może być pani pewna, że nigdy nie rzucę biegania, bo to coś, co kocham.

– Wierzę w ciebie, Kasiu – uśmiechnęła się moja trenerka.

Wydarzenia sprzed ostatnich tygodni były dla mnie czymś niesamowitym. W końcu uwierzyłam w siebie, nie zwracałam uwagi na to, co twierdzą o mnie inni. Znalazłam cel w życiu i jestem pewna, że będę dążyć do tego, aby go zrealizować...

A marzenia? Uświadomiłam sobie, że są one po to, aby je spełniać. Ludzie mówią, że marzenia się nie spełniają. Nieprawda! Spełnią się nawet te największe, trzeba tylko naprawdę tego chcieć! Trzeba uwierzyć w siebie i w swoje umiejętności.

Olga Danelska

Mimo to

Jeszcze tylko dwadzieścia metrów, zaraz koniec, jeszcze dziesięć, pięć, już prawie...

Wreszcie moja ręka dotyka ściany basenu. Wynurzam się, ściągam okulary i usiłuję wyrównać oddech. Serce tłucze mi się w piersi tak prędko i mocno, jakby chciało wyskoczyć. Chwytam mocno brzeg basenu obiema rękami i podciągam się, żeby usiąść.

Z trybun po prawej jak przez grubą warstwę waty słyszę pojedyncze okrzyki – to znowu gapie, przyszli pooglądać, jak trenuję.

– Musisz dynamiczniej wejść w nawrót – słyszę obok siebie. Podnoszę wzrok. Trener stoi nade mną, trzyma w dłoni stoper.

– 1:59,86 – mruczy – musisz poprawić.

Kiwam głową i wstaję. Kieruję się w stronę szatni. Nogi trzęsą się pode mną, trochę ze zmęczenia, a trochę ze strachu. Za trzy miesiące wyjadę na olimpiadę. Byłam taka dumna, gdy dostałam powołanie, a teraz mam dość – codziennie, po parę godzin, walcujemy to samo. Skok, pięćdziesiąt metrów, nawrót, pięćdziesiąt metrów, pompki, skok i tak dalej. Wchodzę do pustej szatni, sięgam po ręcznik, siadam na ławce, machinalnie się przebieram. Wychodzę z szatni, a potem

na dwór. Oddycham powoli i głęboko świeżym powietrzem bez zapachu chlorowanej wody. Noga za nogą spokojnie idę do domu.

Następnego dnia znów wchodzę na słupek startowy, uginam nogi, łapię rękami brzeg słupka, czekam na gwizdek. Jestem już tak zmęczona, ale muszę przepłynąć jeszcze kolejnych sześćset metrów. Powietrze przecina ostry, głośny dźwięk gwizdka. Z całej siły odbijam się, czuję pęd powietrza na skórze, zaciskam lekko ręce i wpadam w chłodną, niebieską wodę. Moje ciało, już przyzwyczajone, szybko odnajduje rytm, ręce pracują, tak jak trzeba, przecinam wodę jak torpeda. Biorę oddech, zamykam oczy i płynę dalej.

Właśnie tak spędzałam miesiące przed igrzyskami. Bardzo ciężko pracowałam, żeby dostać się na te wymarzone zawody, zwieńczenie wysiłków każdego sportowca, prawdziwą próbę charakteru. Teraz, gdy jestem już tak blisko celu, nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek. Jednak właśnie ten dzień, ten, który miał być przecież taki, jak wszystkie inne, poświęcony prawie całkowicie ciężkiemu treningowi, okazał się przełomem.

Wychodzę z wody, cała drzę. Trener podaje mi czas, coś objaśnia, ale do mnie nic nie dociera. Idę do szatni obojętna na wszystko. Szybko się splukuję, ubieram i wychodzę. Jest już ciemno, wieje silny, zimny wiatr, niebywały o tej porze roku. Idę przed siebie, chcę jak najszybciej znaleźć się w ciepłym pokoju, zamknąć drzwi i iść spać, a najlepiej przespać cały tydzień. Dochodzę do ulicy. Jest cicho, pusto, szeleszczą liście. Ziewam, przymykam oczy i nagle oślepia mnie blask reflektorów. Przez ułamek sekundy widzę zbliżające się do mnie światło, a potem pogrążam się w ciemności.

Czuję jakiś dziwny, obcy zapach. Nie czuję rąk i nóg. Otwieram jedno oko. Potem drugie. Przez moment

widzę tylko białą plamę. Mrużę oczy i lekko ruszam głową. Aż syknęłam z bólu. Leżałam teraz na czymś miękkim, ale sztywnym. Słyszałam jakieś przyciszone głosy, cichutkie szmery. Delikatnie przekrzywiłam głowę i zerknęłam w bok. Dziwne... leżałam w szpitalu, obok, na krzesłach z prostymi oparciami, siedziała moja mama, a tuż przy niej tata. Oboje mieli jakby lekko zaczerwienione oczy, patrzyli na mnie. Spróbowałam się do nich uśmiechnąć, ale twarz mam jakby zeszywniała. Chciałam podnieść rękę. Bezskutecznie. Wreszcie spróbowałam coś powiedzieć. Z gardła wydobył mi się tylko schrypnięty szept. Rodzice drgnęli jednocześnie, a mama wstała, zbliżyła się do mnie i położyła mi rękę na czole. Była przyjemnie gładka i chłodna.

– Jak się czujesz, kochanie? – ledwo dosłyszalne pytanie. Uśmiechnęłam się słabo.

– Miałaś wypadek – usłyszałam. Od razu zaczęłam trzeźwiej myśleć: „Jak to wypadek?” Zaczęłam powolutku, lekko się ruszać. Poruszyłam najpierw głowę, potem lekko nogami, zatoczyłam koło lewym i prawym barkiem, napięłam mięśnie karku i ruszyłam prawą ręką. Tylko prawą. Lewej nie czułam zupełnie. Jakby mi zdrętwiała od łokcia w dół, aż po końce palców. Drgnęłam gwałtownie i zmarszczyłam brwi. Uniosłam głowę parę centymetrów w górę, żeby zbadać, co się stało. Kątem oka dostrzegłam, że tata wykonał taki ruch, jakby chciał mnie powstrzymać, ale mama chwyciła go za rękę. Po jej policzku spłynęła łza. Uniosłam się na tyle, żeby zobaczyć poręcz łóżka. Zobaczyłam swoje nogi, prawą rękę. W dłoń miałam wbity wenflon, od którego biegła cienka żyłka. Pobiegłam po jej całej długości wzrokiem, aż dostrzegłam torebkę wiszącą na stojaczkę, z wolno kapiącą przeźroczystą cieczą. Wró-

ciłam spojrzeniem w dół, na moje łóżko. Zwróciłam głowę w kierunku mojej lewej ręki, której... nie było. Potrząsnęłam głową, zamykając oczy. Powoli znowu je otworzyłam. Dosłyszałam szloch mamy. Mój bark był zabandażowany, a ręka, jeśli można tak powiedzieć, kończyła się właśnie na nim. Zaczęłam gwałtownie chwytać powietrze ustami, a z oczu wypłynęły mi łzy.

Noc chciałam spędzić sama, choć co godzinę przychodził lekarz albo pielęgniarka, żeby poprawić kroplówkę, dać mi leki przeciwbólowe. A ja płakałam jak wodosпад Wiktorii. Całe moje dotychczasowe życie, te treningi, wyrzeczenia, wszystko to poszło na marne. Wszystkie marzenia o olimpiadzie, o medalach, o możliwości doskonalenia pływania, mojego ukochanego sportu, który dla mnie był wszystkim, wszystko legło w gruzach. Co ja mogę, ja, kaleka?! Nie mogę nic! Inni zdobywają medale, są szczęśliwi, stanowią dumę swojego narodu, a ja?! Dlaczego ja?! Czemu mnie to spotkało? Miałam ochotę krzyknąć, niszczyć, wyrzucić przez okno ten przeklęty budzik, który denerwująco tykał i świecił wskazówkami. Chciałam wstać, podrzeć to zdjęcie na ścianie, na którym widziałam śmiejące się dziecko w wielkich, różowych okularach przeciwsłonecznych na nosie. To dziecko łąpało rączkami piłkę. Usłyszałam odgłos silnika przejeżdżającego samochodu, który ktoś prowadził rękami. Potem samochód się zatrzymał, ktoś z niego wysiadł i wyjął rękami z bagażnika walizki, a potem zamknął rękami drzwi. Rękami.

To był najstraszniejszy okres w moim życiu. Żyłam, nie przejmując się niczym. Wpadłam w rutynę. Dzień za dniem, odstawienie leków, stopniowe poruszanie barkiem, osvajanie się z rzeczywistością. Szczególnym, traumatycznym przeżyciem było pierwsze wyjście na korytarz. Lekarz pomógł mi dojść do drzwi, a ja

wreszcie, od tak długiego czasu, mogłam wyjść z mojej sali. Na korytarzu było niewiele osób, więc szybko zwróciłam ich uwagę. Czułam się strasznie, choć od ostatniego czasu czułam się tak, jakbym nie miała żadnego kontaktu z rzeczywistością, jakbym poruszała się w próżni, jakby czas wraz z wszystkimi ludźmi się zatrzymał, a ja byłam jedyną osobą na świecie, która żyła i poruszała się. Teraz otaczali mnie ludzie, którzy patrzyli się na mnie z litością, współczuciem, ze strachem. A ja czułam się asymetryczna, inna, obca. Potem już wcale nie chciałam opuszczać mojej sali. Zaczęła się też rehabilitacja. Teraz już wiedziałam, jak czują się ci wszyscy, którzy cierpią tak jak ja. Bolało mnie, a ćwiczenia ciągnęły się w nieskończoność. Mijały długie tygodnie wizyt lekarzy, rehabilitantów, fizjoterapeutów. Rodzice, z początku milczący, pomagali mi, ale nie we wszystkim. W końcu musiałam się jakoś nauczyć funkcjonować. Teraz się przekonałam, jak trudno przyzwyczaić się do braku ręki. Przyłapywałam się na tym, że chcę złapać kubek obiema dłońmi i przez chwilę stoję, nie mogąc zrozumieć, dlaczego lewa nie służy. Wciąż byłam milcząca, a po nocach wylewałam z oczu rzeki łez. Nie chciałam chodzić na rehabilitację, ćwiczyć. Wydawało mi się to nudne, bezsensowne, zbędne. Sama sobie wydawałam się zbędna. Po czasie wstępnej rehabilitacji, który wydał mi się wiecznością, lekarze powiedzieli, że mogę wracać do domu. Zabrano mnie ze szpitala, a ja, gdzieś głęboko w duszy, rozpaczliwie wzywałam pomocy. W domu szybko się zorientowałam, że moje życie musi się teraz diametralnie zmienić. Pierwszej nocy nie mogłam spać, a rano z przyzwyczajenia chciałam się szykować na trening. Teraz zdałam sobie sprawę, jak ważne było dla mnie pływanie, jakie było potrzebne, jak teraz za nim tęsknię. Pływanie było

moją radością, nawet gdy byłam tak wyczerpana. Dlaczego wcześniej, przed wypadkiem, wcale go nie doceniałam? Teraz żyję z jedną ręką. A olimpiada? Jak wspinała szansa mi umknęła.

ROK PÓŹNIEJ...

– Kochanie, wstań – głos mamy rozległ się nad moim uchem. Pogłaskała mnie po policzku.

– Idziesz popływać – szepnęła. Łzy zaraz stanęły mi w oczach. Ile razy mówiłam, żeby nikt nie wspominał przy mnie o sporcie? Czy nikt nie dostrzega, że ja cierpię? Ile mnie to wszystko kosztuje?! Poczulałam złość na mamę i spojrzałam na nią gniewnie przez łzy.

– Nie patrz tak na mnie. Naprawdę idziesz popływać. Jak dzisiaj nie zrobisz kilometra, to... – pogroziła mi palcem, śmiejąc się. Lubię, gdy się śmieje. Ale kilometr to śmiesznie mało. Wstałam posłusznie. Tak dawno nie byłam na pływalni, ale się bałam. Co powiedzą ludzie, jak się będą na mnie patrzyć? Jak na kalekę, która zasługuje na współczucie. Zaciśnęłam zęby i na miarę moich możliwości szybko zaścieliłam łóżko. Dzień był ładny, ciepły, letni. Szłam z rodzicami tą samą drogą, którą przed rokiem pokonywałam sama, po kilka razy dziennie, z lewą ręką. Zobaczyłam budynek basenu. O, nowy kolor na ścianach. Ładna, jasna limonka. Śliczny odcień. W progu powitał mnie znajomy zapach chloru. Jak mi go brakowało. Przeszliśmy obok grupki dzieci, które właśnie wysypały się z szatni, śpiesząc ku rodzicom, żeby jak najszybciej pochwalić się swoimi osiągnięciami. Weszłam niepewnie do szatni. Nowe ławki, ale szafki te same, tylko odrobinię bardziej odrapane. I przybyło kilka nowych napi-

sów. „Myśl pozytywnie” – czytam jeszcze kilka mądrości. Wolno, niezgrabnie się przebieram, a przed lustrem nakładam stare, wysłużone okulary. Nie zamieniłabym ich na żadne inne. Idę korytarzem w kierunku niecek basenu i przystaję w wejściu. Rodzice siedzą na trybunach, pojedyncze osoby pluskają się w wodzie i jacuzzi. A przed pięćdziesięciometrowym basenem stoi mój trener.

– Za niecałe dwa lata igrzyska paraolimpijskie. Ćwiczmy, torpedo – uśmiecha się do mnie promiennie. No nie, znowu się nie mogę powstrzymać. Płaczę jak bóbr.

Wokół panują gwar i hałas, ale ja ich nie słyszę. Słyszę tylko mój oddech i przyspieszone bicie serca. Stoję na słupku, zaciskam palce na jego krawędzi, uginam nogi, czekam. Patrzę w dół, w jasną, czystą taflę wody. Chowam głowę przy ramieniu. Powietrze rozcina odgłos startu. Przestaję myśleć. Wpadam w chłód i mknę pod wodą. Teraz mam jedną rękę, której muszę zaufać. To jest moja chwila. Udowodnię, że nie muszę mieć dwóch rąk. Pracuję nogami, rozchlapuję wodne lustro ręką, teraz silną i wspaniałą. Dotykam ściany, dynamicznie wchodzę w nawrót, wykonuję go bezbłędnie, nawet trener byłby z niego zadowolony. Uśmiecham się do siebie i rozglądam kątem oka. Dunka płynie równo ze mną, a Francuzka nieco przede mną. Inne zostały w tyle. Przyspieszam, jeszcze dziesięć metrów. Niedużo, ale zdążę. Zaczynam się męczyć, a mięśnie protestują. „Szybciej, szybciej” – poganiam w myślach samą siebie. Nagle boleśnie uderzam ręką w ścianę. Wynurzam się, parszkając wodą. Zrywam moje stare okulary z twarzy i rozglądam się. Właśnie dopływa Francuzka. Zdaję sobie sprawę, że wygrałam. Słyszę własne

nazwisko, na trybunach dzika wrzawa. Widzę biało-czerwone flagi, słyszę okrzyki, dostrzegam moich rodziców.

Gdy odbierałam kwiaty, a potem ten wymarzony, złoty medal, gdy poczułam jego ciężar, a w uszach rozbrzmiał mi *Mazurek Dąbrowskiego*, przypomniałam sobie to pytanie, które kiedyś sobie zadałam. Co powiedzą ludzie, jak się będą na mnie patrzeć? Teraz znam już prawdziwą odpowiedź. Dostrzegą we mnie dziewczynę, która mimo wielu przeciwności losu nie poddała się i nadal nie poddaje. Dziewczynę, która nie podda się nigdy.

Oliwia Jarosz

„Zawsze” nie istnieje

WCZORAJ...

Dawno, dawno temu mała dziewczynka zapragnęła pływać – świetny początek na miłe opowiadanie o spełnionych marzeniach i wielkiej przygodzie, ale w moim przypadku było troszkę inaczej...

Moja przygoda z basenem zaczęła się w „zerówce”. Mama chciała, bym nieco rozładowała energię, której podobno miałam zawsze za wiele. Raz w tygodniu chodziłam na godzinę pływania i była to doskonała zabawa dla sześciolatka. Wodę pokochałam bardzo szybko, czułam, że to jest moje naturalne środowisko. Lubiłam sobie wyobrażać, że jestem Małą Syrenką z bajki. Później przyszedł czas na szkołę. Byłam wtedy mała i nie miałam pojęcia, jaką chcę wybrać szkołę i klasę. Tę decyzję podjęli za mnie rodzice i im zawdzięczam moją dalszą przygodę z pływalnią. Byłam zachwycona ilością zajęć na basenie, nowymi znajomościami, aż chciało się chodzić do szkoły.

W drugiej klasie podstawówki pojechałam wraz z grupą na moje pierwsze zawody. To było dla mnie więcej niż ekscytujące wydarzenie, bardzo się stres-

wałam i chciałam jak najlepiej popłynąć. Marzyłam o wygranej. Wtedy jeszcze myślałam, że to takie proste, ale czekał mnie zawód. Spotkało mnie wielkie rozczarowanie – inni wracali z medalami, a ja bez niczego. To było moje pierwsze zetknięcie się z prawdziwą rywalizacją. Od tamtego czasu zagryzałam zęby na treningu i dawałam z siebie więcej i więcej. Chciałam pokazać sobie i innym, na co mnie stać i co mogę osiągnąć. Pchała mnie do przodu niewidzialna siła, która motywowała mnie do pracy. Powtarzałam sobie w myśli: „Następne zawody będą moje”. I tak się stało. Pamiętam to jak dziś. Moje pierwsze podium, mój pierwszy medal i pierwsze odegrane *We are the champions* podczas ceremonii dekoracji medalowej. W tym momencie chciałam skakać z radości, rozpieła mnie energia i od tamtego czasu 50 metrów stylem klasycznym to był mój koronny dystans.

Od tamtej pory chciałam więcej i więcej. Jeździłam na kolejne zawody i w kolejnych zmaganiach dawałam z siebie wszystko. Przyszedł też czas na Mistrzostwa Województwa w Bydgoszczy. Trener wpisał mnie na listę moich ukochanych 50 metrów klasykiem i, ku mojemu zaskoczeniu, do konkurencji 50 metrów motylkiem. Kiedy zobaczyłam się na liście 50 metrów motylkiem, pomyślałam: „Tylko nie delfin”. Nigdy nie czułam się mocna w tej konkurencji, wymagała ona ogromnego wysiłku, większego niż pozostałe style. Byłam święcie przekonana, że nie dam rady. Myślałam, że ze zmęczenia po prostu zatrzymam się w połowie długości i nie ukończę biegu. Rzeczywistość była bardziej zaskakująca, niż mogłabym przypuszczać w najśmielszych snach. Nawet teraz, zamykając oczy, widzę wszystko tak wyraźnie – aż mam wrażenie, że czuję zimne krople wody na skórze.

Stoję na słupku startowym. Spowalням oddech, chociaż serce bije mi jak oszalałe. Mam wrażenie, że zaraz wyrwie się ze mnie i samo wskoczy do wody. Publika cichnie, a ja coraz głośniejszy słyszę pulsującą w moich żyłach krew. Z ust sędziego pada komenda: „Na miejsca!” Moje lodowate i drżące dłonie chwytają krawędź słupka, biorę głęboki wdech i czekam na gwizdek. Głośny dźwięk wyrzywa mnie z letargu, wszystko dzieje się automatycznie – skupienie i pełna mobilizacja mięśni. Lecę nad wodą i uderzam w gładką taflę. Zimno otrzeźwia mnie i zaczyna się walka. Nogi i ręce w zawrotnym tempie przecinają wodę. Płynę. Jeszcze dwa ruchy rąk i nawrót. Odpycham się od ścianki basenu, ile mam sił w nogach, wykorzystuję wszystkie zgromadzone we mnie zapasy energii. Zostało jeszcze jakieś 10 metrów. Mięśnie zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa, pojawiają się mroczki przed oczami, ale motywuję się, jak mogę. Jeszcze kawałek, tak blisko... i... Jest! Dotykam chropowatej ściany, ledwo unosząc się na wodzie z wyczerpania. Bicie serca jest tak zabójczo szybkie, że aż boli.

Wychodzę z basenu słaba i oszołomiona ze zmęczenia. Moje nogi są jak z waty, ledwo na nich stoję, ale wiem, że wygrałam tę walkę. Bitwę z samą sobą, ze swoim organizmem. Przesunęłam granicę własnych możliwości o kolejne centymetry, o kolejnych kilka sekund. Po czasie patrzę na tablicę wyników i widzę moje nazwisko wśród zwycięzców. Otwiera listę i jakże dumnie prezentuje się na wyblakłej kartce. Teraz wiem już na pewno – warto było. Chwilę później zerkam na prawą kolumnę i napawam się chwilą. Tych kilka cyferek świadczących o moim czasie wynagradza wszystkie męczące treningi, wszystkie kontuzje, porażki i wyrzeczenia. Pobiłam swój rekord życiowy i to jest dla mnie

najważniejsze. W tym momencie nie interesuje mnie medal i dyplom, tylko ten czarny nadruk. Trener poklepuje mnie po ramieniu i słyszę: „Dobra robota!” To nie są wielkie słowa, ale dla mnie znaczą bardzo wiele. Wiem, że zapracowałam na nie.

Niedługo potem stoję na podium, a trener wiesza mi na szyi medal. Złoty. Jest piękny, taki błyszczący. W tle słyszę brawa, a chwilę później z głośników płynie *We are the champions* – pieśń zwycięzców Freddiego Mercury’ego. Teraz już wiem – to jest to, na co warto było czekać.

Potem przyszły następne i następne równie piękne chwile. Byłam królową świata. W szkole stałam się sławna. Mój dzień był bardzo „poukładany” – rano trening, potem szkoła, potem trening. Nie narzekałam na monotonię – wieszalałam na ścianie kolejne medale. To był sens mojego życia.

DZISIAJ...

Czy poczułam się zbyt pewnie? Czy zawiniłam przekonaniem, że tak już będzie zawsze? Dlaczego nikt mi wówczas nie powiedział czegoś, co jest tak oczywiste: „zawsze” nie istnieje. Wszystko, co ma początek, musi mieć i koniec. A on może być różny. W moim przypadku przyszedł za szybko i był jak trzęsienie ziemi.

Otwieram oczy. Razi mnie światło porannego słońca zaglądnącego leniwie przez żaluzje. Przez chwilę zastanawiam się, gdzie jestem i co tutaj robię. To mój pokój, poznaję go. Ale skąd się tu nagle wzięłam, przecież przed chwilą byłam na pływalni. Spoglądam w prawo, widzę stojący przy łóżku wózek inwalidzki.

Co on tutaj robi? Kto go tu postawił? Chcę zejść z łóżka i, spoglądając na moje bezwładne nogi, uświadamiam sobie z przerażeniem, że nie mogę nimi ruszyć, nie czuję ich. W tym momencie z olbrzymią siłą uderza mnie rzeczywistość. Właśnie zorientowałam się, że znów śniłam, a ten wózek stojący obok jest mój. Przecież nie chodzę od dobrych trzech lat, jak mogłam zapomnieć?! Mam ochotę kopnąć to krzesło na kółkach z całej siły i wyładować na nim wściekłość. Zamiast tego zaciskam pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie – aż do krwi, zaciskam zęby tak mocno, aż mam wrażenie, że się zaraz pokruszą. Znowu wraca ten obraz, który tak bardzo bym chciała wymazać z pamięci. W ułamku sekundy staje mi przed oczyma samochód zmierzający w moją stronę i uderzający we mnie z całym impetem. Zaciskam powieki. Nie chcę po raz setny wracać do wydarzenia, które na zawsze zmieniło moje życie. Siadam na wózek, jadę do salonu, chcę zagłuszyć wycie serca. Sięgam po pilota i beznamietnym wzrokiem patrzę na migający ekran telewizora. Pustym wzrokiem gapię się w ekran.

JUTRO...

Jutro jeszcze nie istnieje, ale mam nadzieję, że wiem, jakie będzie.

Gdy włączyłam telewizor i bezmyślnie skakałam po kanałach, zobaczyłam takich nieszczęśników jak ja – na wózkach, o kulach, na protezach. Tyle, że ci „nieszczęśnicy” wcale nie wyglądali na załamanych. To nie pozwoliło mi przełączyć na inny program. Czy to możliwe, że można wyglądać na tak silnego, pewnego siebie i... aż wierzyć się nie chce... szczęśliwego? Kie-

dy siedzi się na wózku? Oglądałam transmisję z paraliimpiady w Soczi. Podkreślałam dźwięk i zaczęłam się wsłuchiwać w to, co mówią. Żaden ze sportowców słowem nie wspomniał o swojej niepełnosprawności. Mówili o treningu, o zawodach, o walce, o medalach. I chyba to podobało mi się najbardziej. Po raz pierwszy od długiego czasu pomyślałam o jutrze bez niechęci. Więc może coś na mnie jednak czeka? Życie wyrwało mnie ze sportu – może jest prawdopodobne, że sport wróci mnie życiu? Może znowu poczuję tę jedyną w swoim rodzaju przyjemność, kiedy zanurzę się w wodzie i poczuję się wolna? Może...? Nie wiem.

Ale jutro spróbuję.

Dopisek autorki: *Opowiadanie jest w znacznej części fikcją literacką, w treści jednak oparłam się na osobistych doświadczeniach ze sportem.*

Ewelina Nowicka

Mimo wszystko

– Dziadku, opowiedz mi bajkę – powiedział 6-letni Maciuś, przykrywając się swoją ulubioną kołdrą w żyrafy. Jan przysiadł na skraju łóżka, spojrzał na wnuczka i uśmiechnął się.

– Może jutro. Dziś już za późno – odrzekł.

– Proszę – chłopiec spojrzał na niego błagalnie niebieskimi oczami. – Tylko jedną.

– Dobrze – rzekł. – Ale obiecaj, że nie zaśniesz – dodał.

– Przrzekam na wszystkie cukierki, które chowasz przede mną pod materacem! – powiedział chłopiec bez namysłu.

Starzec zaśmiał się. Wstał, przeszedł kilka kroków i usiadł wygodnie w bujanym fotelu. Spojrzał na wnuka. Chłopiec tak bardzo przypominał mu syna...

– Dziadku. Zaczynaj – powiedział zniecierpliwiony już chłopiec.

– Cierpliwości, mój drogi – Jan ponownie się zaśmiał. – Więc dawno temu, kiedy nie było cię jeszcze na świecie, żył chłopiec o imieniu Tomek. W jego rodzinie od pokoleń wychowywali się zapaleni piłkarze. Można powiedzieć, że ojcowie зараżali synów swoją pasją. Również Tomek od dziecka uwielbiał grać

w piłkę. Wczesnym rankiem zniknął z domu bez śladu. Potrafił całe dni spędzać na boisku. Gdy wracał, był umorusany błotem, miał zdarte kolana, a na twarzy uśmiech od ucha do ucha. Wieczorem z zapalem opowiadał o swoich niesamowitych wyczynach – ile strzelił bramek, jak bez problemu okiwał starszych kolegów i jakich nowych sztuczek się nauczył. Nie miał zbyt wielu przyjaciół, wszyscy zazdrościli mu umiejętności. Jednak nie zwracał na to uwagi. Dla niego liczyła się tylko piłka nożna. Dzięki swoim zdolnościom piłkarskim bardzo wyróżniał się wśród rówieśników. Gdy miał 7 lat, rodzice postanowili posłać go do szkoły sportowej.

– Gdy urosnę, to też pójde do takiej szkoły – powiedział dumnie chłopiec. – Mamusia mi to obiecała.

– Mam nadzieję – odrzekł starzec. – Pójdziemy razem, żeby cię zapisać. Będziesz biegał za piłką tak szybko, że nikt cię nie dogoni – dodał i uśmiechnął się czule, przypominając sobie syna. Z zamyślenia wyrwał go głos chłopca:

– Dziadku, opowiadaj dalej.

– Na czym to ja skończyłem... A, tak. Rodzice bali się, czy chłopiec poradzi sobie w nowym otoczeniu. Jednak już po pierwszym meczu, w którym ich syn został królem strzelców, wiedzieli, że to była dobra decyzja. Jeszcze nigdy nie widzieli go tak szczęśliwego jak wtedy, gdy wracał ze szkoły. Codziennie przynosił nowe wieści o swoich sukcesach. Nauczyciele chwalili chłopca. Był dobry nie tylko w sporcie. Z pozostałych przedmiotów dostawał same piątki. Basia i Jan – bo tak mieli na imię rodzice Tomka – byli dumni z jedynaka. Nie opuścili ani jednego meczu, zawsze wspierali syna. Chłopiec nigdy nie wykorzystywał faktu, że jego nazwisko jest już dobrze znane i cenione wśród naj-

większych sportowców. Wiedział, że przyczynili się do tego między innymi tata i dziadek. Uważał jednak, że sam musi zapracować na swój sukces. Sumiennie wykonywał ćwiczenia, przychodził na treningi. Zdobywanie nowych umiejętności sprawiało mu radość. Ale bywały również momenty smutku i słabości. Przegrane mecze, obwinianie o stratę gola. Jednak chłopiec nie przejmował się gadaniem innych. Owszem, brał do serca wszystkie uwagi i dobre rady, lecz nigdy się nie poddawał. Zawsze walczył do końca. Swoim pozytywnym myśleniem, energią i uporem zarażał innych i zagrzewał do walki. Zawsze wyznawał zasadę fair play. Godził się z decyzjami sędziów, nawet gdy uważał je za niewłaściwe. Nigdy się nie sprzeciwiał, zwracał się do nich z szacunkiem. Mijały lata, a chłopiec zdobywał medale i statuetki. Dostawał coraz więcej propozycji od najlepszych klubów piłkarskich. Wszystko układało się wspaniale, aż do pewnego lata... – Jan przerwał gwałtownie. W oczach zakręciły mu się łzy, a jedna spłynęła po policzku. Szybkim ruchem wytarł ją rękawem, by wnuczek nie zauważył, że płacze.

– Dziadku, nie przerywaj – powiedział Maciuś z nutką niecierpliwości w głosie.

– Tomek miał 15 lat, gdy po raz pierwszy zemdlął na boisku – zaczął łamiącym się głosem. – Na początku rodzice myśleli, że to tylko przemęczenie spowodowane zwiększoną liczbą treningów. Jednak sytuacja powtórzyła się kilka razy. Nie zastanawiając się, postanowili zrobić badania. Po kilku tygodniach przyszły wyniki. Basia otworzyła kopertę z nadzieją, że to tylko skutki dorastania chłopca. Jednak diagnoza była inna. Białaczka. Załamani rodzice czekali na powrót syna ze szkoły. Nie wiedzieli, jak przekazać Tomkowi tę straszną nowinę. Gdy chłopiec wrócił i spojrzał na zapłaka-

nych rodziców, zrozumiał, co mają mu do powiedzenia. Przytulił ich i powiedział: – Nie poddam się. Będę walczył do końca. Mimo tylu przeciwności losu przezwyciężyłem swój lęk i wątpliwości, to i tę walkę wygram. – Jan ponownie przerwał opowieść. Łzy napływały mu do oczu, lecz teraz już ich nie ukrywał. Pozwolił im swobodnie płynąć po policzkach.

Chłopiec, widząc to, bez słowa wstał i podał dziadkowi chusteczki. Starzec podziękował mu skinieniem głowy. Gdy wnuczek ponownie wygodnie usadowił się w łóżku, Jan kontynuował opowieść:

– Tomek dzielnie walczył, przeszedł przeszczep szpiku. Pełen wiary w zwycięstwo nad chorobą pocieszał rodziców i znajomych. Nigdy nie tracił nadziei. Czasem bywały jednak chwile załamania, strach przed tym, że może już nigdy nie wrócić do robienia jedynej rzeczy, którą tak bardzo kocha.

Po kilku miesiącach okazało się, że zastosowana terapia przynosi efekty, że przeszczep się przyjął. Tomek zdołał pokonać chorobę, lekarze oznajmili jednak, że powrót na boisko może potrwać nawet kilka lat. Chłopak cieszył się z przezwyciężenia choroby, ale na myśl o tym, ile pracy go jeszcze czeka, czasami bywał przybity. Zaczął męczące treningi, oczywiście na miarę sił i możliwości. Krok po kroku powtarzał nudne ćwiczenia. Starał się przyspieszyć rehabilitację, jednak próby te kosztowały go zbyt wiele wysiłku i kończyły się omdleniami.

Przez pewien czas lekarz zabronił mu wykonywania ćwiczeń. Ale chłopak nie wytrzymał zbyt długo. Po dwóch tygodniach ponownie rozpoczął rehabilitację. Dzięki uporowi odzyskał dawną sprawność po sześciu miesiącach mozolnych treningów. Wszyscy cieszyli się z jego powrotu do zdrowia i na murawę. Z tej okazji

drużyna Tomka postanowiła wyprawić mu przyjęcie – Jan uśmiechnął się tajemniczo.

– Dziadku, dlaczego się śmiesz? Co było dalej? – zapytał zaciekawiony Maciuś.

– Otóż na przyjęciu Tomek poznał pewną śliczną dziewczynę o długich, kręconych, brązowych włosach. Miała na imię Asia.

– Moja mama ma na imię Asia. Dziwne... – zamyślił się chłopiec.

– Tak, bardzo dziwne – Jan roześmiał się, widząc minę chłopca, i mówił dalej:

– Od razu przypadli sobie do gustu. Cały wieczór spędzili na rozmowie. Okazało się, że dziewczyna mieszka dwie ulice dalej i chodzi do tej samej szkoły. Zrobiło się późno i trzeba było wracać do domu. Na pożegnanie uzgodnili, że chłopiec będzie codziennie czekał na Asię pod jej domem i razem pójdą do szkoły. Mijały miesiące, lata. Tomek cieszył się, że wszystko się układa. Miał wspaniałą dziewczynę, w sporcie odnosił kolejne sukcesy. Myślał, że to już koniec niepowodzeń w jego życiu. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść... – starzec znowu posmutniał. – Na jednym z ważniejszych meczów Tomek doznał poważnej kontuzji. Został sfaulowany przez przeciwnika i złamał nogę. Karetka przewiozła go do szpitala. Okazało się, że złamanie jest tak skomplikowane, że trzeba natychmiast operować. Rodzina i przyjaciele ze zdenerwowaniem oczekiwali na wieści o stanie zdrowia pacjenta. Po pięciu godzinach operacja zakończyła się powodzeniem. Chłopak miał nogę w gipsie i został kilka dni na obserwacji. Gdy wrócił do domu, nie było dnia, w którym nie odwiedzaliby go znajomi. Ciągłe ktoś krzątał się po jego pokoju. Tomek zyskał wielu przyjaciół. Zarażał ludzi optymizmem i poczuciem humoru. Po-

trafił każdego postawić na nogi. Po kilku miesiącach nadszedł dzień zdjęcia gipsu. Jak zawsze radosny Tomek wszedł do sali szpitalnej. Lekarz przywitał go serdecznie i zdjął gips. Po dokładnym zbadaniu nogi doktor miał złe wiadomości. Okazało się, że Tomek może już nigdy nie zagrać w piłkę. Chłopak wrócił załamany do domu. Przestał jeść, nie miał ochoty na wyjścia z domu, nie chciał się widywać z przyjaciółmi. Powiedział, że jego życie bez piłki nożnej nie ma sensu. Nie spotykał się już z Asią. Mizerniał w oczach. – Janowi stanęła guła w gardle. Starał się ją przełknąć, ale nie potrafił. Po policzkach płynęły mu łzy. Cierpiał z powodu wspomnień, ale uważał, że chłopiec powinien już poznać prawdę.

– Dziadku, co było dalej? Dlaczego przestałeś mówić? Proszę, opowiadaj – powiedział łagodnie Maciuś.

Minęła chwila, zanim Jan opanował emocje. Wytarł łzy, wydmuchał nos i ponownie zaczął opowiadać:

– Dni załamania Tomka były ciężkie również dla jego rodziców, Asi i znajomych. Dziewczyna przychodziła codziennie, ale za każdym razem była zbywana takimi samymi słowami: Tomek nie chce nikogo widzieć. Mimo to każdego dnia pukała do drzwi jego mieszkania. W końcu nie wytrzymała i weszła siłą. Chwyciła kurtkę Tomka, wzięła go za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. Skierowali się na boisko. Chłopak na początku się opierał, ale wiedział, że i tak nie wygra z uporem Asi. Dotarli na miejsce. Na murawie rozgrywał się właśnie mecz między drużyną chłopaka i jej najgroźniejszymi rywalami. Usiedli na ławce. Tomek z niechęcią patrzył na boisko. Przytłaczała go myśl, że już nigdy nie zagra. Czuł wstręt do tego miejsca. Spojrzał błagalnie na Asię, chciał stamtąd uciec. Mecz dobiegł końca. Zbliżała się chwila, której chło-

pak od tak dawna unikał. Rozmowa ze znajomymi, pytania, jak się czuje, kiedy wraca na murawę. Chłopak ze spokojem odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania. Były to chwile smutku, ale też radości ze spotkania z przyjaciółmi. Po pewnym czasie Tomek zrozumiał, że musi walczyć. Ma dla kogo walczyć. Nie może zostawić na lodzie tych wszystkich ludzi, którzy wspierali go od początku choroby. Powiedział sobie, że skoro wygrał z białaczką, to zwykłe złamanie nie pokrzyżuje mu planów – Jan wziął głęboki wdech.

– Udało mu się? Dziadku, powiedz, że mu się udało – błagał Maciuś.

– Bywały ciężkie dni, chwile załamania, depresji. Ale tak, udało się. Po niespełna dwóch latach Tomek zaczął ponownie trenować piłkę nożną. Nie odzyskał takiej samej sprawności jak przed wypadkiem, ale z dnia na dzień było coraz lepiej. Przestał kuleć i już bez problemu stąpał na prawej nodze. Ból ustał, a zdrowie psychiczne też uległo poprawie. Tomek znów stał się taki jak dawniej – pogodny, wesoły, zawsze uśmiechnięty. Potrafił rozwiązać każdy problem. Również kontakty z Asią uległy poprawie. Przestali się kłócić, Tomek zrozumiał, że wyszedł z dołka dzięki jej wsparciu. W wieku 22 lat oświadczył się, a rok później wzięli ślub. Po kilku miesiącach okazało się, że będą mieli synka. Tomek był przeszczęśliwy. Wyobrażał sobie, jak nauczy grać chłopca w piłkę, pokaże mu różne sztuczki i podstawowe wyminięcia zawodników. – Jan uśmiechnął się na wspomnienie tamtych chwil.

– I potem już wszystko się ułożyło, tak? – zapytał wciągnięty opowieścią Maciuś.

– Niestety nie, Maciusiu – odpowiedział ze smutkiem dziadek. Po tych słowach w oczach chłopca pojawił się zawód.

– Ale jak to? Przecież oni muszą być szczęśliwi – zaprotestował chłopiec.

– Życie bywa okrutne. Po kilku tygodniach od wspaniałej nowiny Tomek zaczął miewać zawroty głowy i omdlenia. Nie bagatelizując objawów, zrobił badania. Kiedy otrzymał wyniki, bał się otworzyć kopertę. Martwił się, że nastąpił nawrót choroby. I niestety, przypuszczenia potwierdziły się. Nieomylna diagnoza. Białaczka. Zostało mu pół roku życia. Ostatnich sześć miesięcy. Nie zdąży zobaczyć syna, nie przytuli go, nie nauczy grać w piłkę. – Jan po raz kolejny rozplakał się jak dziecko. Maciuś podszedł do dziadka i mocno go przytulił.

– Dziadku, nie musisz mi opowiadać, co było dalej, już wiem – powiedział.

– Muszę – Jan wziął głęboki oddech. – Muszę – powtórzył cicho.

– Tomek postanowił, że nie podda się tak łatwo jak ostatnio. Będzie walczył. Ma dla kogo. Dla rodziców, dla Asi i dla ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Rozpoczął walkę o życie po raz drugi, lecz tym razem nie przyniosła ona rezultatów. Mężczyzna mizerniał w oczach, tracił siły. Jednak nadal wierzył. Wierzył, że uda mu się przezwyciężyć chorobę, że doczeka narodzin synka, że będzie jak dawniej. Asia siedziała przy łóżku męża, trzymając go za rękę. Nie potrafiła myśleć tak optymistycznie jak Tomek. Wiedziała, życie męża dobiega końca. Nie chciała go stracić, ale powoli pogodziła się z myślą, że go w domu zabraknie. Wiedziała, że musi być silna. Nie dla siebie, ale dla synka. Dla ich synka. Lekarze mówili, że jeszcze nigdy nie mieli tak silnego pacjenta jak Tomek, który walczył o życie do samego końca. Dwa miesiące przed narodzinami synka zmarł. Cała rodzina i przyjaciele pogrzeżyli się

w smutku. Nie potrafili pogodzić się z myślą, że odszedł tak młody człowiek. Miał zaledwie 24 lata. Życie stało przed nim otworem. Pytali Boga: Dlaczego? Dlaczego właśnie on? Tomek – chłopak, który mimo wielu przeciwności losu zaszedł tak daleko. Tomek, który mimo niepowodzeń był zawsze uśmiechnięty, godził się z porażką i cieszył zwycięstwem. Tomek, który nigdy się nie poddawał, walczył do końca o wynik meczu i wreszcie o własne życie... – Jan otarł łzę z policzka i wstał.

– No, młodzieńcze, to już koniec – uśmiechnął się smutno do wnuczka.

– Dziadku, trochę smutna ta bajka – powiedział senny już chłopiec.

– Ale prawdziwa – odrzekł starzec.

– Dziadku, a kim był ten Tomek? – zapytał z zaciekawieniem Maciuś.

– Twoim tatą, Maciusiu, a moim synem.

– I gdzie on teraz jest?

– W niebie, pilnuje, żebyś był bezpieczny i zawsze podejmował dobre decyzje.

– Kiedy dorosnę, będę taki jak on! Odważny, zawsze uśmiechnięty i nigdy się nie poddam – powiedział z dumą chłopiec. – I będę grał w piłkę, tak jak mój tatuś

– Obiecujesz? – spytał zatroskany Jan.

– Obiecuję.

Starzec podszedł do chłopca, ucałował go w czoło i zgasiwszy światło, wyszedł z pokoju.

Monika Pawlak

Po drugie życie

*Każdy nosi w sobie i zawitość dziejów,
i możliwą, a niespełnioną odmianę swego losu.*

Jan Parandowski

Kto zastanawia się nad tym, co czuje sportowiec przekraczający linię mety? Jak radzi sobie ze stresem? Czy myśli o kalos kagathos?

Sądzę, że moja historia powinna wzbudzić zainteresowanie młodych ludzi, którzy nie wiedzą, jak piękny może być sport. Lecz czy tylko piękny? Może jest także brutalny, zły i niesprawiedliwy?

Miałam 9 lat. Był słoneczny, wrześnieowy poranek. Szłam na rozpoczęcie roku szkolnego. Byłam szczęśliwa, uwielbiałam szkołę. Idąc, myślałam o kolegach i koleżankach, jak się zmienili przez te dwa miesiące wakacji. Nagle zobaczyłam rozpędzony samochód, który jechał prosto na mnie. Ten czerwony pojazd pędził z ogromną prędkością, wyłonił się zza zakrętu niczym pojazd kosmiczny, nie miałam jak ani dokąd uciec. Samochód nie zwalniał, a ja stałam w bezruchu. Ostatni obraz, jaki przewija mi się przez głowę, to ude-

rzenie. Potem trzask i już nic więcej. Tylko ogromny ból, strach... i szpital.

Obudziłam się już na sali pooperacyjnej. Zobaczyłam przerażonych rodziców i poczułam wtedy, że nie mogę ruszać palcami lewej nogi. Później zrozumiałam, że ja po prostu ich nie mam, nie mam lewej nogi! Co dalej? To niemożliwe! Dlaczego?

* * *

Teraz mam 16 lat. Jestem normalną dziewczyną, a przynajmniej każdy tak mi powtarza. Bo ja o sobie tak nie myślę. Jestem kaleką albo osobą niepełnosprawną. Co to za różnica? Chyba tylko taka, że niepełnosprawny brzmi lepiej. Bliscy powtarzają, że jestem piękna, wartościowa, silna, że dam radę. A jaka mam być? Często zadaję sobie to pytanie. Najbliżsi rozumieją moje smutki, żale i niechęć. Ten wypadek to przecież nie tylko strata nogi. Nie jestem już beztruską nastolatką. Życie zmusiło mnie do przyspieszonej dorosłości.

* * *

Moja przygoda z łyżwami zaczęła się już dość dawno. Nie mogłam doczekać się wyjścia z mamą i tatą na łyżwy. A to była właśnie nasza rodzinna tradycja. Każdą zimową niedzielę spędzaliśmy na lodowisku. Gdy miałam 6 lat, umiałam już perfekcyjnie jeździć. A gdy skończyłam 9 lat, pojawił się on – pan z pobliskiego lodowiska, który zaproponował mi szkołę łyżwiarską. Ach, byłam taka szczęśliwa! Uwielbiałam jeździć na łyżwach i już wtedy, będąc dzieckiem, wiedziałam, że zostanę łyżwiarką. Tylko nie przewidziałam tego, co wydarzyło się potem. Po pierwsze, że ta szkoła kształci tylko panczenistów, czyli łyżwiarzy szybkich, sportowców, których zawsze podziwiałam i uwielbiałam. A ja

nigdy nie miałam takich łyżew na nogach. Na figurówkach robiłam prawie wszystko, a panczenistów zwyczajnie się bałam. I po drugie, nie przewidziałam, że wypadek wykluczy mój udział w zawodach oraz dalsze uczęszczanie do szkoły sportowej.

– Wiki, my trenujemy tylko osoby sprawne – powiedział trener po moim wypadku.

– Ale, panie trenerze, ja umiem chodzić już z protezą, a zaraz nauczę się w niej jeździć na łyżwach – mówiłam przerażona. Nie zdawałam sobie sprawy, że jeden wypadek mógł przekreślić całe moje życie. Znałam historię Jaśka Meli, ale wydawało mi się, że to nie moja „bajka”.

– Niestety, jeśli chcesz, to są szkoły dla osób niepełnosprawnych. Wiem, zrobiłaś ogromny postęp i byłaś jedną z najlepszych zawodniczek, ale teraz rozumiesz... Może zmienisz zainteresowania. W sporcie nie jest lekko. Trzymaj się, wierzę w ciebie. – Trener wyszedł, a ja zaczęłam płakać. To był dla mnie cios. Przecież mnie to nie powinno spotkać!

Wtedy pojawiła się perspektywa nowej szkoły, tylko... dla osób niepełnosprawnych, dla kalek, dla tych najgorszych. Tak wtedy myślałam.

I tak nie miałam nic do stracenia. Zaczęłam treningi pod okiem nowej trenerki, która również nie miała nogi. To dzięki niej nie poddałam się i zrozumiałam, że najważniejsze jest serce człowieka, a nie jego wygląd i to, czy ma nogę, rękę, czy też nie. Są to tylko sprawy przyziemne, na które nie ma co zwracać większej uwagi. Takim ludziom jest oczywiście w życiu trudniej, ale to nie znaczy, że są gorsi. Teraz to wiem i kieruję się słowami mojej wspaniałej trenerki: „Kochaj to, co robisz, wykorzystuj swoje dobre serce do niesienia pomocy i radości innym, bo dobroć, którą ty dasz, wróci

do ciebie. Na pewno osiągniesz to, co najważniejsze, bo dużo osób w ciebie wierzy. Musisz w siebie wierzyć”.

Dziś są zawody w naszej szkole sportowej. Pierwszych pięć najlepszych osób pojedzie na mistrzostwa Polski. Trenerka powtarza mi, że to ja jestem w stanie wywalczyć ten awans. Jeśli nie osiągnę tego, już w nic nie uwierzę. Kiedyś marzyłam, że wystartuję na igrzyskach, zdobędę medal. Teraz wiem, że to niemożliwe, nie dla mnie ten „biegun”, jednak jadę.

Już jestem gotowa, już stoję na starcie, zaraz zaczyna się walka do samego końca, do ostatnich sił. Słyszę strzał, zaczynam się rozpędzać i wtedy czuję na sobie wzrok widowni. Dobrze, że rodzice też tu są i kibicują mi z całego serca. Nie zwracam większej uwagi na moją partnerkę, z którą biegnę. Tutaj liczy się tylko czas. Już widzę linię mety! Zaraz przejadę po tej długiej i ważnej kresce! Jestem przed moją koleżanką, lecz to jeszcze nie koniec. Tylko czas, te ułamki sekund. Patrę na tablicę i jest! Na razie najlepszy wynik, lecz za mną startują jeszcze cztery inne pary. Mimo że to najlepszy bieg w moim życiu i mimo że poprawiłam swój życiowy rekord, jestem niepewna. Zastanawiam się, czy to wystarczy do awansu na mistrzostwa.

Gdy schodzę z toru, słyszę gromkie brawa. Widzę podziw w spojrzeniach. Czuję się szczęśliwa, to najprzyjemniejsze uczucie, gdy można komuś sprawić radość. Nagle podchodzi do mnie ojciec z dziewczynką na wózku inwalidzkim. Na oko ma ona około 10 lat, jest bez nogi. Też lewej, też amputowanej przy kolanie. Na nowo, jak zły sen, wracają wspomnienia z wypadku, pobytu w szpitalu i ciężkiej rehabilitacji. Widzę w tych niebieskich oczach dziewczynki podziw. I wtedy dzieje się coś, o czym nigdy nie myślałam, że może się zdarzyć. Mała prosi mnie o autograf, mówi, że jestem dla

niej najlepszym sportowcem na świecie. Czuję, jak do oczu napływają mi słone łzy. Podpisując się na kartce dziewczynki, pytam ją, jak ma na imię. Okazuje się, że to Wiktoria; ciekawe, czy wie, że to imię oznacza zwycięstwo. Zaczynamy rozmawiać, lecz nasza rozmowa kończy się, gdyż trenerka zaprasza zawodników na prezentację rezultatów. Patrzę na tabelę, ale nie ma już na niej nic, teraz wszystko znajduje się na kartce pani trener. Szybko ocieram łzy i proszę Wiktorię, aby poczekała na mnie. Zapewniam ją, że zaraz do niej wrócę.

Gdy docieram na ogłoszenie wyników, widzę, że niektórzy się cieszą, a inni są smutni, podenerwowani. Nasza pani zaczyna wyczytywać miejsca od końca. Czyta szóste i wtedy już wiem, że jadę na mistrzostwa, jestem w pierwszej piątce. Widzę z daleka radość tej małej, niepełnosprawnej dziewczynki. Jestem taka szczęśliwa. Tylko teraz, które miejsce...

– Pierwsze miejsce zajęła... Wiktoria, wielkie brawa. – Gdy to słyszę, jestem niesamowicie szczęśliwa. Wszyscy mi gratulują, cieszą się razem ze mną. Ja jeszcze chyba nie do końca wierzę.

Wracam do Wiktorii, ona również serdecznie mi gratuluje. Czas się już pożegnać. Mała musi wracać do domu. Prosi mnie o numer telefonu. Po pożegnaniu robi mi się jakoś smutno, bo chciałabym z nią jeszcze porozmawiać, powiedzieć tyle rzeczy...

Następny dzień zaczyna się ciężkim treningiem. Mistrzostwa Polski już za niecałe dwa tygodnie. A tych kilka dni to tylko trening i nic poza tym. Jedyna rzecz, która przeszkadza mi w pełni oddać się pasji, to... Wiktoria. Od tego spotkania nie odezwała się do mnie ani razu. Martwię się o nią. Mam ciągle przed oczami jej smutne oczy. Z całej siły próbuję skupić się na tym, co teraz jest najważniejsze. Na pewno ją odnajdę.

Jest już późne popołudnie, więc wchodzę na stadion ostatni raz. Zaczynam biec. W tej próbie mam skoncentrować się na technice. To chyba najtrudniejsza rzecz podczas treningu. Zawsze mam z tym trochę problemu, ale pani Natalia – trenerka, mówi mi, że jestem coraz lepsza i niedługo będzie można pracować już tylko nad czasem. Dobiegam do mety i od razu pytam, jak było tym razem.

– Naprawdę jest już bardzo dobrze, ale jutro zagniemy również poprawiać czas. A co do techniki, to jeszcze będę miała kilka uwag dotyczących startu. To dopiero od jutra, teraz zmykaj do domu. Pozostała część trasy i sam finisz są wspaniałe. Mogę powiedzieć śmiało, że z naszej szkoły jesteś najlepszą panczenistką – pochwaliła mnie pani Natalia.

– Dziękuję bardzo za dobre słowa. Do widzenia – odparłam radośnie.

– Do zobaczenia, Wiktorio.

A w domu czekały na mnie dwie niespodzianki. Mama przysłała z zebrania rodzicielskiego i przyniosła na kartce same dobre oceny. Rodzice byli ze mnie bardzo dumni. A druga niespodzianka czekała w moim pokoju. Nie wiedziałam, o co chodzi aż do momentu, gdy zobaczyłam w pokoju Wiktorię oglądającą moje pluszowe miśki poukładane na komodzie.

– Cześć, jak miło cię znowu widzieć. Myślałam, że już się nie spotkamy – powiedziałam do Wiki.

– O, cześć. Nie, no co ty. Tata nie miał czasu mnie przywieźć. A nie dzwoniłam, bo chciałam przyjechać i zrobić ci niespodziankę – powiedziała z radością Wiktorina.

Przegadałyśmy cały wieczór. Znalazłyśmy wiele wspólnych tematów i zainteresowań, połączyło nas podobne doświadczenie. Dowiedziałam się więcej

o Wiktorii, ja opowiadałam jej swoją historię. Razem wylałyśmy morze łez. Okazało się, że Wiki uwielbia Katarzynę Bachledę Curuś i Zbigniewa Bródkę. Ja też byłam ich wielką fanką. Na pożegnanie Wiktorii wyjawiała mi swoje najskrytsze marzenie, prosiła, żebym zachowała je w tajemnicy. Słowa dotrzymałam.

– Będę na twoich mistrzostwach, więc pewnie się zobaczymy. Na razie. Życzę ci powodzenia. Zobaczysz, wygrasz te zawody, przecież jesteś... najlepsza – rzekła uśmiechnięta Wiktorcia.

– Dziękuję, dam z siebie wszystko. Obiecuję. Zrobię to dla ciebie. – Pożegnałam się z nową znajomą i poszłam do rodziców. Wtedy zdałam sobie sprawę, że właśnie znalazłam przyjaciółkę na całe życie.

Już po wyścigu. Czy mogę być z siebie zadowolona? Nie wiem. Na mistrzostwach Polski zajmuję czwarte miejsce. Ach, było tak niewiele, tylko 0,003 sekundy do podium. Nawet nie wiem, ile to centymetrów, ale wiem, że dla mnie to od dziś cała przepaść. Gdy przejechałam linię mety, każdy już wiedział, jakie zajmuje miejsce. Byłam w ostatniej parze, na zewnętrznym torze, więc kończyłam po wewnętrznym. Wszystko przebiegało tak, jak chciałam, może z wyjątkiem nogi, która od rana bardzo mnie bolała. Po badaniach wiedziałam, że to tylko jakieś zakwasy, nic poważnego. Na szczęście podjechała do mnie Wiktorcia. Była również zapłakana. Zawiodłam tę dziewczynkę, która tak na mnie liczyła. A ja po prostu nie dałam rady, byli lepsi.

– Wiki, i tak jesteś najlepsza! Nie przejmuj się, kiedyś jeszcze pokażesz wszystkim, na co cię stać.

– Obym dostała jeszcze taką szansę – odpowiedziałam ze łzami w oczach.

* * *

Moja historia oraz przeżycia Wiktorii spowodowały, że chciałam pomóc takim dzieciom jak moja przyjaciółka. Razem z rodzicami zdecydowaliśmy się na założenie fundacji wspierającej niepełnosprawne dzieci. Ale tak naprawdę chodziło mi o to, by kupić protezy dla młodych osób, by pomóc Wiki i moim znajomym, których poznałam jeszcze w szpitalu. Do tej pory utrzymywaliśmy kontakt. Oni bardzo wspierali mnie i pomagali w podjęciu ostatecznej decyzji. Lecz bez pomocy moich rodziców nic nie udało się zrobić.

Ja miałam więcej szczęścia, mój tata dobrze zarabiał, toteż mieliśmy pieniądze na protezę. A gdy poznałam historię Wiktorii, zobaczyłam, że nie każdy ma tak dobrze. Dla niektórych zostaje tylko wózek.

Dziś mija równy rok od utworzenia fundacji „Zwycięstwo”. Jestem taka szczęśliwa, organizujemy uroczysty bankiet. Zaprosiliśmy wszystkich ludzi przekazujących pieniądze na naszą organizację, osoby w niej pracujące oraz młodych, którym pomogliśmy. Zawsze, gdy widzę się z Wiktorią, sprawia mi to radość, lecz tego dnia jestem jeszcze szczęśliwsza. Nagle zobaczyłam, jak otwierają się drzwi, a w nich stoi jakaś piękna dziewczyna. Najpierw zwróciłam uwagę na burzę złotych włosów, a dopiero potem dostrzegłam protezę. Wiki nie wstydziła się kalectwa. Pobiegłam do niej, a ona stanęła naprzeciwko mnie, spojrzała mi w oczy. Wtedy uświadomiłam sobie, że spełniło się jej marzenie. Powiedziała tylko jedno słowo: dziękuję. Popłynęły łzy szczęścia. Życie jest naprawdę piękne, trzeba tylko widzieć obok siebie innych ludzi.

* * *

Dzisiaj już wiem, co czuje sportowiec przekraczający linię mety. Wprawdzie na początku myślałam, że

czwarte miejsce to porażka, ale przecież najważniejsze jest fair play!

Bycie sportowcem daje przecież szczęście, ból i radość.

Czuję się spełniona, a wcześniej nie było tak dobrze. Zrozumiałam swój błąd i wiem, że wtedy też wydarzyło się w moim życiu dużo naprawdę wspaniałych chwil. Jedną z nich była bez wątpienia przyjaźń z Wiktoria...

Mimo że los mnie nie rozpieszczał, zobaczyłam życie z wielu perspektyw. Nie wiem, czy chciałabym coś zmieniać. Nie mam już wpływu na to, co się stało. Dziś cieszą mnie małe rzeczy. Żyję pełnią życia. I wiem, że pomagając, jestem najszczęśliwszą osobą na ziemi.

Nigdy nie zapominam słów Kazimierza Wierzyńskiego, który w *Samotności maratończyka* mówi:

*I biegnę, biegnę przez moje minuty,
godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata.
Biegnę samotnie przez jedyne
dane mi przez Boga życie
moją długą trasą maratonu.*

Joanna Piotrowska

Nasza Spinario

Karolina niepewnie zerkała na salę wypełnioną gimnazjalistami. Niepokoilią się przyjęciem przez rówieśników swej prezentacji. Podeszła powoli do mikrofonu i nieswoim głosem zaczęła: – Aby odpowiedzieć na pytanie, na czym polega magia sportu, jego nieprzewidywalność, chcę wam przedstawić historię pewnego biegu z XXII Zimowych Igrzysk Olimpijskich.

Soczi, 13 lutego 2014 r.

Obudziła się wczesnym świtem, zresztą w nocy też nie mogła spać. Tyle myśli kłębiło się w jej głowie. Osaczały ją wspomnienia – te dawne i współczesne; zwycięstwa i porażki, uwielbienie i krytyka, szczęście i pech, towarzyszkę – kontuzje... pokonywane przecież ciężką pracą i cierpliwością.

– Teraz – myślała – akurat teraz przytrafiło mi się to złamanie kości lewej stopy, ale nie mogę zmarnować tej szansy, tylu przygotowań, morderczych treningów w ekstremalnych warunkach. Przecież to nie tylko moja praca, lecz całego zespołu. Nie mogę ich zawieść.

Zaraz jednak jakiś podstępny głos podsunął jej i inny obraz: „Byłaś szóstą w biegu na 15 kilometrów.

Dojeżdżając do miejsca zmiany nart, przewróciłaś się, a ból wzmógł się, lecz dobiegłaś do mety. Pochwalono cię za to? Nie, wielu doszukuje się braku formy”.

– To nic, to nic – szepnęła, odrzucając ponure myśli. Dzisiaj albo nigdy. Muszę pokazać niedowiarkom, ale przede wszystkim udowodnić sobie, że jestem silna i mogę pokonać ból. Poza tym chcę spełnić obietnicę sprzed czterech lat. Tak, panie prezesie, przemyciłam pana w swym sercu do Soczi...

Zanim wstała, popatrzyła jeszcze na swą chorą stopę i ostrożnie nią poruszyła.

– Dasz radę – to tylko 10 kilometrów... nie poddamy się bez walki, prawda? Wszyscy tłumaczą mi, że decyzja należy do mnie, ale ja już dawno ją podjęłam. W końcu przyjechałam na igrzyska walczyć, a nie narzekać.

Uśmiechnęła się, po czym zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju. Czekają ją przygotowania do biegu, przede wszystkim usztywnienie stopy i jej miejscowe znieczulenie.

Na miejsce startu przybyła trochę wcześniej. Odrzuciła zbędne myśli. Postanowiła skupić się tylko na biegu. Spojrzała na błękitne niebo, po czym szepnęła:

– Wiem, że jeżeli to tylko możliwe, to będzie pan obserwował mój bieg.

Wreszcie nadeszła chwila startu. Wybiła godzina 11:21 czasu polskiego. Ruszyła, odbijając się kijkami.

– Albo wygram, albo będę dwudziesta, mam to w nosie – pomyślała.

Słońce mocno przygrzewało, lekki wietrzyk muskał jej twarz, a ona mknęła naprzód. Narzuciła sobie szybkie tempo. Stopa ją bolała, ale w tej chwili czuła, że jest mocna, więc starała się wykorzystać swą siłę i umiejętności. Zdawało się, że z nartami stanowi jedność. Sku-

piła się, niczym pilna uczennica, na kroku klasycznym – odepchnięcie, ślizg, podwójne odepchnięcie... i harmonijnymi ruchami sunęła przed siebie.

Nagle usłyszała krzyk trenera: – Jest dobrze! Na pierwszym odcinku jesteś o 2 sekundy szybsza od Marrit i o 4 od Therese.

Uśmiechnęła się i pomknęła dalej. Lubiła samotną walkę, ściganie zawodniczek biegnących przed nią. Tym razem jednak za swymi plecami, poza zasięgiem wzroku, miała dwie najgroźniejsze rywalki.

– Nie będę się oglądała za siebie – myślała. – Aby zwyciężyć, trzeba patrzeć przed siebie.

Nie zwracała więc na nie uwagi. Biegła swoim rytmem. Na szczęście nie czuła zmęczenia. Stopa wprawdzie odzywała się przy mocniejszych ślizgach, jednak taki ból towarzyszył jej już nieraz, więc była w stanie go pokonać. Rytmicznymi ruchami posuwała się ku półmetkowi trasy. Tu znowu otrzymała pomyslnę wiadomość. Jej przewaga nad rywalkami zwiększała się.

– Teraz będzie już z górki? – pomyślała. – Jeszcze tylko 5 kilometrów.

Niestety, zamiast z górki, było pod górkę. Słońce coraz mocniej przygrzewało, śnieg stawał się ciężki. Mięśnie ramion i nóg stawiały opór, jakby domagały się odpoczynku. Lewa stopa zaczęła pulsować. Promieniując bólem, wysyłała sygnały, że ma już dość.

Ciężko dyszała, lecz odpychała się kijkami i sunęła przed siebie. Próbowwała oderwać się od bólu, jednak ten stał się jej nieodłącznym towarzyszem – „pasażerem na gapę”, który powoli niszczył jej radość z biegu.

Zacisnęła zęby i powtarzała:

– Nie poddam się, dobrnę do mety, nie zrezygnuję.

Nie myślała już o czasie, czuła, że ma coraz mniej sił. Biegając pod górę, przypomniła sobie wędrówki

z ojcem, gdy miała 3 lata. Często wtedy mówiła, żeby wziął ją na ręce, bo sama nie wejdzie na szczyt, jednak zawsze docierała do celu.

– Teraz też dobrnę – myślała. – Nic mnie nie złamie, nie złamie...

Jej góralski upór dodawał sił. Wiedziała, że do mety ma już tak niewiele... Pochyliła się, odpychała kijkami i wyćwiczonym ślizgiem pokonywała kolejne metry.

– Tak blisko, a tak daleko – westchnęła. – Nie myśl, nie czuj, idź przed siebie.

Przy kolejnym ślizgu świat zawirował jej przed oczami. Ból stopy eksplodował, paralizując każdy nerw ciała. Rozpaczliwie szukała w pamięci słów, które zawsze dodawały jej nadziei, i nagle przypomniała sobie powiedzenie prezesa: „Damy radę, spokojnie”. Znowu poderwała się do biegu. Wydawało jej się, że echo powtarza jej myśli: „Dasz radę, dasz radę”. Spojrzała wreszcie przed siebie. Do końca trasy pozostało jej parę metrów. Jeszcze raz odepchnęła się i... przekroczyła linię mety, po czym padła na śnieg. Ciężko oddychała, łzy spływały jej po policzkach, lecz nie wstydziła się ich. Wokół słyszała okrzyki swoich kibiców, więc oszołomiona, powoli, niepewnie wstała, podtrzymując się na kijkach. Nagle podniosła się wrzawa: „Wygrałeś, wygrałeś!” Zerknęła na tablicę wyników i zrozumiała. Została mistrzynią olimpijską. Charlotte dotarła 18,4 sekundy później, a Therese – 28,3.

– Dałam radę! – pomyślała, po czym spojrzała w niebo i uśmiechnęła się.

Karolina przestała czytać swoje opowiadanie... Na sali było cicho jak makiem zasiał.

– Zauważyliście zapewne, że w swej pracy ani razu nie wymieniłam imienia bohaterki tego biegu. Wicie, kim jest?

– Jus – ty – na! Jus – ty – na! – skandowali gimnazjaliści.

– Tak. Wszyscy ją znamy i podziwiamy. Kiedy 13 lutego oglądaliśmy transmisję telewizyjną z jej biegu, moja mama płakała, a siostra przestała narzekać na ból głowy. Byliśmy wzruszeni. Dlaczego? Bo jak ktoś mądry kiedyś powiedział: „Zwycięzcą jest ten, kto podnosi się wtedy, kiedy już nie może”. Patrząc na wyczyn Justyny Kowalczyk, miałam przed oczyma swą ulubioną rzeźbę z III wieku przed naszą erą – Chłopca wyciągającego cierń ze stopy. Dzieło to nazywane jest obecnie Spinario od najbardziej znanej brązowej kopii, znajdującej się w Muzeum Kapitolińskim. Przedstawia chłopca siedzącego na skale z lewą stopą podciągniętą na udo, w skupieniu wyciągającego z podeszwy cierń. Na jego twarzy widnieje taki spokój, jakby nie czuł żadnego bólu. Rzeźba ta jest dla mnie symbolem tych wszystkich sportowców, począwszy od starożytności, po czasy współczesne, którzy potrafili i potrafią walczyć z wszelkimi przeciwnościami losu i w swej walce nie ustają. To dzięki nim sport jest pełen magii. Wydawać by się mogło, że kontuzjowany zawodnik ma małe szanse na zwycięstwo, a jednak nie można z góry przewidywać wyniku. Chęć sprawdzenia siebie i własnych możliwości, zmierzenia się nie tylko z innymi, ale i z nieprzewidzianymi „ciemniami”, zachowanie godności są wartościami ponadczasowymi, typowymi dla idei olimpizmu. Zrozumiałam to dzięki postawie naszej polskiej Spinario – pani Justynie Kowalczyk. Ból jest stanem przejściowym. Duma pozostaje na zawsze.

Barbara Szopa

Bez ograniczeń

Biegnę. Biegnę, więc jestem. Znikam ja, jestem jak maszyna... Poruszam się zsynchronizowanymi ruchami... Wszystkie osobne czynności znikają, oddech i bicie serca przyspieszają. Płynę... Płynę w powietrzu... Zapominam o problemach. Skupiam się na swoim równomiernym oddechu i na drodze przede mną. Nogi uderzają o podłoże. Czuję gorące igielki w płucach, krew napływa do twarzy... Czuję się cudownie z tym wysiłkiem. Daje mi satysfakcję. Pokonuję własne słabości, biegnę... Mogę tak bez końca. Niczego nie ma. Zło znikło, czuję tylko powietrze obejmujące mnie i uderzające we mnie. To mnie podnieca, sprawia, że przyspieszam. Walczę z wysiłkiem, pokonuję powietrzne bariery, nogi płyną po ziemi. Jestem w swoim żywiole. Jak dzikie zwierzę wypuszczone z klatki na wolność. Odczuwam radość, uśmiecham się... Wyczerpany do granic możliwości biegnę nadal... Mięśnie pracują pod moją skórą. Jestem jak maszyna, jestem niezniszczalny, jestem niezmęczony. Czuję wiatr, słyszę swój oddech... Płynę, płynę... To takie cudowne. Jestem duchem, magiczną istotą, która sunie szybkim krokiem po ziemi. Krajobraz z boku rozmazuje się, widzę tylko prostą drogę przed sobą. Szybciej, jeszcze szybciej... Nie

mogę nadążyć z oddechem za nogami, muszę pokonać siebie, dziś pobiegnę jeszcze szybciej. Ograniczenia nie istnieją, mogę wszystko. Mogę być smugą rozmazującą się w oczach, jestem szybszy niż wiatr. Zapominam o świecie. Jest mój oddech i nogi uderzające o podłogę. To magiczne uczucie. Czuję się wolny. Tylko tak osiągam wolność, jestem powietrzem...

– Dobra, Krzysiek, koniec na dziś! – Głos trenera wyrywa mnie z harmonii i wiem, że muszę się zatrzymać. Mój trening dobiegł końca. Bolą mnie nogi, dzisiaj trochę mnie poniosło. Ale biegam coraz lepiej i odczuwam ogromną satysfakcję, uwielbiam bieganie!

Schodzę z toru. Widzę Kaśkę, Jaśka i Ankę, którzy właśnie przyszli na swój trening. Rozgrzewają się, a ja odpoczywam. Jestem cały spocony, tak bardzo mi gorąco... Ale lubię to uczucie, bo sugeruje mi, że dobrze się dzisiaj spisałem. Idę się przebrać, żegnam z trenerem, kilkoma osobami i wracam do domu.

Biegam od niedawna, ale wiem, że jestem w tym lepszy od wielu osób, które trenują już długo. Podobno do tego trzeba mieć talent... Ja myślę jednak, że trzeba po prostu wierzyć w siebie i pokonywać własne słabości... I chcieć. Chcieć osiągnąć jak najwięcej. Pokochałem bieganie jak żaden inny sport. Nie trzeba do niego żadnych akcesoriów, wystarczy tylko własna siła i samozaparcie. Nic cię nie ogranicza, żaden sprzęt, tylko ty... Kiedyś byłem dzieciakiem żyjącym grami komputerowymi i internetem... Teraz trochę żałuję, że nie zacząłem biegać wcześniej, ale trudno, cieszę się z tego, co mam. Trener mówił, że trzeba mieć odpowiednie mięśnie i budowę, żeby dobrze biegać, a ja mam idealną. Cieszę się z tego, ale myślę, że to sport dla każdego... Każdy potrafi biegać. Lepiej czy gorzej... Bieganie daje po prostu radość.

Jestem już koło domu. Ale mijam go i idę do kolegi. Nie lubię być w domu... Tylko się kłócimy. Wolę znajdować pocieszenie wśród znajomych. Ostatnio, dzięki zdobyciu kilku nagród z biegania, bardziej się liczę. Zabłąsnałem w towarzystwie, czuję się naprawdę dobrze wśród kolegów... Moi rodzice czasem chcą porozmawiać o bieganiu, ale po co? Nie wożą mnie na zawody, bo muszą pracować. Niby wiem, że muszą zarabiać, ale mnie to denerwuje. Jakbym ich w ogóle nie obchodził.

U Krychy znów impreza. Rozerwę się... Ale nie mogę przesadzać, jutro eliminacje do mistrzostw Polski w krótkodystansówkach. Mam duże szanse, w końcu wygrałem już kilka zawodów wojewódzkich. Coraz więcej złotych medali... Jestem taki szczęśliwy.

Rano budzę się w moim łóżku. Byłem u kolegi tylko chwilę. Muszę dbać o swoje zdrowie i kondycję. Jak późno! Zaraz muszę być w klubie... Wyskakuję z pościeli, robię szybką rozgrzewkę, jem porządne śniadanie i biegnę na stadion.

Wszyscy się ze mną witają, po drodze przybijam każdemu piątkę. Ludzie mnie lubią, ale widzę w oczach wielu iskierkę zazdrości. Oni trenowali dłużej, a to ja jestem lepszy. Też mogliby zdobyć te medale, gdyby tylko włożyli w treningi trochę więcej serca, własnej siły i woli.

Dwa kółka. Nie mogę się zmęczyć. Po południu eliminacje. Cały dzień zostaję w klubie, potem jedziemy...

Znów na torze. Widzę swoich przeciwników. Chłopa w moim wieku. Patrzę na nich, życzę szczęścia... Nie chcę nigdy być niemiły, kto wygra, to wygra... Kto pierwszy, ten lepszy...

Biegnę. Jestem jak maszyna... Przyspieszam. Moje mięśnie pracują... Szybko, szybciej... Wyprzedzam ry-

wali... Jestem jak dzikie zwierzę. Nic się nie liczy, tylko pęd wiatru.

Pierwszy.

Schodzę zmęczony z toru. Jestem taki szczęśliwy. Będę na mistrzostwach. Wszyscy mi gratulują. Dostałem to, co chciałem, kto pierwszy, ten lepszy... Ja. Byłem pierwszy. Tak, mogę wszystko. Nie ma ograniczeń, powtarzam to wszystkim. Sami je sobie tworzymy, ale własną wolą tak naprawdę możemy zrobić wszystko, co tylko chcemy.

Wracam do siebie. Rodzice mi gratulują, chociaż znów nie byli na zawodach... Muszą zarabiać, wiem. Ale czasem jest mi smutno, że niczego nie widzą. To jak wygrać milion dolarów bez czeku, gotówki, tylko jak nam ktoś to powie. Słowa są ulotne, rzeczy trzeba widzieć, a nie wierzyć na słowo. Równie dobrze mogłem sobie pójść do sklepu kupić złoty medal z czekolady i powiedzieć, że wygrałem olimpiadę, a oni by uwierzyli.

Znów idę do kolegów. Trzeba świętować zwycięstwo.

Rozpaczam ostre treningi. Czasem mam dość, trener wyciska ze mnie ostatnie poty. Biegam, biegam, biegam... Bez końca. Ale kocham to, co robię. Mogę być najbardziej sobą podczas biegania. Mogę się uwolnić. Bieganie jest piękne. Pokonuję własne słabości, czuję harmonię w swoim organizmie... Wszystko – oddech, bicie serca, nogi, ręce... Wszystko współpracuje ze sobą, porusza się w równym tempie. Jestem jak maszyna. Biegnę i zapominam o świecie. Droga, mój oddech, wiatr... Tylko tyle. Brak problemów, taka prosta radość z biegania... To kocham.

– Trzymaj się, Krzysiek. – Trener uśmiecha się i kładzie mi rękę na ramieniu. Mistrzostwa Polski w sprin-

cie. Tylko dwieście metrów, ale wiem, że to będzie niesamowity wysiłek. Przygotowuję się na to teraz... Głównie psychicznie. Nie mogę się zapomnieć. Skupić się. Biec.

Staję na torze numer sześć. Jestem gotowy. Uśmiecham się. Chcę wygrać... Mogę wygrać. Wygram.

Start. Biegnę. Szybciej, szybciej. Jak dzikie zwierzę. Jestem wiatrem. Znikam, widzę tylko cel przed sobą. Szybko... Rywale za mną, gdzie? Wszystko zamazane. Świat znika. Mogę wszystko! Przekraczam linię mety pierwszy. Pierwszy... Jestem pierwszy!

Dostaję złoty medal. Ja, ten dzieciak, który wcześniej żył tylko marzeniami. Świat jest piękny. Ludzie mi gratulują. Wszystko widzę teraz jakby w kolorach tęczy. Wygrałem... Nie wierzę. To cudowne, Kocham życie!

Widzę, że trener jest dumny, wszyscy są dumni. Dziękuję za gratulacje. Piękny świat! Złoty medal błyszczący... Kocham go.

* * *

– Krzysiek! Musimy uczcić twoje zwycięstwo! Jedźmy gdzieś na weekend! – Krystian wpada do mojego domu. Oczywiście się zgadzam. Ludzie mnie uwielbiają, a ja chcę trochę odpocząć od tego wysiłku, jaki ostatnio narzucał mi trener. Pakuję się szybko i już wieczorem jesteśmy w drodze. Jedziemy na jakiś kemping, pod namioty, na cały weekend.

Kilka godzin drogi. Damian, brat Krystiana, popisuje się za kółkiem. Jedziemy drogą w lesie, nikogo nie ma, więc przyspiesza. Szybciej, szybciej... Kocham szybkość. Nie jest ważne, czy biegam, czy jeżdżę. Kocham adrenalinę.

Kształt na drodze. Pisk hamulców. Uderzenie. Boli.

Znika wszystko. Zapadam się w ciemności...

Budzę się. Taki zmęczony. Pamiętam tylko wypadek, potem wycie syren, potem właściwie nic... Leżę w szpitalu. Rozglądam się. Są moi rodzice... Moja matka patrzy na mnie smutnym wzrokiem.

– Krzysiu... Miałeś wypadek. Bardzo poważny. Już nie możesz biegać. – Oznajmia grobowym tonem.

– Co?! – Tylko tyle potrafię wydusić. Jak to nie mogę biegać?! Bieganie jest dla mnie wszystkim, jest moim sposobem na życie, jest dla mnie wolnością... Ja nie mogę tego stracić! Nie wierzę, naprawdę!

Ruch. Robię ruch i przeszywa mnie niesamowity ból. Jak czarna dziura wchłania mnie od środka. Tak bardzo boli... Nigdy nic mnie tak nie bolało. Nie mam punktu oparcia, nie czuję części ciała, która mnie nie boli. Czy ja umieram? Leżę dalej, zasypiam, to tylko sen...

Dni w szpitalu są takie długie... W wypadku najbardziej ucierpiałem ja i Jasiiek, bo nie zapięliśmy pasów. Tylko że Jasiiek się połamał, a ja oprócz kilku złamań mam zmiążdżoną stopę. Nie mam jej, normalnie jej nie mam! Z dnia na dzień coraz bardziej przyzwyczajam się do myśli, że zostałem kaleką... Ale nie potrafię się pogodzić z tym, że nie będę mógł biegać. Teraz jestem nikim... Koniec wolności, koniec radości z biegania, koniec nagród, koniec przyjaźni z innymi biegaczami i trenerem... Zostałem sam.

Zaczynam doceniać rodziców, są przy mnie. Moi przyjaciele, trener... Oni też mnie wspierają, ale mają swoje obowiązki. A rodzice, na których zawsze byłem zły, są. Za to biegania już nie ma.

Nareszcie wychodzę ze szpitala. Mam protezę. Jest dziwna, nie czuję jej jak normalnej stopy. Ledwo co chodzę. Jestem połamany, posiniaczony... Ale najbardziej cierpię wewnętrznie, bo mam świadomość, że

straciłem coś naprawdę ważnego dla mnie. Moje wyzwoleństwo, moją duszę... Straciłem bieganie. To tak bardzo boli. Nie wierzę, że głupi wyjazd zniszczył wszystko, nad czym pracowałem tyle czasu.

Próbuję biegać... Ale już nie potrafię w siebie wierzyć. Już wiem, że ograniczenia jednak istnieją. Jestem teraz nikim... Nic już nie mogę z tego, co chciałem. Ból mnie ogranicza. Teraz bieganie to nie wyzwoleństwo, ale cierpienie. Już nie czuję się jak wiatr, jestem teraz niczym. Człowiek z ołowianymi nogami. Ból zatrzymuje mnie, ściąga w dół. Jestem jak mitologiczny Edyp. Mam przekłute stopy... To cierpienie było mi pisane. Nie wierzę już w siebie. Nic nie osiągnę. Rywale, którzy byli kiedyś słabsi ode mnie, osiągają coraz więcej... A ja stoję w miejscu, cofam się. Idealna kondycja znikła, mięśnie zwiotczały... Jaki jest teraz sens mojego życia? Jak mam niby pokonać własne słabości?

Straciłem to, co dawało mi poczucie wolności. Straciłem radość w swoim życiu. Bo trochę przesadziłem, bo chciałem zaszaleć... Teraz płacę słoną cenę. Tak bardzo tego żałuję... Czuję się nikim bez biegania. Jedyny cel mojego życia zatraciłem podczas jednego głupiego popisu. Pogrążam się w rozpacz. Nic już nie ma sensu... Zapadam się w ciemności.

Ludzie odeszli. Znajomi wolą przyjaźnić się z innymi, nie z kalekami. Trener niby często ze mną rozmawia, ale wiem, że już nie skupia na mnie swojej uwagi. Woli nowych, zdrowych zawodników, ja już nie przyniosę mu medali. Rodzice są przy mnie, ale ich obecność nie potrafi mnie zmotywować...

Jednak poznaję pewną cudowną osobę... Osobę, która podnosi mnie na duchu i sprawia, że zaczynam wierzyć. Miłość daje mi siłę do dalszej walki. Samantha zachęca mnie, abym wrócił do biegania, mówi, że

dam radę. Wracam na tor. Ale już nie do trenera, który o mnie zapomniał. Zapisuję się do klubu dla niepełnosprawnych i znów rozpoczynam treningi...

Najpierw bieganie bardzo boli. Mięśnie mnie palą, nie mogę złapać oddechu, jeszcze czuję połamane kości. Nie płynę już po torze, proteza boleśnie daje się we znaki... Ale walczę. Walczę ze swoimi słabościami. Zaciskam zęby, biegnę ze łzami w oczach, nie zważam na ból... Kiedy schodzę z toru, zwykle kuleję, ale walczę dalej. Boli, ale żywię się bólem... Czuję satysfakcję. Potrafię pokonać siebie, tak, ograniczenia nie istnieją. To nic, że boli, może potem przestanie. Prowadzę wojnę. Wojnę z samym sobą. Czasem czuję zwątpienie, myślę, że po co mi te męki i codzienny ból. Czasem nie mogę wstać z łóżka... Jednak zawsze wygrywa myśl, że muszę pokazać, że potrafię walczyć, nie poddawać się i osiągnąć wyznaczone sobie cele. Nic mnie nie powstrzyma, nawet choroba. Nic. Sam sobie tworzę bariery, ból to tylko wymysł mózgu. Mogę go zwalczyć. Pokonam samego siebie. Znów stanę się jak wiatr...

Bieganie, nawet w bólu, daje mi wyzwolenie... Znikam ja. Staję się istotą stworzoną z cierpienia i szczęścia. To śmieszne, że cierpienie daje mi szczęście... Ale teraz tak jest. Pokonuję wewnętrzne bariery, zrywam łańcuchy. To, że nazywają mnie kaleką, nie oznacza, że mam nim być. Mogę być, kim chcę, mogę osiągnąć wszystko... To ja decyduję, to moja walka, moja wojna i muszę wygrać!

Znów startuję w zawodach. Najpierw nic nie wygrywam. Porażki mnie bolą. Zajmuję ostatnie miejsca, kiedy startuję ze zdrowymi biegaczami. Czasem nie mogę się pozbierać... Kiedyś wygrywałem prawie cały czas. Jednak przegrane zachęcają mnie do działania, sprawiają, że trenuję więcej i mocniej.

Po jakimś czasie zaczynam zdobywać złote medale. Nawet w zawodach z rywalami w pełni sprawnymi. Bywa, że kiedy stoję na starcie wśród zdrowych przeciwników, ludzie wytykają mnie palcami, śmieją się, nie dowierzają... Potem gdy pierwszy przebiegam linię mety, widzę w ich oczach szacunek i respekt. Też jestem z siebie dumny. Nie wierzyłem, ale udało mi się znów odzyskać wiarę... Wróciłem na swoją ścieżkę... Mimo pewnych ograniczeń mogę osiągnąć wszystko... Mogę kształtować swoją przyszłość, tak jak chcę, to mój wybór, moja droga... Tak, jest znacznie trudniej niż kiedyś... Kiedyś nie wstawałem z bólem w kościach, kiedyś czułem swoją stopę, kiedy biegłem, kiedyś nie biegałem często z łzami w oczach... Ale nie mogę myśleć o przeszłości. I tak jej nie zmienię. Skupiam się na tym, co może być, jak najlepiej stworzyć przyszłość. Ja mam tę glinę, z której mogę ulepić, co chcę. A chcę być jak najlepszy.

Jestem jak Feniks, powstałem z własnych popiołów, narodziłem się na nowo.

* * *

– Krzysiek! – Trener biegnie do mnie zdyszany. Z jakimiś świecącymi oczami. Nigdy się tak nie zachowywał, jest wyjątkowo szczęśliwy. Co się dzieje? Przecież przyszedłem jak co dzień na trening, nic wyjątkowego. – Udało się! Udało się!

– Co się udało? – pytam zaskoczony. Naprawdę nie wiem, o co chodzi. Trener zachowuje się, jakby zaraz miał zamiar tańczyć, a ja zdezorientowany stoję i patrzę na niego.

– Krzysiek! Nie uwierzysz w to... W tym roku są igrzyska paraolimpijskie...

– I?

– I zgłosiłem cię do nich... I zostałeś przyjęty, startujesz na olimpiadzie! Na olimpiadzie, uwierzysz?! Krzysiek, tak się cieszę!

Najpierw nie mogę wydusić z siebie słowa. A potem krzyczę i tańczę z radości. Paraolimpiada... Coś, o czym nie śniłem! Nie myślałem, że mogę tak daleko zajść! Nie wierzę... Życie jednak jest piękne...

I mimo mojego kalectwa, mimo tylu przeszkód, teraz mam szansę na prawdziwe udowodnienie swojej siły... Tak, wiem że na paraolimpiadzie będą też inne osoby niepełnosprawne jak ja, ale to nie znaczy, że będą złymi zawodnikami... Czasem osoby kalekie są lepsze od tych zdrowych.

Walka ze swoimi słabościami tak bardzo się opłaca. Gdybym pogrążył się w rozpacz i poddał bólowi, nigdy nie wróciłbym do treningów, nigdy nic bym nie osiągnął... Dziękuję – sam nie wiem komu – za to, że miałem siłę i wiarę. Pokonałem siebie, pokażę, na co mnie stać, chcę wygrać. Wierzę. Teraz wierzę, że wszystko może mi się udać. To ja tworzę sobie bariery i buduję mury. Wiem jednak teraz, że przeszkody można pokonać. Mogę osiągnąć wszystko, czasem z wielkim trudem i bólem, ale mogę. Mogę wszystko.

Treningi. Dużo treningów. Przygotowuję się. Niedługo wyjazd za granicę na paraolimpiadę. Byłem już na wielu zawodach, międzynarodowych też, ale nigdy nie na takich prestiżowych... To moja życiowa szansa i nie mogę jej zmarnować.

Walczę z bólem. Moje mięśnie, kości, wszystko, czasem odmawiają posłuszeństwa... Ale ja ćwiczę, trenuję dalej. Mimo bólu, mimo przeszkód. Pokonuję bariery. Płynę po torze, płonąc w środku. Ale nawet ból potrafi sprawiać przyjemność. Jestem jak dzikie zwierzę, które nadal biegnie, poluje, żyje. Wiem,

że mogę wygrać. Upadłem, ale powstałem. Jestem niezniszczalny... Wypadek tylko mnie wzmocnił, sprawił, że jeszcze bardziej chcę biegać, że jeszcze bardziej chcę wygrywać i udowodniać, że mimo przeszkód mogę coś osiągnąć.

„Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. Już rozumiem znaczenie tych słów.

Jedziemy. Czuję takie podniecenie na myśl o najważniejszych zawodach mojego życia. Czuję też strach. Paraliżuje mnie od środka... Ale nie dam się mu. Pokonać strach, ograniczenia. Mogę wszystko.

Jesteśmy już na miejscu. Widzę trybuny pełne ludzi, widzę Samantę uśmiechniętą i dumną ze mnie. Wygram dla niej... Czas na rozgrzewkę, denerwuję się. Orientuję się, kto będzie moim rywalem... Będzie bardzo ciężko, większość z tych osób zdobyła więcej nagród niż ja. Ale muszę dać radę... Oddycham głęboko. Krzysiek, uspokój się. Jesteś tu po to, by pokazać niedowiarkom, że nawet z najgorszej sytuacji można wyjść na prostą... Pokażę, że potrafię osiągnąć wyznaczony sobie cel. Pokonam siebie... Bo nie ma ograniczeń, zdobędę to, o czym zawsze marzyłem.

Czas na mnie. Moja konkurencja. Bieg na dwieście metrów. Przygotowuję się do startu, patrzę na moich przeciwników... Większość też ma protezy, ale prawie wszyscy są starsi i wiem, że nie będzie łatwo. Zaraz startuję... Przygotowuję się psychicznie. Liczy się każdy ułamek sekundy. Muszę być szybki. Jak tygrys uwolniony klatki... Będę biegł po swoją zdobycz.

– Ograniczenia nie istnieją – szepczę do siebie i uśmiecham się.

Start.

Biegnę. Czas znika. Czuję pęd wiatru, moja stopa i proteza uderzają o ziemię. Ale nie czuję nic. Jestem

jak maszyna... Zsynchronizowany... Jak w zegarku. Słyszę bicie swojego serca. Pokonuję powietrzne bariery... Jestem wiatrem. Jestem wolny. Wolny od wszystkiego. Szybko, szybciej... Jestem najszybszy. Szybki jak światło. Świat się rozmazuje. Zaczynam czuć ból... Nie, ból nie istnieje! Biegnę, dam radę. Jestem każdym ruchem, jaki wykonuję. Zanurzam się w tym, w słodkim bólu i wysiłku. Jest mi gorąco, czuję pot i łyzy, które po mnie spływają. Ale to tylko chwila, kilka sekund. Szybko... Uwalniam się. Jakbym opuścił własne ciało... Zapominam o bólu. Jestem szybki jak wiatr. Wyzwałam to w sobie, ta prędkość mnie przeraża... Szybciej, szybciej. Jestem jak w tunelu. Muszę dotrzeć do celu jak najszybciej. Rywale znikają. Nie pojedynkuje się z nimi, ale ze swoją słabością. Mogę być jeszcze szybszy. Nie ma ograniczeń...

Biegnę, biegnę...

Pierwszy.

Upadam na ziemię.

Płacę ze szczęścia i bólu.

Dostaję medal. Dostrzegam podziw w oczach wszystkich. Słyszę nasz hymn. Jestem dumny. Nie wierzę w to, co się stało... Świat jest cudowny. Pokonałem siebie. Dowiodłem, że mogę wszystko. Wygrałem.

Może to tylko szczęście... Jak to możliwe...

Patrzę się w niebo. Czuję w swoich oczach łyzy dumy i radości.

Dokonałem tego, co dla wielu osób wydawało się niemożliwe...

Ja, zwykły dzieciak z marzeniami. Ja, chłopak który uległ wypadkowi przez głupie zachowanie. Ja, kaleka i osoba, która straciła wiarę... To ja wygrałem. Pokonałem krępujące mnie bariery. Wspiąłem się na szczyt, mimo że po drodze tyle razy się potykałem. Wątpiłem,

ale wiara w siebie, pomoc najbliższych i samozaparcie zrobiły swoje. Pokonałem ból.

Jestem zwycięzcą.

Ale to nie medal jest dla mnie najważniejszy. Cieszę się, że spełniłem swoje marzenia. Chcę być nadzieją dla innych wątpiących, chcę, aby wszyscy ludzie wierzyli w siebie.

Bo tak naprawdę ograniczamy sami siebie. A możemy wszystko. Nie tylko w sporcie. Musimy dążyć do wyznaczonych sobie celów, mimo wszystko. Możemy być każdym, kim chcemy być. Sami kształtujemy swoją przyszłość i musimy zadbać, by była ona jak najlepsza. Nie ma ograniczeń.

Stanisław Śmietana

Yakotrako czysta gra

Każdy chyba słyszał o fair play. To ważna zasada, wywodząca się – jak wszystko co mądre i prawdziwe – ze starożytnej Grecji. To na olimpiadach wypracowano podstawy etyki walki sportowej. Potem był kodeks rycerski i jego reguły. Wszystko po to, by rywalizacja między przeciwnikami miała swój sens i swoje piękno. Tylko dzięki czystej grze można mieć prawdziwą satysfakcję z wygranej lub pokorę potrzebną do pogodzenia się z porażką.

Przekonałem się o tym niedawno. To było trudne, ale wartościowe doświadczenie.

Jestem kapitanem drużyny koszykarskiej Yakotako. Niech was nie zmyli nazwa – jesteśmy najlepszym zespołem basketowym w naszym mieście. No, powiedzmy, że jednym z dwóch najlepszych. Naszym wieloletnim zaciekle wrogiem są Purpurowe Truskawy. Kiedyś napisałbym, że to banda zarozumiałych głąbów, którzy ledwo opanowali dwutakt i z trudem przebiegają trzy kilometry. Jednak teraz, już po wszystkim, myślę, że to chłopaki tacy jak my – zwyczajni, trochę cwani, trochę naiwni, walczący ze swoimi słabościami na kolejnych treningach i marzący o wielkiej wygranej.

A więc co roku w finale spotykają się pod koszem zawodnicy Yakotako i Purpurowych Truskaw. Co roku mierzą się nienawistnymi spojrzeniami i obiecują stronie przeciwnej sromotną porażkę. Za moich czasów Truskawy wygrały z nami tylko jeden raz. Ale od zeszłego roku ich drużynę przejął młody, bardzo energiczny i mający nowoczesne podejście trener. A nasz trener – Włodzimierz Konarski – był, no cóż, starszym, doświadczonym trenerem, trochę już zmęczonym zmaganiem z kolejnymi pokoleniami nastolatków. Przewidywalny do bólu plan treningów, przewidywalne komentarze dotyczące naszej gry, powtarzające się „przemowy” o zasadach fair play, uczciwym współzawodnictwie, wartościach sportu i tak dalej.

Nie chcieliśmy w kółko tego słuchać, chcieliśmy grać tak, aby zwyciężać. A przede wszystkim chcieliśmy pokonać Purpurowe Truskawy. A oni od paru miesięcy trenowali z Alexem Winerem. Jego nazwisko nie nastrajało nas optymistycznie. Tak samo jak jego nowoczesne metody, które z zazdrością podglądaliśmy z szatni jedynej hali sportowej w naszym mieście, gdzie trenowaliśmy i my, i Truskawy. I im bardziej podziwialiśmy innowacyjne pomysły trenera Winer, te jego prezentacje multimedialne, nagrywanie i omawianie meczów, wymyślne ćwiczenia, tym mniej zaufania mieliśmy do naszego starego Konara i jego tradycyjnych brzuszków, podskoków i slalomów z kozłowaniem. A ja, jako kapitan, czułem, że nasze szanse na wygraną w tym roku maleją z każdym dniem. Nie mogłem się na to zgodzić.

Czarę goryczy przelała rozmowa z kapitanem Truskaw – niejakim Radkiem Przechwałą. Nieoczekiwanie natknąłem się na niego w szatni, gdzie wszedłem po skończonym treningu i uprzątnięciu sali.

- Co tu robisz? – burknąłem niezbyt uprzejmie. Przechwała zawsze działał mi na nerwy.

Radek uśmiechnął się wyniośle i jakby mściwie.

- Przyglądałem się waszemu treningowi. Stary Konar już ledwo ciągnie. Chciałem tylko uprzedzić, że te hektolitry potu, jaki wylewacie na treningach, na niewiele się przydadzą. Nie tędy droga.

- Dlaczego? Jak do tej pory treningi Konarskiego przynosiły świetne efekty, prawie zawsze was ogrywaaliśmy – odpowiedziałem.

- Te czasy minęły. – Przechwała przecesał palcami grzywkę. – Teraz, że tak powiem, nadchodzi era Purpurowych Truskaw. Pogódźcie się z tym – dodał w stronę chłopaków z mojego zespołu.

- Nie zamierzamy – odgryzł się Filip, nasz center. – Ostatnio pokonaliśmy twoje Purchawy trzy raz pod rząd.

- Pur-pu-ro-we Trus-ka-wy – Przechwała dobitnie wyakcentował prawidłową nazwę swojego zespołu – mają nowego trenera, który opracował dla nas nową, świetną taktykę gry, dzięki której wygramy z wami bez najmniejszego problemu. Nie mówiąc o tym, że trener Winer pozyskał dla nas dwóch sponsorów, dzięki którym mamy nowy sprzęcior. – Wszyscy spojrzeli na nowiutkie hiperdunki Przechwały.

- I co? Uważasz, że markowe trampki pozwolą wam z nami wygrać? – skrzydłowy Marcin próbował zbagatelizować wrażenie, jakie jednak wywarły słowa kapitana Truskaw.

- Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Spójrzcie na waszego pozał się Boże coacha. To stary piernik ze sporą oponką. Nasz Winer to przy nim megapaker. W dodatku szkolony za granicą. Dzięki jego koncepcjom treningowym jesteśmy w szczytowych formach, nasza

kondycja poprawiła się o 65%, co zostało dowiedzione odpowiednimi pomiarami. – Przechwała wyraźnie się rozkręcał. – Jak tylko popatrzyłem na te wasze żalonne wygibasy, utwierdziłem się w przekonaniu, że nie macie z nami żadnych szans. Nasz kozioł jest idealny. Nasz rzut jest w 90% skuteczny. Technika i szybkość powyżej normy dla naszej grupy wiekowej. Zgranie zespołu – perfekcyjne, a będzie jeszcze lepiej. Dlatego kiedy wy już będziecie padać ze zmęczenia, my dopiero się rozgrzejemy. Szkoda waszego czasu na treningi ze starym Konarem. Wymiękacie, panowie, na całego.

Radek Przechwała zakończył efektownym cmoknięciem i opuścił szatnię. Zapadła cisza. Poczulem, że natychmiast muszę podnieść nadszarpnięte morale Yakotaków.

– To tylko Przechwała, chłopaki. Znaie go. Jak się nie poprzechwała, to nie jest sobą. Chciał nam zaimponować i zniechęcić do treningów. Nie przejmujcie się tym, co tu nagadał. Radek Przechwała i jego nowe buty. Też mi coś...

Koledzy pokiwali głowami, ale po ich minach widziałem, że nie jest dobrze. Postanowiłem działać natychmiast i pobiegłem do naszego trenera, który miał zwyczaj odpoczywać w swoim kantorku po treningach.

– Panie trenerze – wypaliłem od drzwi. – Chciałem chwilę porozmawiać.

– A proszę, proszę, kapitanie. O co chodzi? Bunt na pokładzie? Za dużo okrążeń na rozgrzewce? Czy chodzi o ten ostatni faul?

– Nie, chodzi o Truskawy – wyznałem szczerze. – Mają nowego trenera, nową taktykę, nowych sponsorów. Strasznie zrobili się ważni.

– Radek Przechwała tu był? Przechwał się i was wystraszył? – trener Konarski dobrotliwie się uśmiech-

nał. – Może i wzięli się wreszcie do roboty, ale dla was znaczy to tylko tyle, że musicie się bardziej przykładać, bardziej koncentrować na grze, zespołowej grze – podkreślił swoją ulubioną myśl.

– Trenerze, to nie wystarczy. Potrzebna nam jest nowa strategia, jakiś oryginalny pomysł taktyczny, przydałyby się jakieś dodatkowe motywatory – może nowe stroje albo kamera, żebyśmy mogli... – Konarski przerwał mi ruchem ręki.

– Najlepszą strategią jest systematyczny, odpowiednio dobrany trening, cierpliwe szlifowanie techniki podań i rzutów, a przede wszystkim dobra zabawa w granicach fair play. A do tego kamera i oddychające koszulki nie są tu potrzebne.

No tak, stary Konar był niereformowalny.

Ale Yakotako miało też swojego kapitana, który nie zamierzał odpuścić.

Następnego dnia postanowiłem wybrać się na trening Purpurowych Truskaw. Chciałem sprawdzić, w jakiej są naprawdę formie i jakie nowe pomysły ma ich trener. Pomyślałem, że zawsze można przecież przechwycić parę sztuczek. Kiedy zajrzałem na halę, szybko przekonałem się, że Przechwała tym razem nie przesadził. Truskawy śmigały po sali z niesamowitą prędkością, prawie każdy oddany rzut okazywał się celny, a piłki zdawały się dosłownie przyklejone do rąk zawodników. Poczulem przypływ zniechęcenia i cicho wycofałem się do szatni. W drodze do wyjścia kątem oka dostrzegłem plik kartek leżący na jednej z górnych szafek. Sam nie wiedząc, dlaczego to robię, sięgnąłem po nie i ze zdumieniem przeczytałem tytuł *Strategia na Yakotako*. Przeszedł mnie dreszcz podniecenia. „Więc nie wszystko jeszcze stracone – pomyślałem. – Prze-

cież nawet przy ich wysokiej kondycji i nowych umiejętnościach nie pokonają nas, jeśli dokładnie przewidzimy ich zagrywki i wypracujemy kontrstrategię”. Już zacząłem ją planować, kiedy w myślach zobaczyłem trenera Konarskiego. Co powiedziałby na zdobyte przeze mnie rewelacje? Na pewno zadawałby trudne i niewygodne pytania: Skąd mam te informacje, czy na tym polega uczciwa gra, czy warto zniżać się do szpiegowania przeciwnika? A jednak – czasem cel uswięca środki. Bez dobrego pomysłu nasza porażka wydaje się oczywista. Szybko skopiowałem rysunki i wytyczne do jednego ze swoich zeszytów, starannie odłożyłem kartki na miejsce i wybiegłem z szatni. W drodze do domu postanowiłem, że nie wtajemniczę naszego trenera, natomiast sam odpowiednio pokieruję drużyną.

Przed piątkowym treningiem zebrałem swoich zawodników i oznajmiłem:

– Chłopaki, mam dla was niespodziankę! Mam niezawodny sposób na pokonanie Truskaw.

Na twarzach kolegów widziałem niedowierzanie, więc zaraz opowiedziałem im o znalezisku i wprowadziłem w opracowany przeze mnie defensywny plan. Zazaczyłem, że ponieważ Konar ma swoje niezłomne zasady, nie będziemy go martwić i sami załatwimy sobie zwycięstwo.

– Sprawa wygląda następująco: faktycznie Winer wytrenował Truskawy tak, że w grze „1 na 1” nie mieliśmy z nimi szans. A taką taktykę właśnie na nas przyjęli. Musimy więc przeciwdziałać takim ustawieniom. Każdy zawodnik ma kryć swojego, co oznacza, że musi być pilnowany non-stop, nawet kiedy nie ma piłki. Truskawy będą wyznaczać najlepszych zawodników do gry „1 na 1”. Reszta będzie uciekać od kosza.

Zacząłem szybko szkicować ustawienia i warianty na kartce, a wszyscy przyglądali się w skupieniu. – obrońcy ruszą za nimi. Wtedy ich champion bez trudu ogra naszego i zdobędzie punkty. I do tego właśnie nie możemy dopuścić.

– Czyli absolutnie nie wolno nam pozostawić pojedynczego obrońcy kosza? – dopytywał się nasz skrzydłowy.

– Tak, widzę, że rozumiecie. W tej sytuacji proponuję stanąć pod koszem i nie biegać za przeciwnikiem. W ten sposób będziemy działać razem, a jednocześnie nie pozwolimy pozostałym przebić się przez nasz mur.

Rozległy się oklaski. Przybiliśmy piątkę. Zapowiedziałem jeszcze, że na treningu zachowujemy się jakby nigdy nic, stosujemy się do zasad Konara, ćwiczymy normalnie. Jednak podczas meczu wypróbujemy strategię Truskaw i zobaczymy, jak możemy sobie z nią poradzić.

Pełni entuzjazmu i nadziei pobiegliśmy do hali. Szło nam o wiele lepiej niż zwykle. Wszyscy byli pełni sił, a trener obserwował nas z zadowoleniem. Moje wyrzuty sumienia stopniały i pomyślałem, że chyba podjąłem dobrą decyzję.

Na kolejnych treningach szlifowaliśmy po cichu naszą taktykę. Z czasem skoncentrowaliśmy się tylko na niej, mimo starań Konarskiego, abyśmy próbowali także innych układów. Ale my wiedzieliśmy swoje i twarde staliśmy pod koszem. Nie dało się jednak ukryć, że stało się to trochę nudne, grze brakowało spontaniczności i zwykłej radości. Nie byliśmy już koszykarzami, ale robotami działającymi według określonego schematu. No, ale trudno, tak właśnie trzeba, aby pokonać Truskawy.

Zbliżał się dzień finałowych rozgrywek. Jednakże zamiast podniecenia i napięcia czułem znużenie i niesmak. Widziałem, że Yakotaki również zachowują się inaczej niż zwykle. Tylko Konar robił swoje. Moje przygnębienie narastało. I nagle, w przeddzień meczu, kiedy wyobraziłem sobie naszą wygraną, wiwaty na widowni i scenę odbierania pucharu od burmistrza miasta, poczułem, że nie mogę na to pozwolić. Chciałem natychmiast pobiec do trenera po radę, ale wiedziałem, co będzie miał mi do powiedzenia. I wiedziałem, że będzie miał rację. Więc ja również wiedziałem, co powinienem zrobić jako kapitan zespołu. Może i nazywaliśmy się Yakotako, ale przecież chcieliśmy znaczyć coś więcej. Ja rozpętałem tę całą historię, to i ja musiałem ją zakończyć.

Następnego dnia byłem gotów. Stawiłem się w hali przed czasem i od razu zobaczyłem wysoką sylwetkę Przechwały. Kiedy podszedłem, Radek odwrócił się i zaskoczony spojrział na mnie.

- Co, postanowiliście oddać mecz walkowerem? Słuszna decyzja – był bardzo dowcipny i pewny siebie.

- Radek, posłuchaj – zacząłem ze ściśniętym gardłem. - Zagraliśmy nieczysto. Wyszpiegowaliśmy was. Znalazłem i skopiowałem wasze plany taktyczne. Wszystko wiemy o odciążaniu, blokowaniu i przechwytach. Chciałem, żebyście byli tego świadomi. Choć i tak już jest za późno. Opracowaliśmy kontrofensywę. Przykro mi i wstyd. To nie powinno tak wyglądać.

Przechwała przyglądał mi się spod zmrużonych powiek. Na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmieszek.

- Wkręciliś swoich Yakotaków na maksa, kapitanie. Plany były podłożone specjalnie. Daliście się podejść jak małe dzieci. To była nasza taktyka – zmylić

przeciwnika. I jeszcze to twoje wyznanie... żenada po prostu. – Przechwała obrócił się na pięcie i odszedł w stronę reszty drużyny.

Pociemniało mi w oczach. Gardło miałem ściśnięte, serce waliło mi młotem. Obaj jesteście siebie warci. Oszukujący i oszukiwani jednocześnie. Nieczysta gra. Wszystko zrozumiałem w jednej chwili: nudne kazania Konarskiego, przechwałki Truskaw i „nowe podejście” Winera.

Wróciłem do swoich. Mecz się rozpoczął. Purpurowe Truskawy szalały po boisku. Mieli w sobie nadzwyczajną energię i pewność zwycięzców. My mieliśmy niezłą kondycję, kilka efektownych wsadów i sympatię widowni, a także perfekcyjnie przećwiczoną, ale całkowicie chybioną strategię. Ale to nie wystarczyło. Przegraliśmy z Truskawami.

A jednak to nie ta przegrana była najcięższa. Najciężej było mi znieść myśl o tym, że Yakotako naruszyło honor sportu, dobre imię drużyny, że zawiodłem samego siebie i zawiodłem jako kapitan drużyny. Historia z fałszywą strategią podłożoną nam przez Truskawy nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego. Porażkę meczową można po prostu przeboleć, zmobilizować się i zagrać rewanż. Porażkę sumienia ciężko przetrwać. I nieważne, że przyznałem się do oszustwa, liczyło się to, że chciałem je popełnić. Ostatecznie na boisku to była Yakotako czysta gra. I nawet trudno było mi wkurzać się na Truskawy za ich podstęp. Jak chcą być Parszywymi Purchawami – ich sprawa. Niech sami się z tym męczą. Najważniejsze jest to, by samemu być w porządku. By po prostu grać fair play, jak na starożytnych igrzyskach.

Daria Trojanowska

Nigdy nie jest za późno...

Czy jesteście zadowoleni ze swojego życia? Ja byłam. A przynajmniej tak mi się wydawało. Do obowiązków podchodziłam na luzie, miałam zrelaksowane koleżanki. Zawsze robiłam to, co chciałam. Sama wybierałam dni, w które chodziłam do szkoły, wstawałam wtedy, kiedy byłam wyspana. Gimnazjum wydawało mi się najgorszą zmart. Marzyłam tylko o tym, żeby jak najszybciej skończyć szkołę. Moim marzeniem był również wyjazd na Przystanek Woodstock, który odbywał się latem. Jedynym warunkiem, jaki postawili mi rodzice, było otrzymanie promocji do następnej klasy i dlatego nie mogłam zawalić nauki. Wakacyjny wyjazd już od dawna planowałam razem z moimi przyjaciółkami. Wszystkie nosiłyśmy głany, nasze włosy w niczym nie przypominały fryzur grzecznych gimnazjalistek, a ubrania zawsze były czarne. Mocny, ordynarny makijaż podkreślał „wyjątkową” urodę (tak mi się wtedy wydawało). Tworzyłyśmy zgraną, bardzo kontrowersyjną paczkę, z czego byłyśmy dumne. Nie powiem, że byłam powodem do dumy i dla moich rodziców, ale wtedy mi to nie przeszkadzało. Byłam ich jedyną córką i musieli zaakceptować mnie taką, jaka jestem.

Była w mojej klasie pewna dziewczyna – Pola, której, przyznam szczerze, nigdy nie lubiłam. Osoba pokładana, grzeczna, zawsze uśmiechnięta. Typowy przykład wzorowej uczennicy. Nienaganna fryzura, celujące oceny, zawsze przygotowana do lekcji, a na dodatek lubiana przez wszystkich nauczycieli. Mało tego, uprawiała sport – biegała. Nie rozumiałam jej. Wydawała mi się dziwna. Kurczę pieczone, jak można uprawiać sport? To nie dla mnie! Dziwicie się pewnie, czemu o niej wspominałam, ale nie mówię wam o niej bez powodu. Bo to ona właśnie wywarła tak ogromny wpływ na to, co wydarzyło się w moim życiu, oraz na to, kim dzisiaj jestem. A było to tak...

Był zwyczajny dzień. Niechętnie, ale w końcu zwlokłam się z łóżka, cała obolała i półprzytomna doczołgałam się do szkoły. Gdy tylko weszłam do klasy, moim oczom ukazał się widok rozgadanej i uśmiechniętej Poli. Jak ona to robi? Skąd bierze na to siły?! Ósma rano, a ta świeża, pachnąca i rześka. Ja ledwo przypełzłam do szkoły, wory pod oczami, spowolnione myślenie, a ona wyglądała, jakby przed chwilą wyszła z salonu kosmetycznego. Wrr... byłam zła. Rzuciłam „hej!” do mojej przyjaciółki z ławki i poczłapałam w jej stronę. Zadzwoił dzwonek i do klasy wszedł nauczyciel. Stał przy biurku i powiedział:

– Moi drodzy, nadchodzi czas wystawiania ocen końcowych. Niestety, jest parę osób w klasie zagrożonych z biologii.

Wstyd mi przyznać, ale wśród nich byłam i ja.

– Mam dla was propozycję – ciągnął. – Dobrałem was w pary. Zagrożony uczeń, plus uczeń piątkowy. Ci piątkowi mają gwarantowaną ocenę bardzo dobrą na nowy rok, pod warunkiem że pomogą zagrożonym poprawić końcową ocenę.

„Fajny pomysł – pomyślałam. – Ciekawe, z kim będę w parze?”

W tym momencie pan Michał zaczął wyczytywać:

– Monika z Grześkiem, Mariusz będzie z Kingą – czytał dalej, aż w końcu usłyszałam swoje imię: – Regino, ty będziesz z Polą.

Co?! Jak on mógł wpaść na taki pomysł?! W klasie jest dwadzieścia parę innych osób, a on musiał mi przydzielić akurat ją?! Jaka złośliwość! Spojrzałam dyskretnie na moją partnerkę, a ona jak zwykle odpowiedziała mi uśmiechem. Zemdliło mnie.

– Na wybrany temat musicie przygotować referat. Macie dwa tygodnie.

No nieźle, dwa tygodnie oko w oko z prymusem. Laski z paczki patrzyły tylko na mnie znacząco i uśmiechały się pod nosem. Ale cóż, zależało mi na tym, żeby poprawić ocenę, bo przecież inaczej nie zdam. A to wiązałoby się ze spędzeniem wakacji w domu, a marzenia o wyjeździe na Woodstock ległyby w gruzach. Więc sami rozumiecie, desperacko potrzebowałam pomocy, a Pola była moją ostatnią deską ratunku. Do końca lekcji siedziałam cicho, starając się psychicznie przygotować na to, co czekało mnie przez najbliższe dni.

Na przerwie usiadłyśmy z dziewczynami grupką w tym samym miejscu, gdzie zawsze – pod oknem, koło gazetki szkolnej. W pewnym momencie zauważyłam idącą przez korytarz Polę. Szła miękko, płynnie, jej ruchy były delikatne, zdawało się, że płynie. Oczywiście, jak zawsze uśmiechnięta skupiała na sobie uwagę wszystkich chłopców. Poczulałam dziwne ukłucie. Mój chód raczej nie wyglądał jak Poli. Ale to pewnie przez głany, które nosiłam. Ku mojemu zdziwieniu zatrzymała się obok mnie i swoim delikatnym głosem powiedziała:

– Regina, jak chcesz, to przyjdź dzisiaj po lekcjach na mój trening na boisko, potem możemy pójść do mnie i wziąć się do pracy.

– OK – bąknęłam, bo na nic innego nie było mnie stać. Odwdzięczyłam się nieśmiałym uśmiechem i skinęłam głową. Odprowadziłam Polę i jej blond kucyk wzrokiem. Czekałam na jakiś komentarz ze strony dziewczyn, lecz w tym momencie zadzwonił dzwonek, oznaczający koniec przerwy. Po lekcjach poszłam na boisko szkolne, tak jak umawiałam się wcześniej z Polą (chyba raczej ona się ze mną umówiła). Widziałam ją już z daleka, biegła po bieżni jak zwinna puma. Robiła właśnie ostatnie okrążenie. Trener stał ze stoperem w ręku i krzyczał:

– Świetnie, masz lepszy czas niż ostatnio! Tak trzymaj!

Po ukończonym biegu Pola podbiegła do mnie i zdyszana powiedziała:

– Świetnie, że już jesteś. Poczekaasz chwilę? Wezmę tylko szybki prysznic i możemy pójść do mnie.

– Ta... jasne – odpowiedziałam – bo... co miałam powiedzieć: że nie poczekam? Przecież to mnie zależało na tej ocenie. Ona i tak już miała piątkę.

Na szczęście Pola mieszkała blisko szkoły. Kiedy weszłam do jej pokoju, wprost zaniemówiłam. Wszystko było idealnie poukładane, pościelone łóżko, na biurku porządek... a na ścianach mnóstwo dyplomów i medali. Ciekawe, czy ona tu mieszka? I jak udaje jej się utrzymać taki porządek? – przeleciało mi przez głowę... i w tym momencie zauważyłam duży regał, który stał dumnie pod ścianą, prezentując okazałe trofea Poli.

– Ojej! To wszystko jest twoje? – zapytałam.

– Co? To? Tak. Przez te wszystkie lata trochę się nzbierało. Przyznam, że jestem z tego dumna. Wszystko

poukładane jest w porządku chronologicznym – odpowiedziała uśmiechnięta Pola, której ten drażniący uśmiech chyba nigdy nie schodził z twarzy.

– W jakim porządku? – zapytałam zdziwiona.

– Chronologicznie, czyli według dat. Od pierwszego pucharu do ostatniego. Siadaj, napijesz się czegoś? – dodała.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam i chyba pierwszy raz szczerze się do niej uśmiechnęłam. – Te dyplomy i medale naprawdę robią wrażenie. Długo już trenujesz? – spytałam zaciekawiona.

– Od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Już od dziecka podziwiałam mojego starszego brata, bo on też trenuje bieganie. Chodziłam z tatą na jego treningi i tak to wszystko się zaczęło.

– A kto jest na tym zdjęciu? – spytałam pochłonięta tym, co usłyszałam.

– Naprawdę nie wiesz? To jest pani Irena Szewińska – siedmiokrotna medalistka igrzysk olimpijskich. Zdobyła 3 złote, 2 srebrne i 2 brązowe medale. Należy do najbardziej utytułowanych polskich sportowców i najwybitniejszych lekkoatletek w historii. Zdobyła też 24 medale mistrzostw Polski.

– Taaa... gadasz... – siedziałam z rozdziawioną buzią na kanapie Poli.

– No – roześmiała się uroczo – i wyznam ci w tajemnicy, że jest to moja wielka bohaterka, moja idolka, wzór. Marzę o tym, żeby też kiedyś zdobyć chociaż jeden złoty medal na igrzyskach olimpijskich...

– Na pewno ci się uda – skomentowałam. – Będę trzymać za ciebie kciuki.

– Dziękuję, to miłe, że we mnie wierzysz. Pracuję nad tym bardzo wytrwale. Mam treningi dwa razy dziennie. Biegam rano i po lekcjach.

– O której wstajesz?!

– O piątej – odpowiedziała spokojnie. – Biegam godzinę, około siódmej wracam do domu, biorę prysznic, jem śniadanie i wychodzę do szkoły – kontynuowała.

– I tobie chce się jeszcze uczyć? – zszokowana podjęłam temat. – Ja przejdę z domu do szkoły i nie mam siły.

– Widzisz, na tym właśnie polega magia sportu. Im więcej ćwiczysz, im bardziej jesteś zdyscyplinowana, tym większe odnosisz sukcesy!

– I tobie się tak chce?

– Tak, no... Oczywiście są momenty, kiedy mam ochotę pospać dłużej, albo nic mi się nie chce, ale patrząc wtedy na uśmiechniętą twarz pani Irenki i od razu wraca mi zapał.

– Naprawdę cię podziwiam. A powiedz... – zaczęłam – myślisz, że ja... też bym tak mogła? – zapytałam BARDZO nieśmiało.

– Co? Uprawiać sport? Jasne, że tak!!!

– Ale wiesz... ja nigdy nic nie trenowałam.

– Posłuchaj: NA SPORT NIGDY NIE JEST ZA PÓŹNO! Poza tym poprawi ci się kondycja fizyczna, będziesz miała lepszy humor, wzmocnią ci się kości i łatwiej będziesz przyswajała wiedzę.

– A... I to jest twój sekret! Już wiem, czemu zawsze jesteś taka wesoła i pełna energii! – obie zaczęłyśmy się śmiać w tym samym momencie.

– Jak chcesz, przyjdź jutro na trening po lekcjach. A jak się wkręcisz, to będziesz trenować dwa razy dziennie, tak jak ja. Porozmawiam jutro z trenerem na twój temat. Na pewno się ucieszysz, bo teraz bardzo mało dziewczyn uprawia sport. Tylko wiesz... w tych butach będzie ci trochę niewygodnie – zaśmiała się.

– No co ty... mam inne – i obie znowu się zaśmiałyśmy.

Wróciłam do domu, przekopałam stertę w mojej szafie, szukając butów odpowiednich do biegania. Cały czas myślałam o Poli i o jej sukcesach. Wizyta w jej domu naprawdę zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Kiedy w końcu znalazłam buty, rozejrzałam się po swoim pokoju i doszłam do wniosku, że czas spojrzeć prawdzie w oczy: Regina... bierz się do roboty! Czas na zmiany! Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było posprzątanie pokoju. Rodzice patrzyli na mnie z niedowierzaniem, a mama śmiała się, że ktoś jej dziecko podmienił, bo nie była w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz sama sprzątała pokój. A kiedy jeszcze powiedziałam im, że chcę zapisać się na bieganie i że jutro mam już pierwszy trening, tata uśmiechnął się pod nosem i chyba chciał to jakoś podsumować, ale gdy zobaczył buty, które trzymałam w rękę, spojrzął na mamę, puścił jej oczko i wyszedł.

Powiem wam, że całą noc myślałam o Poli i jej wczesnym wstawaniu, o pani Irenie Szewińskiej i jej złotych medalach. Wyobrażałam sobie siebie, jak biegam, i wszystko było takie inne, niż znałam do tej pory. W głębi duszy cieszyłam się, że pan Michał dobrał mnie właśnie z Polą... To był bardzo udany dzień, choć wcale się na taki nie zapowiadał.

I w ten właśnie oto sposób Pola odmieniła mnie i moje nudne życie. Jestem jej za to bardzo wdzięczna i cieszę się, że otworzyła mi oczy, a słowa, które powiedziała tego dnia: „Na sport nigdy nie jest za późno”, pamiętam do dziś i powtarzam je sobie i moim uczniom, których uczę wychowania fizycznego i gorąco zachęcam do biegania. Pokochałam sport i wysiłek fizyczny, który do tej pory był mi obcy. Może nie odniosłam takich sukcesów w sporcie jak Pola, ale i tak jestem z siebie dumna. Schudłam, poprawiłam oceny,

zaprzyjaźniłam się z rodzicami i... znalazłam chłopaka. Może to dziwnie zabrzmie, ale... jedynka z biologii uratowała mi życie, no i oczywiście Pola. Zaprzyjaźniłyśmy się, jak się domyślacie, i przyjaźnimy do dziś.

Ciekawi pewnie jesteście, co się dzisiaj dzieje z Polą? Pola biega, a w swojej karierze zdobyła już wiele złotych medali na mistrzostwach Polski. I cały czas marzy o tym złotym olimpijskim... Trzymam za nią kciuki bardzo mocno.

Mamy takie jedno wspólne marzenie... aby kiedyś poznać panią Irenę, dla której, jak sama mówi:

Bieganie stało się sposobem na życie, wielką pasją i ciężką pracą.

Dziś Irena Szewińska stara się zachęcić jak najwięcej Polek, by wygrały w swoim prywatnym wyścigu najważniejszą nagrodę, najcenniejsze trofeum – swoje życie.

My wierzymy, że marzenia się spełniają i że na pewno kiedyś obie mocno ją uściskamy! A... jeszcze zapomniałam dodać... na Woodstock nie pojechałam! Miałam ważniejsze sprawy.

Gabriela Zarajczyk

Bieg przełajowy

Powoli otwierałam oczy. Czułam się... dziwnie. Doszło mnie ostre światło. Nie widziałam nic. Nic oprócz tego jaskrawego światła. Raziło mnie. Przy-
mknęłam oczy. O wiele lepiej. Skąd ono dochodziło? W moim pokoju było jedno okno. Na noc zawsze za-
ciągałam roletę i rano promienie słońca nie dostawały się do środka. Może mama odstłoniła, żebym szybciej wstała? Nie. Nigdy tego nie robiła. Wiedziała, że tego nie lubię. Więc skąd to światło?

Piii, piii, pii, pii, pii...

Co to jest? Co to za dźwięk? Ciągłe się powta-
rzał. Zaczął robić się nieznośny i denerwujący. Gło-
wa zaczęła mnie boleć. Bardzo mocno. Tak, jakby ktoś ścisnął ją z obu stron i próbował zmiażdżyć. Muszę otworzyć oczy. Czułam, że moje powieki ważą tysią-
ce kilogramów. Po kilku nieudanych próbach udało się. Otworzyłam oczy i pierwsze, co do mnie dotar-
ło, to biały sufit. Nie byłam u siebie w pokoju. Mój su-
fit miał przecież morelowy kolor. Zaczęłam się rozglą-
dać. Wokół mnie panował względny porządek. Książ-
ki na jasnej, metalowej szafce leżały równo ułożone na kupce. Obok nich stał biały kubek z czymś gorącym w środku, bo widać było parę. Chciałam sięgnąć po

kubek. Strasznie zaschło mi w gardle. Wtedy dostrzegłam, że moja ręka połączona jest z kroplówką. Idąc za ciosem, próbowałam się zorientować w sytuacji. Nad klatką piersiową miałam przymocowane kolejne kabelki, łączące się z tym urządzeniem, które wydawało ten nieprzyjemny odgłos. Wokół głowy owinięty miałam kabel (może żyłkę?), który wchodził do moich nozdrzy. Wyżej – na czole wyczułam chropowatą powierzchnię... Bandaż. Może dlatego bolała mnie głowa... w końcu opatrunek nie był na niej bez przyczyny. W czasie kiedy dokonywałam oględzin mojego ciała, do pokoju weszła pielęgniarka.

– Gzzzz... – mój głos brzmiał okropnie. A raczej nie brzmiał. Było chyba ze mną naprawdę źle. W środku czułam się dobrze, ale mój głos... Nie miałam siły mówić.

Gdy siostra zobaczyła, że się obudziłam, zatelefonowała gdzieś i podeszła do mnie.

– Klaro... Jesteś w szpitalu. Za chwilę przyjdzie lekarz i rodzice – mówiła bardzo troskliwym głosem. Głosem, który wyraźnie sugerował, że nie jest dobrze. Po chwili do sali wszedł lekarz. Przedstawił się, ale nie pamiętam, jak się nazywa. Był w kwiecie wieku. Wyglądał na około 40 lat. Miał na sobie białe fartuch, a pod nim garnitur. Tak sobie wyobrażałam jakiegoś ważnego profesora. Zaczął mnie badać, co chwilę patrząc na ekran monitora. Poprosił pielęgniarkę o jakieś wyniki badań – EKG? Być może. Nie pamiętam.

– Mmymmm – każdy dźwięk, jaki próbowałam z siebie wydobyć, niesamowicie bolał. Bolał tak, jakby ktoś ciął moją szyję, a ja próbowałabym błagać go o to, żeby przestał.

– Nic nie mów. Rodzice zaraz do ciebie przyjdą. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wyszedł. Na jego miejsce pojawili się rodzice. Mama pocałowała mnie w czoło i usiadła przy moim łóżku, uważając na każdy swój ruch, jakby miała do czynienia z porcelaną. Tata zachowywał taki sam dystans. Podeszedł z drugiej strony, pocałował mnie w czoło i bardzo, ale to bardzo uważał. Po policzku mamy spłynęła łza. Tata czule pogładził mamę po ramieniu. Jego mina też nie była za wesoła. Miałam coraz gorsze przeczucia. W mojej głowie pojawił się niepokój. Uczucie natrętne i wszechogarniające. Jestem w szpitalu, nie mogę wydusić słowa, nic nie pamiętam, a rodzice zachowują się jakoś dziwnie.

– Skarbie... – mama ledwie mówiła, połykając łzy.
– Tak mi przykro... – Tata ścisnął ją za rękę. Znacząco na siebie spojrzeli. Tata pokręcił głową i ze smutkiem ją opuścił. Mama tylko na niego patrzyła... – Może chcesz się napić?

– Tsss – brakowało mi mojego głosu. Uczylałam się na błędach. Z trudem pokiwałam głową. Mama sięgnęła po kubek stojący na tej białej szafce. Gdy napój wpłynął do moich ust, poczułam się nieco lepiej. Ból jakby zelżał. Tylko ten niepokój...

– Na razie trudno będzie ci mówić, skarbie – zaczął tata. – Ale to minie – dodał po chwili.

Nasze rodzinne spotkanie przerwała pielęgniarka. Teraz dostrzegłam więcej szczegółów w jej wyglądzie. Miała ciemne włosy związane w koński ogon, duże, brązowe oczy i usta pomalowane czerwoną szminką. Jej stój roboczy leżał na niej bardzo dobrze – była zgrabna i wysoka. Sięgnęła po moją kartę i coś w niej zapisała. Uśmiechnęła się do mamy, ale miałam wrażenie, że ten gest był wymuszony. Boże, co tu się dzieje?!

* * *

Z każdym dniem mój głos powracał do normy i mogłam wreszcie mówić normalnie. Zadawałam moc pytań. Odpowiedzi, jakie otrzymywałam, nieszczególnie mnie satysfakcjonowały, były zdecydowanie zbyt wymijające.

- Co się ze mną stało?
- Niegroźny wypadek...
- Ale nic poważnego mi się nie stało?
- Odpoczywaj, kochanie, spróbuj zasnąć...

Po dwóch tygodniach powiedzieli mi prawdę. To z pewnością nie było to, co chciałam usłyszeć. Wolałam tę grę pozorów, że wszystko wraca do normy, niż bolesną prawdę. Sporo sobie przypominałam – powrót od koleżanki, pisk opon samochodowych, oślepiające światła i... nic więcej. Potem już tylko przygnębiająca biel sufitu szpitalnej sali. Rodzice przyszedli razem z lekarzem prowadzącym, na ich twarzach malowało się ogromne napięcie.

– Miałaś wypadek. I to wcale nie był niegroźny wypadek. Z tego, co nam opowiadałaś, wygląda, że pamiętasz wszystko dokładnie, czyli twój mózg pracuje idealnie. Wraciałaś do domu po imprezie u koleżanki, potrącił cię samochód, który jechał z nadmierną prędkością...

– No tak, wszystko to sama wam powiedziałam...

– Nie czujesz nóg... bo... miałaś je bardzo połamane... Naczynia i mięśnie... nie byliśmy w stanie nic zrobić.

Lekarz sięgnął po kołdrę. Odkrył moje nogi. Cemu sama na to wcześniej nie wpadłam? Może dlatego, że nie miałam siły w rękach. I zobaczyłam... Nic nie zobaczyłam – w tym sedno.

– Am... ampu... CO!?! AMPUTOWALIŚCIE MI NOGI!?! MOJE NOGI!?! Boże!!! Co wy zrobiliście!!! Ja... Jak.. jak ja będę... ja... biegać...!?

Mama się rozplakała i wybiegła z sali, tata nie wiedział, co ze sobą zrobić...

– Nienawidzę was! Chcę umrzeć! – krzyknęłam.

Pielęgniarka sięgnęła po strzykawkę i wstrzyknęła coś do kroplówki. Po minucie odpłynęłam. Nie miałam siły panować nad zamykającymi się powiekami. Powiekami ze łzami i bólem.

* * *

Kolejne dni miały mi na przyzwyczajaniu się do życia bez... Wicie bez czego. Leżałam całe dni na łóżku szpitalnym, więc co mogłam robić, jak nie rozmyślać o tym, jak będzie wyglądało moje życie? Właściwie jakie życie?! Moje życie się skończyło. Wiele razy na ulicy widziałam osoby niepełnosprawne, nawet im współczułam, ale to zupełnie nie był mój świat. Żyłam aktywnie: szkoła, znajomi i moja wielka pasja – sport. Co z tego zostanie? Pojadę do szkoły na wózku i zewsząd będą mnie otaczały pełne litości spojrzenia. Przyjaciele, no jasne, pewnie skoczymy razem na trening albo dyskotekę... A sport? Zawody? Boże, chcę umrzeć. Właściwie to już nie jest życie. Próbowałam myśleć o czymś innym, ale uporczywe wizje przeszłości ciągle powracały. Pierwsza wizja to zawody sportowe. Dotychczas zajmowałam najlepsze miejsca na różnych konkursach sportowych: Czwartki Lekkoatletyczne, biegi, Bieg Solidarności. A teraz? Widzę minę Pauliny – moja największa rywalka (zawsze jest o krok za mną) – gdy zobaczy mnie siedzącą na wózku inwalidzkim i marzącą o tym, żeby choćby przez chwilę znów pobiec...

Druga wizja to szkoła. Jak będę do niej chodzić. Jest to stary budynek, a więc bez podjazdów dla wózków, wind itp. Wiem, że dyrekcja starała się o jakieś pozwo-

lenia do rozpoczęcia budowy podjazdów, ale nie pamiętam, co z tego wyszło. Z tą wizją łączy się to, że pewnie stracę wszystkich przyjaciół. Bo kto by chciał kolegować się z kaleką? Nikt. Najpierw będą próbować udawać, że wszystko jest po staremu. Potem o mnie zapomną. Taka jest prawda. Będę samotna. Bardzo samotna. Zresztą już jestem.

Trzecia wizja to dom. Mieszkamy na czwartym piętrze bloku bez wind. Jak dostanę się do domu? Ciekawe... Ciekawe jak?

Ostatnia wizja to moja przyszłość. Przez resztę życia będę zależna od rodziców! Nigdy nie zastanawiałam się, czy będę mieć męża i dzieci, miałam na to jeszcze czas. Teraz... szkoda gadać. Jedno zasadnicze pytanie: Po co ja mam żyć?

* * *

Tak jak codziennie o 18:00 przyszła do mnie pielęgniarzka i sprawdziła, czy wszystko u mnie OK. Poza tym, że nie mam nóg, to tak. Rodzice posiedzieli jeszcze godzinę przy mnie. Rozmawialiśmy. Próbowali odciągnąć moją uwagę od spraw, które mnie dołowały. Potem kazałam im iść do domu i się wyspać, bo widziałam, że od kilku dni siedzą u mnie bez przerwy. Nawet gdy spałam, byli obok. Teraz musieli odpocząć. Po 19:00 zostałam znowu sama. Na białej szafce wciąż leżały książki. Sięgnęłam po jedną z nich. Jakoś specjalnie nie różniła się od pozostałych. Miała czarną, lekko zniszczoną okładkę i małą rysę na grzbiecie. Na środku okładki widniał tytuł *Wypadek*. Kochałam czytać książki. Głównie kryminały, dlatego tytuł od razu skojarzył mi się z tym gatunkiem literackim. Skojarzył się jeszcze z wydarzeniami minionych dni, dlatego z niechęcią odłożyłam książkę. Po chwili przełamalam

się i wzięłam ją do rąk. Zaczęłam czytać. Miałam coś lepszego do roboty?

* * *

Pierwszy rozdział trochę mnie zawiódł. *Wypadek* wcale nie był kryminałem. Była to zwykła powieść obyczajowa. Jest dziewczyna. Dobrze się bawi. Ma mnóstwo przyjaciół. Wyróżnia się urodą. Drugi rozdział to tak jakby początek mojego horroru – dziewczyna zostaje potrącona.

Trzeci rozdział – szpital, amputacja...

Chwila... Czy ta książka znalazła się na mojej szafce przypadkowo? Wątpię. Wypadek naprawdę mnie pochłonął. Czytałam przez całą noc. Więc kiedy przyszli rodzice, byli nieco zaniepokojeni, widząc moje sińce pod oczami. Naprawdę wyglądałam okropnie. Włosy sterczały mi we wszystkich możliwych kierunkach. Oczy miałam podkrążone, a pod nimi wielkie wory. Ale przeczytałam całą książkę. Melissa – główna bohaterka – była zawodniczką sportową (tak jak ja!). Amputacja nóg doprowadziła do jej załamania psychicznego, ale wyszła z niego z pomocą rodziny. Kupiono jej protezy i krótko mówiąc, po długiej rehabilitacji wróciła do sportu.

Podsumowując, ta książka na pewno nie znalazła się w moich rękach przypadkowo. Podejrzewałam pielęgniarki – to chyba one podrzuciły mi stosowną lekturę. Ona miała swoje zadanie i teraz ja mam swoje – muszę być jak Melissa Credwort i pokonać przeszkodę. I pokonam. Przynależało to Bogu i sobie. Zrobię to dla moich rodziców, ale przede wszystkim dla siebie. Kiedyś w szkole na polskim analizowaliśmy tekst: jakiś poeta porównał ludzkie życie do biegu, którego celem jest osiągnięcie mety. Moje życie stało się biegiem

przełajowym. Do tej pory biegłam w równym tempie, teraz przyszedł czas na przeszkody, z którymi muszę się zmierzyć.

* * *

Była sobota. Rodzice przyszli dzisiaj troszkę później. Od razu poprosiłam ich, aby zawołali lekarza. Nie wiedzieli, o co chodzi, byli zaskoczeni, ale spełnili moją prośbę.

– Dzień dobry, Klaro. Jak się czujesz? – zaczął lekarz.

– Dzień dobry. Dobrze. Mam do pana pytanie – chciałam jak najszybciej przejść do rzeczy.

– Słucham – lekarz znacząco spojrział na rodziców, ale oni tylko wzruszyli ramionami. W końcu nie wiedzieli, o co mi chodzi. Przełknęłam ślinę i zaczęłam:

– Czy... jest... czy... jest.. taka opcja... abym mogła... hmm... protezy? – No cóż, może moja wypowiedź nie była poprawna, ale każdy wiedział, o co chodzi. Mama lekko się zdziwiła, ale potem było słychać jak odetchnęła. Z ulgą? Możliwe. Tata lekko się uśmiechnął, a lekarz również nie ukrywał zadowolenia. Czy wszyscy czekali na to pytanie? Nie mogli po prostu sami przypomnieć mi, że istnieje coś takiego jak proteza? Przez to całe zamieszanie i zamartwianie się nad sobą zapomniałam o tym wspaniałym urządzeniu. Ale dobrze, że istnieje *Wypadek* i mi przypomniał.

– Czekaliśmy... – zaczął doktor, ale byłam szybsza:

– Tak. Po minach rodziców i pana domyśliłam się, że sama miałam o to spytać. A książka znalazła się tutaj przypadkowo, prawda? Ot, taka pierwsza lepsza z brzegu? Hmm?

– No, powiedzmy, że pielęgniarki wpadły na pomysł – uśmiechnął się zakłopotany tata.

– Wracając do sprawy – doktor przerwał naszą konwersację. – Jest taka możliwość i jest to najlepsze rozwiązanie dla ciebie. Musimy uzbroić się w cierpliwość, poczekać, aż zagoją się rany, i wtedy będziemy mogli zrobić protezę specjalnie dla ciebie. Potem przystąpimy do rehabilitacji. Zanim będzie proteza, musimy wzmocnić twoje mięśnie. Czekają cię intensywne ćwiczenia. Zaczynasz od jutra.

– Tak... tak szybko? Doktorze, nie wiem, czy to dobry... – mama była zbyt opiekuńcza. Nie miałam jej tego za złe, ale nie mogłam siedzieć cały czas na tym łóżku i czekać nie wiadomo na co.

– Zgadzam się. Mamo, przepraszam, ale mam dość tej sali, tego łóżka... Chcę już gdzieś wyjść... wyjechać... Bo będę poruszać się teraz na wózku, tak?

– Owszem. Musisz nauczyć się obsługiwać i kontrolować wózek inwalidzki, bo nie będziesz mogła nosić protez przez cały czas, gdyż będziesz się bardzo przy tym męczyć. A wózek w końcu polubisz.

Cieszyłam się, że doktor tak precyzyjnie odpowiada na moje pytania. No, polubisz to może za duże słowo, ale spróbuję się z nim trochę zakolegować.

Potem wyszli i udali się do pokoju lekarskiego, by rodzice mogli pozadać lekarzowi miliony pytań. A znając mamę, wiem, że było ich tryliardy!

* * *

Nie będę opisywała dokładnie miesiąca przygotowań do noszenia protezy. Powiem jedno: łatwo nie było. Moje ćwiczenia rozpoczynały się o 10:00 i kończyły o 16:00, nieraz wcześniej. Pani rehabilitantka najpierw przeprowadzała łatwe ćwiczenia, ale z dnia na dzień stawały się coraz trudniejsze i wymagały większego skupienia z mojej strony. Czułam się okropnie.

Zmęczona, wycieńczona, wracałam do pustej sali szpitalnej i zazwyczaj płakałam w poduszkę, gdy nikt nie widział. Te ćwiczenia, które teraz wydają mi się trudne i nie do wykonania... kiedyś zrobiłabym ich dwa razy więcej w dwa razy krótszym czasie. Byłam załamana. To nie mogło się udać. Naprawdę chciałam wziąć się w garść, ale sytuacja mnie przerastała. Nie będę dobrze przygotowana do protezy i pozostanę kaleką na wózku.

Z czasem przywykłam do zmęczenia. Zanim doszło do wypadku, trenowałam w szkole lekkoatletykę, więc intensywne ćwiczenia nie poszły na marne. Miałam silne mięśnie i powoli przyzwyczajałam się do wysiłku. Codziennie poznawałam też mój wózek. Był przystosowany do mojego wzrostu i siły moich mięśni. Koła były szare, a poza tym był cały czarny. Nic szczególnego. Na początku do sali rehabilitacyjnej nie jeździłam sama. Wózek był pchany przez siostrę, ale w końcu sama opanowałam tę niezbyt trudną umiejętność. Miałam silne ręce i sama wozilałam się na zajęcia.

23 marca zapamiętam na zawsze, bo wtedy minął miesiąc, od kiedy spytałam lekarza o protezę. Gdy rano udałam się do sali, gdzie czekała na mnie kolejna porcja ćwiczeń, rehabilitantka stała z prezentem – rzeczą podobną do ludzkiej stopy, lecz „łydkę” miała zdecydowanie za chudą. Była to proteza. Białobeżowa niespodzianka wywołała u mnie napad płaczu. Trudno sobie to wyobrazić, jak bardzo się bałam i jednocześnie cieszyłam.

* * *

Karolina (rehabilitantka) pokazywała mi, jak działa proteza, potem przeszłyśmy do praktyki. Założyła mi zastępcze nogi na moje „uda” – lub to co, z nich zostało – mocno zacisnęła pasy i pomogła mi wstać. Na po-

czątku było dziwnie. Nie czułam podłoża, nie czułam, że stoję, ale że frunę. No, bo jak nazwać to uczucie, gdy nie dotykasz ciałem podłoża, a nie spadasz ani się nie przewracasz.

Podtrzymywana przez Karolinę stanęłam pomiędzy specjalnymi linkami. Trzymając je uporczywie, próbowałam poruszać się do przodu. Nie było łatwo. Nie czułam, co robię. Moje męczarnie trwały kolejny miesiąc, zanim przyzwyczaiałam się do „fruwania”. Tak jak na treningach ćwiczyłam wytrwale, aby poprawiać wynik, tak teraz uparcie próbowałam iść bez asekuracji linki. Potem wydarzyło się coś, na co czekałam od dawna – wróciłam do domu. Czułam się jak po wygranej w prestiżowych zawodach. Rekord pobity, poprzeczkę trzeba znowu podnieść.

* * *

Fakt, że gdy wchodziłam po schodach, asekurowali mnie rodzice, nie wzbudził we mnie większych emocji. Chciałam tylko znaleźć się w swoim pokoju z morelowym sufitem i roletą na oknie. W domu nic się nie zmieniło. Wszystko było takie, jakie pamiętałam. W moim pokoju też wszystko było w takim stanie, w jakim zostawiłam, wychodząc na imprezę. Na jasnym, drewnianym biurku leżały książki do polskiego, matematyki i piórnika. Obok słuchawki i laptop. Łóżko też było w nienagannym stanie, a pościel przykrywał czarny koc. Czy w takiej sytuacji można się nie rozpląkać?

Nie było mnie w domu kilka miesięcy. Nic się w nim nie zmieniło. Ale ja i moje życie wykonaliśmy obrót o sto osiemdziesiąt stopni... Rodzice poszerzyli drzwi w obawie, że będę musiała poruszać się wyłącznie na wózku.

Ach. Zobaczyłam je. To nie było ich miejsce. Ktoś je przewiesił. Może chciał je schować?

Buty do biegania.

Strój sportowy i cała torba na trening. A powyżej medale za osiągnięcia sportowe.

– Skarbie, chodź coś zjeść! – z kuchni dobiegł ciepły głos mamy. Zapach naleśników rozchodził się po całym mieszkaniu, więc jak mogłam nie pójść za nim do małej kuchni ulokowanej na końcu korytarza. Po obiedzie wróciłam do swojego pokoju. Chciałam być sama. Widok moich sportowych trofeów przygnębił mnie. Robiłam dobrą minę do złej gry, sama siebie oszukiwałam, że dam radę, nie chciałam widzieć zapłakanej mamy. Wszystko przepadło. Po co było się aż tak starać? Po co było trenować, męczyć się, jeździć na te wszystkie zawody? Marzenia o kolejnych sukcesach, mistrzostwach świata... Mogłam siedzieć w domu i nie robić nic. Czekać na śmierć.

* * *

Z przygnębienia wytrąciło mnie pukanie do drzwi. Ciekawe kto to? Pewnie listonosz. Kto by przychodził w odwiedziny do kaleki?

– Zapraszamy. Miło, że pan przyszedł – mama uprzejmie powitała gościa. Potem zamknęła drzwi.

– Jak ona...? – spytał mężczyzna. To był przecież znajomy głos.

– Wydawało się, że dobrze. Ale zobaczyła medale... i... chyba się załamała – w głosie mamy słychać było smutek. Wtedy usłyszałam kroki człowieka zbliżającego się do mojego pokoju. Więc gość przyszedł do mnie. Zapukał.

– Proszę – grzecznie odpowiedziałam, wycierając rękawem szarej koszulki łzy z policzka.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł mężczyzna o ciemnych włosach i sportowej budowie ciała. Ubrany był w dżinsy i niebieską koszulkę. Był to mój trener z klubu.

– Dzień dobry, trenerze.

– Cześć, Klaro. Jak się czujesz?

– Dobrze. Cokolwiek to teraz znaczy. Hmm... Jeśli chodzi o to, czy będę przychodziła na trening i patrzyła, jak ćwiczą inni, to dziękuję. Nie chcę.

– Widzę, że twój temperament nie ucierpiał po wypadku. Ale nie o to chodzi – jego głos był zupełnie normalny. Nie słychać było w nim litości, której tak bardzo się obawiałam.

– A więc, o co? Aha... mam oddać buty. Tak, wiem przydadzą się innej mistrzyni. Są...

– Możesz je zatrzymać, bo ciągle należą do ciebie.

– Nie rozumie pan?! – podniosłam głos na trenera i już po chwili byłam za to na siebie wściekła. – Już nigdy nie pobiegnę. Mam pokazać dowód? Proszę – i w tym momencie odpięłam pasy z protezy i zdjęłam całe urządzenie z ciała. Sama siebie nie poznawałam.

– Wiem, że dla ciebie to wielki szok. Ale, Klaro, ty jesteś silna i nigdy się nie poddajesz. A wygląda na to, że wiem, jak ci pomóc.

* * *

– Co? Jest... Niemożliwe. Tyle szczęścia w nieszczęściu – mama, gdy usłyszała nowinę, mało nie zemdląca.

– Jest taka możliwość i znalazłem już nawet osobę, która podejmie się dalszej rehabilitacji Klary i będzie wdrażała ją w technikę korzystania z protezy specjalnie zrobionej dla sportowców. Jej niezwykłość polega na tym, że jest o wiele wygodniejsza i stabilniejsza

niż zwykła proteza. Wykonana jest z elastomerów, co przyczyniło się do poprawy komfortu jej noszenia.

– To jest niemożliwe. Dziękuję – moja radość też była ogromna. Miałam szansę wrócić do sportu.

– Nie obiecuję ci, Klaro, że będziesz czuła się tak, jakbyś biegła na nogach. Po prostu proteza umożliwi ci bieganie i tak dalej. Przed tobą wiele godzin nauki i rehabilitacji. Musisz być przygotowana na to, że nie od razu staniesz i pobiegniesz.

– Tyle przeszłam... to przejdę i to.

Po dwóch godzinach trener wyszedł. Tata odprowadził go do drzwi. Byłam wdzięczna trenerowi. Nie potrafię nawet opisać, jak bardzo. Znowu mnie wspierał tak jak kiedyś. W głowie miałam mętlik. Radość mieszała się ze strachem. A jeśli się nie uda? Może moja nadzieja okaże się złudna?

Mój bieg przez życie trwał. Przede mną kolejna przeszkoda. Teraz się nie poddam. Choćby było nie wiem jak trudno, nie poddam się. Będę walczyć. Robiłam to już tyle razy na zawodach... i wygrywałam!

* * *

Pierwszy dzień ćwiczeń nie był szczególnie trudny. Musiałam, jak to powiedział mój trener, rozruszać zastałe mięśnie. I wydaje się, że to zrobiłam, bo po powrocie do domu nie czułam rąk ani karku. Od razu zasnęłam.

Z dnia na dzień ćwiczenia były coraz trudniejsze, co przypominało mi o rehabilitacji w szpitalu. Z dnia na dzień zmieniała się forma ćwiczeń i seria ich powtórzeń. Z dnia na dzień byłam coraz bliższa tego, by założyć protezę.

Pierwsze dwa miesiące ćwiczeń bardzo mnie wyczerpały. Myślałam, że jestem już gotowa, by zmierzyć

się z nową protezą, ale nie. Trener tłumaczył mi, że ta jest inna i wymaga ode mnie więcej treningu.

Było trudno. Codziennie próbowałam zrobić coraz więcej. Ale chyba każdemu zdarza się moment załamania. Mnie taki moment przydarzył się bodajże 24 września. Chodziłam normalnie do szkoły. I o dziwo – przyjaciele pozostali. Pomagali mi, opiekowali się, nikt mnie nie odtrącił. Rodzice nie zawałali mnie obowiązkami domowymi. Ze szkoły szłam od razu do klubu – trenować. I tak w koło. Dom – szkoła. Szkoła – dom. Każdy mój dzień przez ostatni miesiąc wyglądał tak samo. Wszystko stało się monotonne i mnie męczyciło. Prosty skłon stawał się obrzydliwy. Po powrocie do domu płakałam i marzyłam o wyzwoleniu z tej monotonnej rzeczywistości.

Z pomocą przyszli najbliżsi – rodzice i przyjaciele.

* * *

Miesiąc później założyłam pierwszy raz protezę. Trener miał rację – ona była zupełnie inna niż moja. Była o wiele lżejsza, przez co nie obciążała mnie tak jak dotychczasowa. Przeszłam się, trzymając się pasów, aby wyczuć stabilizację i zakres ruchu nowej protezy. Ćwiczenia z koordynacji trwały kolejne miesiące... A potem wyszłam na start i... **POBIEGŁAM!!!**

* * *

Teraz mam 20 lat. Studiuję i rozwijam się sportowo. Jeżdżę na zawody lekkoatletyczne. Na tych zawodach spotykam inne niepełnosprawne osoby, które korzystają z protezy podobnej do mojej. Nikt mnie nie odtrąca ani nie wytyka palcami. Żyję normalnie. Mimo milionów przewrotek, które się zdarzyły, zanim opa-

nowałam bieganie w protezie, nie poddałam się. Mogę powiedzieć, że wygrałam. Wygrałam z przeszkodami. Wygrałam z niepełnosprawnością.

Wygrałam z samą sobą. I cieszę się z wysiłku. Każda kropla potu, która ze mnie spłynęła, teraz mnie cieszy, bo wiem, że była ona symbolem zwycięstwa i kontroli nad sobą samą.

Mój bieg do mety trwa. Po wielu upadkach i trudnych przeszkodach wróciłam do poprzedniego tempa. Chyba nawet wysunęłam się na prowadzenie...

Ogólnopolski Konkurs im. Jana Parandowskiego na opowiadania olimpijskie

Konkurs im. Jana Parandowskiego (szkoły podstawowe i gimnazja) – organizowany przez PKOl od 1989 roku – jedyny nieokazjonalny konkurs na opowiadania o najdłuższej tradycji we współczesnej kulturze olimpijskiej. Najstarszy w Rzeczypospolitej konkurs na utwór prozatorski, cieszący się zainteresowaniem od ponad 20 lat. Najstarsi laureaci konkursu dawno już weszli w życie dojrzałe; ci, co zdobywali pierwsze wyróżnienia, mając lat czternaście, dziś liczą sobie 37 i 38. Do 2006 roku konkurs odbywał się przy współpracy Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu, w 2007 roku – Ministerstwa Edukacji Narodowej, a od 2009 roku przy wsparciu finansowym Ministerstwa Sportu i Turystyki.

W roku 2014 do konkursu zgłoszono 373 opowiadania (212 z gimnazjów ze 120 miejscowości i 161 ze szkół podstawowych z 86 miejscowości).

Wyniki konkursu prezentują:

- „Magazyn Olimpijski”
- „Quo vadis?” (kwartalnik artystyczny i naukowy)
- Polskie Radio program I
- www.olimpijski.pl

Opowiadania laureatów od 2001 roku wydawane są w formie książkowej. Dotychczas ukazały się:

1. *Serce stadionu* – XI Konkurs (2001)
2. *Prawda stadionu* (2002)
3. *Światło stadionu* (2003)
4. *Radość stadionu* (2004)
5. *Stadiony nadziei* (2005)
6. *Stadiony marzeń* (2006)
7. *Stadiony wyobraźni* (2007)
8. *Stadiony w słońcu* (2008)
9. *Stadion ze słów* (2009)
10. *Siła marzeń* (2010)
11. *Na skrzydłach marzeń* (2011)
12. *Spełnione marzenia* (2012)
13. *Rezerwowa* (2013)

Konkurs zapewne nie budziłby tak szerokiego zainteresowania młodzieży, gdyby nie grono jego wieloletnich przyjaciół:

- Renata Susańko (dziennikarka sportowa Polskiego Radia pr. I) – juror 23 konkursów im. Jana Parandowskiego,
- Jadwiga Pawlak (polonistka),
- Tadeusz Rożej (przedstawiciel Ministerstwa Sportu i Turystyki),
- Krzysztof Zuchora (nauczyciel akademicki, poeta, etyk)
- Magdalena Rejf – pracownik PKOl odpowiedzialny za organizację i przeprowadzenie konkursu.

Poprzez uczestnictwo w konkursie młodzież szkolna rozwija swoje sportowe zamiłowania, poszerza wiedzę na temat igrzysk olimpijskich i szeroko rozumianego sportu, przenosząc zachowania, emocje, postawy ze sportowego świata do własnego otoczenia, własne-

go życia. Opowiadania młodzieży ukazują i rozwijają potrzeby uczciwej rywalizacji, szacunku dla przeciwnika i niepełnosprawności, zachowania godności w przypadku przegranej, dezaprobaty wobec rasizmu, dopingu i nieuczciwej rywalizacji, uznania dla wysiłku, siły woli, przyjaźni i wspólnoty z innymi ludźmi.

Konkurs im. Jana Parandowskiego w 2009 roku uznany został przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski za jedną z 20 najlepszych inicjatyw edukacyjnych realizowanych przez narodowe komitety olimpijskie.

Magdalena Rejf

LAUREACI 2014

Uczniowie szkół podstawowych

KINGA ARMATA – *Różowe okulary*

Szkoła Podstawowa nr 28 im. W. Budryka w Gliwicach

opiekunka literacka – Marzanna Pietruszka-Łój

PAULINA BOGDAN – *Nasze igrzyska olimpijskie*

Szkoła Podstawowa nr 5 im. Stanisława Staszica w Łomży

opiekunka literacka – Maria Tyszka

JAKUB CELIŃSKI – *Pamiętając o bliskich*

Szkoła Podstawowa nr 5 w Łukowie

opiekunka literacka – Agata Zakrzewska

DOMINIKA DUZDOWSKA – *Droga do zwycięstwa*

Szkoła Podstawowa nr 18 im. Hansa Christiana Andersena w Bydgoszczy

opiekunka literacka – Marlena Jopek-Pazderska (Gimnazjum nr 20 w Bydgoszczy)

JAKUB NIEWIAROWSKI – *Sportowe zauroczenie*
Szkoła Podstawowa im. II Armii Wojska Polskiego
w Zabierzowie
opiekunka literacka – Halina Bartak

MARIA PAŁGAN – *O tym, jak własna słabość może dać siłę*
Szkoła Podstawowa w Drzewicy
opiekunka literacka – Agnieszka Sobkiewicz

KAROLINA PODOWSKA – *Uczciwa rywalizacja*
Zespół Szkół nr 1 w Nidzicy
opiekunka literacka – Katarzyna Rydkodym

BARTOSZ TOKARSKI – *Medale z Rywalizacji*
Szkoła Podstawowa nr 6 im. K.I. Gałczyńskiego
w Olsztynie
opiekunka literacka – Anna Marczuk

MICHALINA ZYGO – *Olimpijska zabawa*
Szkoła Podstawowa w Stykowie
opiekunka literacka – Monika Kuceł

NAUCZYCIELE – OPIEKUNOWIE LITERACCY

HALINA BARTAK – Szkoła Podstawowa im. II Armii
Wojska Polskiego w Zabierzowie

ANNA MARCZUK – Szkoła Podstawowa nr 6 im. K.I.
Gałczyńskiego w Olsztynie

MARZANNA PIETRUSZKA-ŁÓJ – Szkoła Podstawowa
nr 28 im. W. Budryka w Gliwicach

Uczniowie gimnazjów

NATALIA KAROLINA BOCIUK – *Uwierzyć w siebie*
Gimnazjum Gminne w Siemiatyczach
opiekunka literacka – Katarzyna Terebun

OLGA DANELSKA – *Mimo to*
Zespół Sportowych Szkół Ogólnokształcących, Gimnazjum nr 2 im. Jana Pawła II w Skierniewicach
opiekunka literacka – Ewa Pietrzak

OLIWIA JAROSZ – *„Zawsze” nie istnieje*
Gimnazjum nr 8 im. Marii Curie-Skłodowskiej w ZS nr 8 w Toruniu
opiekunka literacka – Alina Dyrda

EWELINA NOWICKA – *Mimo wszystko*
Gimnazjum im. Polskich Olimpijczyków w Kraszewicach
opiekunka literacka – Maria Ciołek

MONIKA PAWLAK – *Po drugie życie*
Gimnazjum nr 1 w Bystrzycy Starej
opiekunka literacka – Jolanta Konieczna-Rapa

JOANNA PIOTROWSKA – *Nasza Spinario*
Publiczne Gimnazjum im. Władysława Stanisława Reymonta w Zespole Szkolno-Przedszkolnym w Bądkowie
opiekunka literacka – Halina Dondalska

BARBARA SZOPA – *Bez ograniczeń*

Miejski Zespół Szkół z Oddziałami Integracyjnymi, Gimnazjum z Oddziałami Integracyjnymi nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Krośnie
opiekunka literacka – Beata Ślącza

STANISŁAW ŚMIETANA – *Yakotako czysta gra*

Zespół Szkół nr 2 im. W. Rutkiewicz w Warszawie
opiekunka literacka – Anna Lesińska

DARIA TROJANOWSKA – *Nigdy nie jest za późno*

Gimnazjum w Gomulinie
opiekunka literacka – Aleksandra Czerwińska

GABRIELA ZARAJCZYK – *Bieg przelajowy*

Gimnazjum nr 25 im. Szarych Szeregów w Lublinie
opiekunka literacka – Anna Woźniak

NAUCZYCIELE

– OPIEKUNOWIE LITERACCY

ANNA LESIŃSKA – Zespół Szkół nr 2 im. W. Rutkiewicz w Warszawie

EWA PIETRZAK – Zespół Sportowych Szkół Ogólnokształcących, Gimnazjum nr 2 im. Jana Pawła II w Skierniewicach

BEATA ŚLĄCZKA – Miejski Zespół Szkół z Oddziałami Integracyjnymi, Gimnazjum z Oddziałami Integracyjnymi nr 3 im. Polskich Olimpijczyków w Krośnie

Spis treści

Wstęp – Krzysztof Zuchora	5
-------------------------------------	---

LAUREACI – UCZNIOWIE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH

Kinga Armata – <i>Różowe okulary</i>	17
Paulina Bogdan – <i>Nasze igrzyska olimpijskie</i>	28
Jakub Celiński – <i>Pamiętając o bliskich</i>	37
Dominika Duzdowska – <i>Droga do zwycięstwa</i>	43
Jakub Niewiarowski – <i>Sportowe zauroczenie</i>	49
Maria Pałgan – <i>O tym, jak własna słabość może dać siłę</i>	55
Karolina Podowska – <i>Uczciwa rywalizacja</i>	60
Bartosz Tokarski – <i>Medale z Rywalizacji</i>	71
Michalina Zygo – <i>Olimpijska zabawa</i>	80

LAUREACI – UCZNIOWIE GIMNAZJÓW

Natalia Karolina Bociuk – <i>Uwierzyć w siebie</i>	94
Olga Danelska – <i>Mimo to</i>	102
Oliwia Jarosz – <i>„Zawsze” nie istnieje</i>	110
Ewelina Nowicka – <i>Mimo wszystko</i>	116
Monika Pawlak – <i>Po drugie życie</i>	125
Joanna Piotrowska – <i>Nasza Spinario</i>	134
Barbara Szopa – <i>Bez ograniczeń</i>	139
Stanisław Śmietana – <i>Yakotako czysta gra</i>	152
Daria Trojanowska – <i>Nigdy nie jest za późno</i>	161
Gabriela Zarajczyk – <i>Bieg przelajowy</i>	169

Ogólnopolski Konkurs im. Jana Parandowskiego na opowiadania olimpijskie – Magdalena Rejf	185
---	-----

Laureaci 2014	188
-------------------------	-----



ISBN 978-83-62275-87-8